

Terry Pratchett

Tylko ty możesz uratować ludzkość

Przełożył Jarosław Kolarski

Jeszcze jedna dla Rhianny

Potężne Imperium ScreeWee™ gotuje się do ataku na Ziemię!

Ziemskie okręty zostały zniszczone w podstępny uderzeniu i nic nie stoi na przeszkodzie atakowi na pełną skalę. Nic?

Prawdę mówiąc, został jeden myśliwiec... i pilot - ostatnia Nadzieja Cywilizacji...

TY!

Ty właśnie jesteś wszystkim, co stoi między Ziemią a Ostateczną Zagładą. Ty jesteś Ostatnią Nadzieją.

Tylko Ty Możesz Uratować Ludzkość!™

Wartka akcja z nowymi efektami! Kolor, stereo i grafika Slam-Vector™!

Kompatybilne z IBM PC, Atari, Apple, Amstradem, Nintendo. Zdjęcia ekranów pochodzą z innej wersji niż ta, którą kupiłeś.

Copyright 1992 by Gobi Software, 17834 W, Agharta Drive, Shambala, Tybet.

Wszystkie prawa zastrzeżone, wszystkie nazwy firm i produktów są zastrzeżonymi znakami towarowymi należącymi do odpowiednich kompanii.

Nazwy: ScreeWee, Imperium i Ludzkość są własnością Gobi Software 1992.

1. Bohater z tysiącem zapasowych żyć

Johnny przygryzł wargę, co podobno pomaga się skoncentrować, i ruszył do ataku.

Zwrot w prawo... niech rakietę złapie namiar... bip, bip biibiibiib, jest namiar! Ognia!... Poszła za nim!... Teraz drugi myśliwiec, przełączyć na działka: ratata-tatatata... laser i po tarczy trzeciego myśliwca... briz-zle!... Łubudupusz! Rakietę doszła: pierwszy wyeliminowany! Zwrot... Ostro... działka! Ratatatata... trzeci dostał! Teraz nie spuścić drugiego z celownika, rakietę... biibiibiib... Ognia!... I... co się tak obraz trzęsie?!

Dostałem!

Czwarty myśliwiec! Zawsze się trochę spóźniał i zawsze ustawiał w takim miejscu, że zanim człowiek się rozprawił z pozostałymi, włożył mu prosto pod lufy. Johnny zginął w ten sposób już sześć razy, a była dopiero piąta po południu!

Czym prędzej dał pełen ciąg i na ekranie zamigotały gwiazdy, pędząc mu na spotkanie. Takie zrywy wykańczały zapas paliwa, ale przynajmniej zyskiwało się czas na pełne załadowanie się osłon. Jednego przeciwnika załatwił, drugi uszkodzony... no, zobaczmy... Już są!

Rakiety!

O! Ale fuks: żeby prawie na ślepo trafić najbliższego... Dobra, teraz ostatni: laser... rakiety... Dostałem,

ale nic to: osłony jeszcze całe! Rakietę złapała namiar... Ognia!... Zawraca... Co, nie podoba ci się ta ognista kula? To był twój kumpel. A teraz pełen ciąg!... I tak cię dopadnę, robaczku... Siedzi w celowniku... siedzi... no to lasery i działka... lasery... i działka...

No i załatwione.

A teraz prawy, górny róg ekranu, coś tam jest... Aha, chyba okręt baza! Poziom dziesiąty, więc trzeba uważać... co prawda nie ma tu nic innego, ale przeciwnik jest duży i ma tylko jeden słaby punkt, a moja maszyna jest uszkodzona. Ostrożnie... jeszcze w lewo... no, zaraz ci przyłożę, robaczku... troszkę wyżej i...

CHCEMY POROZMAWIAĆ!

Johnny zamrugał i niepewnie przyjrzał się raz jeszcze. Na ekranie wciąż widniało:

CHCEMY POROZMAWIAĆ!

Z wrażenia przeleciał nad jednostką obcych i stracił ją z pola widzenia. Zwolnił, zawrócił i po chwili znów miał w celowniku znajomy kształt. I napis:

CHCEMY POROZMAWIAĆ!

Przez moment miał ochotę wdusić czerwony spust na joysticku, zamiast tego jednak nacisnął na klawiaturze „Pauzę”.

A potem sięgnął po opis gry.

Tylko Ty Możesz Uratować Ludzkość - taki był tytuł, pod spodem zaś, już drobniejszym drukiem, dopisano: „Stereo i w kolorze. Gra ostateczna”.

Ze strony siedemnastej można się było dowiedzieć, że ciężki krążownik ScreeWee - okręt bazę myśliwców nieprzyjaciela - można zniszczyć siedemdziesięcioma sześcioma trafieniami lasera, naturalnie dopiero po zestrzeleniu eskorty. Aby tego dokonać, należało wpierw odnaleźć martwe pole, czyli miejsce, w którym lasery z krążownika nie mogły go trafić. A dalej to już tylko kwestia czasu. Ale ani na stro-

nie siedemnastej, ani na żadnej innej nawet słowem nie wspomniano o rozmowach, a już na pewno nie było nawet wzmianki o jakichkolwiek napisach na ekranie.

A mimo pauzy, na ekranie wciąż był napis.

Zdegustowany Johnny odłożył instrukcję, spojrzał podejrzliwie na napis i ostrożnie wystukał na klawiaturze:

GIŃCIE, OBCE ŁOBUZY!

Po sekundzie na ekranie ukazało się:

NIE CHCEMY GINAĆ! CHCEMY POROZMAWIAĆ!

Coś tu było poważnie nie tak!

Grę dostał od Wobblera Johnsona, zwanego też Trzęsawką, wraz ze skserowaną instrukcją i komentarzem, że po zaliczeniu poziomu dziesiątego dostaje się premię dziesięciu tysięcy punktów i Zwój za Odwagę. Można też było przejść do następnego sektora -konkretnie arkturiańskiego - gdzie było więcej okrętów obcych.

Johnny właściwie nie chciał dalej grać i nie zależało mu na premii.

Chciał jednak mieć Zwój za Odwagę.

Tak na wszelki wypadek strzelił z lasera. Prawdę mówiąc, nie wiedział dlaczego - może dlatego, że miał w ręku joystick z przyciskiem „Ognia”. A może dlatego, że nie bardzo wiedział, co robić. Na pewno zaś dlatego, że nie było przycisku „Pogawędka”.

PODDAJEMY SIĘ!

Ten napis na ekranie kompletnie wmurował go w fotel.

Po dłuższej chwili wolno sięgnął do klawiatury i wcisnął „Save Game”. Komputer posłusznie zaszumił, bipnął i wyłączył się. Dopiero wtedy Johnny odetchnął.

Nie ruszał gry przez cały wieczór. Zamiast tego zabrał się do lekcji. Konkretnie do geografii. A jeszcze konkretniej: pokolorował konturową mapę Wielkiej Brytanii i zrobił kropkę w miejscu odpowiadającym temu, w którym -jak uważał -jest.

Kapitan ciężkiego krążownika ScreeWee walnęła pięścią w stół i warknęła:

- Czego?

- Właśnie ponownie zniknął, ma'am - zameldowała Pierwszy Oficer, starając się utrzymać ogon pod właściwym kątem, czyli wyrażającym szacunek.

-Przyjął?

- Nie, ma'am.

Palce trzech dłoni Kapitan postukały nerwowo po stole. Poza tym, że miała cztery kończyny górne i cztery dolne, ogólnie wyglądała trochę jak traszka, a trochę jak aligator.

Aligatora było w tym „trochę” zdecydowanie więcej.

- Ale myśmy do niego nie strzelali? - upewniła się po chwili bębnienia.

- Nie, ma'am.

- I wysłałaś moją wiadomość?

- Tak, ma'am.

- No to poczekamy. Za każdym razem, jak go zabijemy, wraca...

Dopiero w czasie przerwy Johnn'emu udało się złapać Wobblera.

Wobbler należał do tych, którzy zawsze ostatni są wybierani do jakiegokolwiek zespołu (co chwilowo mu nie przeszkadzało w nauce, bo szkoły z pracy zespołowej przeszły na współzawodnictwo indywidualne). Zwano go Trzęsawką (a także Galaretą, Grubasem, Tłusciochem,

Spaślakiem itp., itd., etc.), ponieważ był gruby i się trząsł. Trząsł się, zwłaszcza

gdy biegł, co wyglądało tak, jakby członki Wobblera zdecydowały się udać w różne strony, lecz w ostatniej chwili się rozmyśliły, postanawiając jednak biec generalnie - w jednym kierunku. Było jednak coś, w czym Wobbler był naprawdę dobry: gry komputerowe. Choć nie w dosłownym rozumieniu tego określenia - nie chodziło bowiem o mistrzowskie opanowanie „pały radości”, jak co głupszy nazywali joystick, czy o rekordowe wyniki w bilardzie. Gdyby kiedykolwiek tworzone Międzyszkolny Zespół Specjalistów od Łamania Niezłamywalnych Zabezpieczeń Gier, Wobbler nie tylko by się tam znalazł - to on dobierałby pozostałych. Jak na swój wiek był ha-ckerem geniuszem.

- Siema, Wobbler - powitał go Johnny.

- Się nie mówi „siema”: to już niemodne - odparł Wobbler.

- A mówi się „fajnie”?

- Zawsze się mówi „fajnie”. - Wobbler rozejrzał się niczym stary konspirator i wyjął z torby paczuszkę. -Masz.

- Co to takiego? - teraz dla odmiany Johnny stał się podejrzliwy.

- Złamałem TeraBombera, więc ci daję. Tylko nikomu ani słowa, dobra? Musisz tylko napisać FSB i sam zobaczysz... Mnie się średnio podobało, ale ty masz inne gusta...

-Słuchaj... pamiętasz Tylko Ty Możesz Uratować Ludzkość?

- A co? Dalej w to grasz?

- Przypadkiem niczego nie dodałeś do oryginału? Żeby było ciekawiej?

- A po co? Ona nawet nie była zabezpieczona. Nic nie musiałem robić, tylko przekonać tatę, żeby odbił

mi instrukcję. A bo co?

- Grałeś w nią?

- Trochę. - Wobbler grał w każdą grę tylko raz: dobierał się do ostatniego poziomu, wygrywał, mając do dyspozycji dowolną liczbę żyć, i przestawał się nią interesować.

- I co? Nic... dziwnego się nie działo?

- Co na przykład? - zainteresował się Wobbler.

- Na przykład... - Johnny zawahał się: jak mu powie, to Wobbler go wyśmiejie i w życiu mu nie uwierzy. Albo też uwierzy i stwierdzi, że to bakteria czy inny wirus -

Wobbler miał na dyskach pełno wirusów komputerowych. Nic z nimi nie robił; po prostu zbierał, tak jak inni znaczki. Jak mu powie, to jakoś tak problem przestanie być rzeczywisty. - No, coś śmiesznego...

- Jak śmiesznego?

-No... dziwnego... życiowego, tak sobie myślę...

- Ta gra powinna być życiowa. Pisało, że jest rzeczywista. W instrukcji pisało, wiem, bo czytałem.

-Aha... - Johnny uśmiechnął się niepewnie - to lepiej też przeczytam... dzięki za Star Bombera...

- TeraBombera. Tata przywiózł mi ze Stanów Alabamę Smitha i feralne klejnoty. Jak chcesz, to ci zrobię kopię.

- Jasne!

- To fajna gra.

- Jasne - odparł Johnny, starając się, by zabrzmiało to przekonująco.

Jakoś nigdy nie miał serca wyjaśnić, że nie tknął ponad połowy otrzymywanych gier, i to z bardzo prostego powodu: gdyby chciał zagrać w każdą, nie miałby czasu na spanie czy jedzenie, nie mówiąc o mniej ważnych czynnościach, jak czytanie, czy też zupełnie nieistotnych, jak lekcje. Ponieważ Wobbler nigdy o to nie pytał, problem sam przestawał istnieć. A Wobbler nie pytał, gdyż z jego punktu widzenia gry kom-

puterowe nie były do grania, tylko do włamywania się i przerabiania tak, by miało się dodatkowe życia, broń itp. A potem do rozdawania tym, których się lubiło.

Dla Wobblera świat dzielił się na dwie części: pierwszą stanowił przemysł produkujący gry i próbujący wykończyć hackerów, drugą zaś on i jemu podobni. Obecnie druga strona zdecydowanie wygrywała.

- Słuchaj no - przypomniał sobie. - Zrobiłeś może dla mnie historię?

- Zrobiłem - przyznał Johnny. - O, tu... „Jaka była dola chłopca w czasie wojny domowej w Anglii”. Trzy strony.

- Dzięki. Szybko ci poszło.

- Bo w zeszłym semestrze z gegry pisaliśmy „Jaka była dola chłopca w Boliwii” i wystarczyło wywalić lamy, wsadzić królów i wszystko. Chłop zawsze miał przerabane, zawsze musiał się kłaniać, narzekał na pogodę i martwił się o zbiory. Eseje o chłopach to najprostsze zadania domowe...

Johnny leżał na łóżku i czytał instrukcję. Z pewnym rozrzewnieniem wspominał czasy, gdy opisy gier wyglądały mniej więcej tak: „Naciśnij < by skręcić w lewo i > by skręcić w prawo. Naciśnij „Ognia”, by strzelać.

Teraz człowiek musiał dokładnie przestudiować całą książkę, która choć była instrukcją obsługi, z niewiadomych powodów nazywana była uporczywie „opisem gry”.

Podejrzał, że w części była to działalność anty--Wobblerowa. Mianowicie jakiś spryciarz w Ameryce wymyślił, że skończy z piractwem, gdy gra będzie zadawała grającemu głupie pytania w stylu: „Jaki jest pierwszy wyraz trzeciej linijki na dziewiętnastej stro-

nie?!” A jak się nie odpowie właściwie, to komputer zresetuje całą grę.

Spryciarz najwyraźniej nigdy nie słyszał o kserokopiarce w biurze taty Wobblera.

Tak więc Johnny dostał od Wobblera i grę, i jej opis. Z tego ostatniego wynikało, że ScreeWee zjawili się Niewiadomoskąd właściwie po to tylko, by bombardować zamieszkane przez ludzi planety. Podstępny atakiem - jak to obcy - zniszczyli prawie całą flotę i została się tylko jedna sierota - model eksperymentalny, którego nie było wśród naszych okrętów. I teraz tylko ten jeden eksperymentalny myśliwiec i jeden jedyny pilot - to jest John Maxwell, lat dwanaście - mogą Uratować Ludzkość. Ma się rozumieć w przerwach między: szkołą, spaniem, jedzeniem i odrabianiem lekcji (w teorii przynajmniej).

Nigdzie, nawet najdrobniejszym drukiem, nie było wzmianki, co Zbawca - J. Maxwell, lat dwanaście - ma zrobić, gdyby krwiożercze hordy ScreeWee chciały się poddać.

Johnny westchnął, podszedł do komputera, siadł i załadował grę. Po paru sekundach na ekranie monitora ukazał się okręt baza najeźdźców. Dokładnie w środku celownika - tak jak go zostawił, kończąc poprzednie posiedzenie.

Ostrożnie złapał joystick i zamarł.

Na ekranie pojawiło się Coś.

Tym razem nie był to napis, lecz rysunek: pół tuzina jajowatych stworków z ogonami. Stworki się nie ruszały.

Jak na wiadomość było to raczej mało precyzyjne. Prawdę mówiąc, całkowicie

niezrozumiałe.

Po namyśle zdecydował, że może to być zachęta do tego, żeby wysłał wiadomość. Najbardziej pasowała mu „Gińcie, obrzydliwce”, ale byłaby jakoś nie na miejscu po poprzednich napisach, więc po kolejnym namyśle wystukał na klawiaturze:

O CO CHODZI?

Na ekranie natychmiast pojawił się żółty napis:

PODDAJEMY SIĘ! NIE STRZELAJ! TAK WYGLĄDAJĄ NASZE MŁODE.

Johnny przez grzeczność nie napisał, że są obrzydliwe. Wystukał za to:

TO TWOJA SPRAWKA, WOBBLER?

Tym razem przerwa trwała znacznie dłużej; w końcu wyświetliło się:

NIE WOBBLER. KONIEC WOJNY. PODDAJEMY SIĘ.

Johnny potrzebował dłuższego czasu do namysłu, nim wystukał:

DLAZCEGO?

CHCEMY DO DOMU!

Odpowiedzieli prawie natychmiast, co go zaciekało, bo o żadnym domu ScreeWee nigdzie nie pisano. Postanowił więc uzyskać więcej informacji:

W KSIAŹCE PISZE, ŻE ROZLIBIŚCIE MNÓSTWO PALNET.

Błyskawicznie wyświetliło się:

KŁAMSTWA!

Johnny się zamyślił. Coś tu nie pasowało - w każdej grze obcy bombardowali i niszczyli planety. Czasem je kolonizowali. Do obcych zawsze się strzelało, czy im się to podobało, czy nie. No i nigdy się nie poddawali i nie twierdzili, że chcą wrócić do domu.

Po chwili przyszło mu do głowy, że być może dlatego, iż nie mieli okazji.

Gry faktycznie stawały się coraz lepsze.

Takie dajmy na to MegaZoidy nigdy nie wyglądały naturalnie (nie mówiąc już o tym, że miały trzy strony opisu). To pewnie była ta cała rzeczywistość wirtualna, o której wszyscy ostatnio tyle opowiadają w telewizji.

Na próbę napisał:

W KOŃCU TO TYLKO GRA.

I przeczytał ku swemu zaskoczeniu:

CO TO JEST GRA?

Zdecydowany położyć kres tym głupim napisom, spytał:

KIM WY JESTEŚCIE?

Ekran zamigotał i po chwili pojawiło się na nim coś nieco podobne do traszki, a zdecydowanie bardziej podobne do aligatora. Owo coś spoglądało na niego, a towarzyszył mu napis:

JESTEM KAPITAN. NIE STRZELAJ!

Nieco stropiony odpisał:

JA STRZELAM DO WAS, A WY STRZELACIE DO MNIE. TO JEST GRA.

Obraz pozostał, napis się zmienił:

ALE MY GINIEMY!

Było to oczywiste, toteż odparł:

CZASAMI JA TEŻ GINĘ.

Ekran mignął i poinformował go:

ALE POTEM ZNOWU ŻYJESZ!

Zabrzmiało to niczym wyrzut i nieco go zaskoczyło, toteż po chwili namysłu wystukał:

A WY NIE?

Prawie natychmiast ujrzał na ekranie:

NIE. JAK KTOŚ GINIE, TO NA ZAWSZE. INACZEJ NIEMOŻLIWE.

To go wygłupiło do reszty, pospiesznie więc napisał:

W GRZE MOŻLIWE. NA PIERWSZYM POZIOMIE TRZEBA ZNISZCZYĆ TRZY OKRĘTY PRZED PLANETĄ. WIELE RAZY GRAŁEM I ZAWSZE SĄ TAM TRZY OKRĘTY...

Przerwało mu żółte zdanie:

ZA KAŻDYM RAZEM INNE.

Johnny przemyślał nowiny i spytał:

CO SIĘ STANIE, JAK WYŁĄCZĘ KOMPUTER?

Teraz przerwa się przeciągnęła, w końcu jednak na ekranie wyświetliło się:

NIE ROZUMIEMY PYTANIA.

To faktycznie była niecodzienna gra. Pewnie Misja specjalna albo jakiś inny nietypowy poziom.

DLACZEGO MAM WAM ZAUFAĆ?

Na ekranie natychmiast wyświetlił się żółty napis:

OBEJRZYJ SIĘ!

Johnny wyprostował się niczym żgnięty szpilką i znieruchomiał. Dopiero po naprawdę długiej chwili ostrożnie obrócił się wraz z fotelem.

Jak należało się spodziewać, pokój wyglądał normalnie i nikogo w nim nie było. Bo i dlaczego? Przecież to tylko gra!

Z ekranu tymczasem zniknęła aligatorotraszka i pojawił się dobrze znany obraz wnętrza kabiny myśliwca gwiazdnego. Na tablicy przyrządów najbardziej rzucał się w oczy ekran radaru. Radar był przecież najważniejszy przy określaniu położenia przeciwnika.

Tyle że teraz jego ekran był dosłownie usiany żółtymi kropkami.

A żółtym kolorem oznaczono jednostki ScreeWee.

Johnny złapał joystick i okręcił maszynę dookoła osi. Za nim była największa flota ScreeWee, jaką w życiu widział: fregaty, niszczyciele, krążowniki, tankowce, okręty bazy. Brakowało myśliwców, ale te prawdopodobnie znajdowały się na pokładach większych jednostek. No i wszyscy naturalnie celowali w niego...

Gdyby to nie była gra, poczułby się naprawdę nieswojo.

Tak, miał tego po prostu dość - uczciwa gra nie powinna się tak zachowywać!

Wystukał więc:

DOBRE. CO TERAŻ?

Odpowiedź brzmiała:

CHCEMY DO DOMU!

Odpisał:

NO TO LEĆCIE!

Ekran zaczął się stawiać:

ZAPEWNIASZ NAM PRAWO BEZPIECZNEGO PRZELOTU?

Mając wszystkiego serdecznie dość, odpisał:

TAK.

Ekran zgaśł.

Johnny był rozczarowany - żadnych gratulacji, żadnego wyniku do wpisania na Listę Najlepszych. Nic, nawet głupiego napisu GAME OVER.

Tylko kursor, jak zwykle migający w rogu ekranu.

Swoją drogą ciekawe, co im obiecał, przekładając tę dyskusję na ludzki język.

2. Co zrobić, żeby grać

Rozsądny człowiek w wieku dwunastu lat nigdy nie powie rodzicom: „Słuchajcie, potrzebuję komputera, żeby sobie pograć w Megaasteroidy”. Dodać przy tym należy, że rodzaj gry nie ma w tym wypadku żadnego znaczenia - komputera i tak nie dostanie.

Rozsądny dwunastoletni człowiek powie rodzicom: „Słuchajcie, potrzebuję komputera do nauki”. I go dostanie.

Poza tym można w tym celu wykorzystać nawet Ciężkie Czasy. A Ciężkie Czasy przechodzi prawie każdy dom, choć u Johnny'ego miały one wyjątkowo ciężki przebieg. Jak człowiek przesiaduje głównie w swoim pokoju, a wychodzi z niego ze spuszczoną głową, to coś takiego jak komputer dość szybko się materializuje. Dzięki temu wszyscy mają lepsze samopoczucie.

No i przyznać trzeba, że komputer w nauce też się przydaje. Johnny na przykład wpisał mu do pamięci esej pod tytułem „Dola chłopca w...”, potem wystarczyło wstawić lamy albo królów, albo co tam było potrzebne, zdrukować i przepisać. Przepisać ręcznie dlatego, że choć w szkole mieli pracownię komputerową, gdzie odbywały się zajęcia ze znajomości klawiatury i wykorzystania nowych technologii, to gdy ktoś próbował tę znajomość wykorzystać - na przykład odda-

jąc esej wydrukowany, nie napisany - prosił się o kłopoty. Po przepisaniu jednakże esej spełniał wszystkie kryteria zadania domowego.

Ciekawe przy tym, że komputer był zupełnie nieprzydatny w matematyce. Johnny zawsze miał kłopoty z algebrą. Powód był stosunkowo prosty - żaden nauczyciel nie zadowalał się rozwiązaniem w postaci eseju, na przykład pod tytułem „Co się czuje, będąc x^2 ”. Ten problem rozwiązało porozumienie o współpracy z Bigmakiem, u którego napisanie najprostszego wypracowania wywoływało te same uczucia co u Johnny'ego rozwiązywanie równań kwadratowych. Rodziców zresztą to i tak niewiele obchodziło, dopóki oceny były pozytywne, a do domu nie przychodził policjant z informacją: „Państwa syn był łaskaw przybić nauczycielkę do krzesła”.

Jak człowiek uważa, to ma spokój i nikt w domu się go nie czepia.

Komputer jednak zdecydowanie został stworzony do gier i do tego najlepiej się

nadawał. A jak się jeszcze ściszyło kolumny, to nie dość, że nikt nie przychodził z pretensjami, że się człowiek nie uczy, ale także głowa nie bolała od strzelaniny. No, a w Ciężkich Czasach przy lekkim podgłośnieciu nie dochodziły krzyki z salonu...

Okręt baza ScreeWee zdecydowanie nie należał do cichych i spokojnych miejsc. W powietrzu wyczuwało się jeszcze dym pożarów spowodowanych ostatnim atakiem. Wszędzie roilo się od techników próbujących jak najszybciej naprawić uszkodzenia, a mostek, będący dotychczas oazą ciszy i spokoju, stanowił oko cyklonu, mimo że nie odniósł żadnych uszkodzeń. W powietrzu wisiał nie tylko dym.

Kapitan miała żółte kręgi pod oczami, co najlepiej

świadczyło o zmęczeniu i braku snu. Na sen jednak nie było czasu - ostatni atak okazał się wyjątkowo ciężki: jedna czwarta myśliwców została zniszczona, wiele innych jednostek uszkodzonych, a co najgorsze, zniszczono dwa transportowce z żywnością. Jeśli nie wystrzelają ich ludzie, to czeka ich perspektywa niemiłej - bo dłuższej - śmierci głodowej.

No i był jeszcze Oficer OgnioWy...

Ten, który właśnie stał przed jej fotelem, umieszczonym na podwyższeniu.

- To nie jest rozsądne posunięcie! - powtórzył.

- To jedyne, co nam pozostało - odparła z wyczuwalnym zmęceniem.

- Nie! Musimy walczyć!

-1 zginać! - warknęła ze złością. - Walczymy i giniemy. Tak to działa.

- W takim razie zginiemy z honorem!

- W tym zdaniu jest jedno ważne słowo i nie jest nim „honor” - stwierdziła zimno.

Jej rozmówca ze złości pozieleniał, w odcieniu z lekka seledynowym.

- On zniszczył kilkadziesiąt naszych jednostek! -wykrztusił.

- A potem przestał.

- A inni nie! To ludzie, a ludziom nie można ufać! Przecież oni strzelają do wszystkiego!

Zrezygnowana oparła paszczkę na zaciśniętej pięści.

- On nie strzela - starała się mówić spokojnie - on słucha. I rozmawia. Żaden inny spośród tych, z którymi próbowaliśmy, nawet nie chciał słuchać. On może być tym Jedynym.

Artylerzysta oparł obie górne kończyny na stojącym nieco z boku stoliku i oświadczył:

- Rozmawiałem z innymi oficerami. Nie wierzę w bajki, a oni zgodzą się ze mną, gdy dotrze do nich bezsens tej decyzji. Zostaniesz pozbawiona dowództwa.

- No to zostanę. Ale na razie to ja tu jestem Kapitanem i ja dowodzę. Jasne?! Także ja ponoszę pełną odpowiedzialność, ale tego, jak sądzę, nie zrozumiesz. A teraz odmaszerować!

Widać było, że podwładnemu się to nie podoba, ale rozkaz wykonał. Właściwie należałoby go rozstrzelać, co zaoszczędziłoby kłopotów w przyszłości, lecz chwilowo miała dość jakiegokolwiek strzelania. Teraz czekały ją ważniejsze sprawy.

Odwróciła się do głównego ekranu, zajmującego prawie całą ścianę. Nieprzyjacielska jednostka wciąż znajdowała się przed nimi. Dziwne stworzenia ci ludzie -tak ich niewielu, a tacy groźni. Można ich było pokonać, ale ciągle wracali. Nie sposób ich zrozumieć.

Natomiast jedno nie ulegało wątpliwości: w kosmos wysyłali jedynie najlepszych i najodważniejszych!

Jedną z niewielu zalet Ciężkich Czasów jest to, że można do woli buszować w lodówce i nie ma określonych godzin posiłków. Złą stroną to, że w zasadzie nie ma też ucziwych obiadów. W tej ostatniej sprawie wszyscy stali się samowystarczalni, toteż Johnny po głębokim namyśle zdecydował się na fasolkę po bre-tońsku z makaronem.

Przez cały czas przygotowywania i jedzenia nasłuchiwał dźwięków dochodzących z salonu. Usłyszał jedynie telewizor, toteż spokojnie wrócił do swojego pokoju. Też miał telewizor - gdy na dole zjawił się nowy, stary wylądował u niego. Co prawda był mniejszy, trzeba było podejść do niego, by cokolwiek przełączyć, ale po Ciężkich Czasach nie należy się spodziewać zbyt wiele. W wiadomościach pokazywali jakiś film: rakiety przelatywały nad jakimś miastem. Ładne było, ale krótkie.

Gdy film się skończył, Johnny poszedł spać.

Johnny nie był specjalnie zaskoczony, gdy ocknął się w kabinie myśliwca, mając przed nosem tablicę kontrolną i gwiazdy. Tak samo było w paru filmach i przy Kapitanie Zoomie -jak człowiek przez cały wieczór łąził po drabinach, unikał laserowego ognia i skakał po dziurach, to śniło mu się, że robi to nadal, tyle że osobiście.

Teraz było tak samo.

Przyznać trzeba, że był to całkiem dobry sen - nawet czuł fotel, w którym siedział. I zapach rozgrzanego oleju i plastyku. Tablica kontrolna była trochę przybrudzona, ale wszystko znajdowało się na swoim miejscu: ekran radaru, joysticki... Najwyraźniej jego wyobraźnia musiała się solidnie zabrać do roboty. Pewnie wzięła nadgodziny!

Zresztą tak było znacznie lepiej, niż gdy siedział przed komputerem. W kabinie nie panowała martwa cisza - coś cykało, coś szumiało, coś brzęczało. I grafika była znacznie lepsza.

Przed sobą miał znany obrazek - całą flotę Scree-Wee. Wisiała sobie nieruchomo w powie... tego, w przestrzeni.

I nic.

Sny powinny być atrakcyjniejsze. Powinni człowieka gonić albo strzelać, albo co. Coś się powinno dziać! Fakt, siedzenie w kabinie gwiazdnego myśliwca z pełnym zapasem rakiet jest fajne, ale poza tym coś się powinno zacząć dziać.

Przyjrzał się przyciskom - były inne, ale podobnie ustawione jak w klawiaturze komputera. O, choćby ten tu... Nacisnął go i na ekranie komunikatora pojawił się znany obraz aligatora z domieszką traszki.

- Odbierasz mnie? - zapytał traszkoaligator.

- Tak - w odpowiedzi Johnny'ego więcej było zdziwienia niż stwierdzenia.

- Jesteśmy gotowi.

- Gotowi? - Tym razem Johnny był wyłącznie zdziwiony. - Do czego?

- Żebyś nas stąd bezpiecznie wyprowadził! - w głosie wydobywającym się z sitka obok ekranu dało się słyszeć zniecierpliwienie.

Urządzenie tłumaczące musiało być naprawdę dobre, skoro oddawało intonację. Bo raczej było mało prawdopodobne, żeby ScreeWee nauczyli się mówić po ludzku, czyli po angielsku.

- A gdzie mam was zaprowadzić? - zainteresował się Johnny.

- Na Ziemię!

- Zaraz, zaraz! Podobno chcecie do domu, a na Ziemi to ja mieszkam! Nie ma głupich: na pewno nie pokażę wam drogi na Ziemię!

W sitku coś zachrobotało, zawyło i umilkło. Dopiero po parunastu sekundach

odezwał się w nich głos Kapitan:

- Przepraszam. Błąd mechanicznego tłumacza bez wyobraźni. My też swoją rodzinną planetę nazywamy Ziemią. Kiedy użyłam tej nazwy, twój komputer znalazł jej odpowiednik i stąd to całe nieporozumienie. Stąd prosty wniosek: komputer nie jest dobrym tłumaczem, bo nie ma wyobraźni. Ale nie o to chodzi: nie interesuje nas droga do twojej Ziemi. W języku ScreeWee nazywa się ona zresztą zupełnie inaczej. Najprościej będzie, jeśli ci pokażę, gdzie jest nasz dom.

Na ekranie nawigacyjnym pojawiło się czerwone koło. Ciąg dalszy Johnny znał na pamięć: trzeba było nakryć je zielonym tak, by nic nie wystawało, i nacisnąć klawisz. Komputer robi binkabinkabinkabinka-bink i weźmie właściwy kurs.

Dopiero gdy komputer zabinkował, do Johnny'ego dotarła drobna, acz zasadniczej wagi prawda: ScreeWee pokazali mu drogę do swojego domu!

A to oznaczało ni mniej, ni więcej, tylko to, że mu ufali!

Nie mając wyboru, ruszył z początku wolno, potem dał pół ciągu. Flota ScreeWee kornie ruszyła za nim, ustawiając się w jakąś tylko sobie znaną formację.

Cóż, nie wyglądało to najgorzej...

Radar buupnął i zapłonęła na nim zielona kropka.

Prosto przed dziobem. A zielony oznaczał swoich. Czyli w tym wypadku przeciwnika...

Po mniej więcej piętnastu sekundach Johnny gołym okiem mógł dostrzec maszynę identyczną jak jego własna, zbliżającą się pełnym ciągiem. Maszynę było słabo widać, bo cały czas zasłaniały ją częściowo rozbłyśki laserów.

Nowo przybyły strzelał do niego!

Johnny odruchowo ściągnął drążek, wychodząc spod ognia, i tamten przemknął pod nim, kierując się ku flocie ScreeWee.

Która się przecież poddała!

No, tak: ale tylko jemu...

Reszta graczy rozsiansych po całym świecie dalej walczyła z obcą inwazją - czyli grała do bólu i upojenia.

- Słuchaj no! - wrzasnął. - Przestań strzelać! Oni już nie grają!

Myśliwiec całkiem zgrabnym skrzętem wziął kurs na środek formacji i wystrzelił rakietę.

-Posłuchaj! Musisz przestać strzelać! - wrzasnął rozpaczliwie Johnny, czując, że to daremny trud: przeciwnika się nie słucha, do przeciwnika się strzela.

Dlatego właśnie jest przeciwnikiem.

I po to właśnie jest przeciwnikiem.

Johnny zawrócił, starając się znaleźć za myśliwcem, który zwolnił i z działek obrabiał okręt bazę, aż drzazgi leciały.

A okręt ScreeWee nie strzelał... Johnny obserwował to wszystko z rosnącym przerażeniem.

Kolejne trafienie wstrząsnęło okrętem. Oficer Ogniovy pozbierał się z pokładu i trzymając się fotela, wrzasnął:

- Idiotko! Mówiłem, że tak się skończy! Żądam, żebyśmy odpowiedzieli ogniem! Kapitan obserwowała maszynę Wybrańca.

- Nie - powiedziała spokojnie. - Musimy mu dać szansę! Nie będziemy strzelali do ludzkich okrętów!

- Szansę?! A jaką szansę mamy? Zaraz wydam rozkaz otwarcia...

Urwał, gdyż wylot lufy miotacza Kapitan znalazł się na wprost jego prawego oka. ScreeWee z zasady walczyli wręcz bez broni, ale nosili ją jako element wyposażenia, gdyż nie tylko z przedstawicielami własnego gatunku miewali bezpośrednie kontakty. Rzadko go używano czy nie, z samego kształtu miotacza jednoznacznie wynikało, że to, co wylatuje z lufy, ma szybko osiągnąć cel i zrobić w nim jak największą dziurę. Nic więc dziwnego, że oficer zbłękitniał ze strachu. Starczyło jednak odwagi, by wykrztusić:

- Nie ośmielisz się strzelić!

To tylko gra, powtarzał sobie Johnny, zachodząc przeciwnika od ogona. To dzieje się tylko na ekranie czyjegoś komputera.

Choć z drugiej strony także działa się tutaj, a tutaj było aż nadto rzeczywiste. Skończył manewr.

Reszta była łatwa. Aż za łatwa. Wycelować, pocze-

kac, aż rakietą zabija, i nacisnąć spust. Dopiero gdy ucichło, zorientował się, że trzymał naciśnięty spust tak długo, aż odpalił wszystkie rakiety.

Tamten nawet go nie dostrzegł. Tak był zajęty strzelaniem do okrętów ScreeWee, że stał się nader malowniczym wybuchem, nim się zorientował, że coś mu

w ogóle zagraża.

Tak to wygląda w grze, pomyślał Johnny. Czysto, ładnie i cicho (jak się wyłączy fonie).

Nagle całą kabinę zalało jaskrawe światło eksplozji.

Ktoś go załatwił dokładnie w ten sam sposób.

Przez ułamek sekundy zdawał sobie sprawę z lodowatej pustki wokół, w której znajdowały się różne rzeczy...

Krzesło. Stół. Łóżko.

Zamrugnął zaskoczony i rozejrzał się. Siedział w swoim pokoju przed swoim komputerem. Ekran był czarny, a on tak ścisnął joystick, że musiał sam sobie powtórzyć polecenie, by go puścić.

Zegar przy łóżku wskazywał 6:30, bo był zepsuty. Co oznaczało, że Johnny ma przed sobą dobrą godzinę.

Nie położył się jednak. Włożył szlafrok i oglądał telewizję aż do chwili, w której włączyło się budzenie. Pokazywali inny film z rakietami; tym razem latały nad miastem i nad pustynią. A może na życzenie widzów powtarzali wczorajszy, bo miasto i rakiety były dziwnie podobne...

Johnny zdecydował się porozmawiać z Yo-lessem.

Yo-less nosił takie przezwisko, ponieważ był Murzynem i nigdy nie mówił yo, lecz yes, co było rzadkością. Co prawda Johnny był biały, nie mówił yer i nie nazywano go Yer-less, ale to Johnny był genera-

torem przezwisk, a nie odwrotnie. Poza tym Yo-less wolał to od poprzedniego - MC Spanner*.

Yo-less, Wobbler, Bigmac i Johnny z reguły trzymali się razem. Wbrew pozorom nie tworzyli gangu -byli raczej odpadkami gangowymi, które nigdzie nie pasowały. To tak, jakby wziąć paczkę chipsów, potrząsnąć i wysypać: w jednym rogu zawsze zostanie kilka kawałków, którym jest tam dobrze.

Johnny nie wdawał się w detale - odciągnął Yo-les-sa na bok i streścił mu zwięźle sen, starannie omijając napisy na ekranie. Yo-less wysłuchał go uważnie, co o niczym nie świadczyło. Yo-less bowiem zawsze uważnie słuchał każdego i wszystkiego, co z nie sprecyzowanych bliżej powodów systematycznie nerwico-owało nauczycieli. Jakby się obawiali, że przyłapie ich na opowiadaniu bzdur albo czegoś

jeszcze gorszego.

- To jest projekcja konfliktu psychologicznego - ocenił Yo-less, gdy Johnny skończył. - Chcesz serową chrapkę?

- Co to jest?

- Chrupka o smaku serowym, nie mająca nic... -Nie to. To, co powiedziałeś wcześniej: co to jest? Yo-less oddał paczkę Bigmacowi i powiedział ostrożnie:

- Twoi rodzice się rozchodzą, prawda? -Możliwe. Te Ciężkie Czasy trwają wyjątkowo

długo.

- A ty nic nie możesz na to poradzić.

- Faktycznie, nie mogę - przyznał uczciwie Johnny.

- I nie da się ukryć, że ta sytuacja odbija się na tobie.

- Prawda: sam muszę sobie gotować obiady.

- Właśnie. Więc twój mózg zmienia w czasie snu te tłumione emocje w grę komputerową. To się często zdarza. - Matka Yo-lesa była pielęgniarką, a on sam zamierzał zostać lekarzem, toteż w sprawach medycznych zawsze mówił strasznie mądrze. - Ponieważ nie możesz rozwiązać rzeczywistych problemów, zamieniasz je w takie, które możesz rozwiązać. Hmm... trzydzieści lat temu pewnie śniłbyś o walce ze smokami albo czymś takim. Zdaje się, że to się nazywa fantazjowanie projekcyjne czy jakoś tak.

- Ratowanie tysięcy myślących krokodyli nie jest takim prostym ratowaniem - zwrócił mu uwagę Johnny.

- Pewnie - zgodził się Bigmac. - Prościej byłoby je wystrzelać.

Bigmac nosił wojskowe buty i plamiaste spodnie od maskującego munduru polowego, przez co dawał się zauważyć nawet w największym tłumie.

- Musisz zrozumieć, że to nie jest naprawdę - dodał Yo-less. - Życie to życie, a to, co masz na ekranie, nie jest życiem i nie jest realne. To nie jest prawda!

- Złamałem Stellar Smashers - wtrącił Wobbler. -Jak chcesz, to ci dam. Wszyscy mówią, że lepsze.

- Nie. Chyba jeszcze pogram w tamto. Spróbuję dojść do poziomu dwadzieścia jeden.

- Kiedy dojdiesz i rozwalisz wszystko, na ekranie wyświetli się numer. Jak go

zapiszesz i wyślesz do Gobi Software, to dostaniesz pięć funtów - poinformował go Wobbler. - Pisali w „Computer Weekly”.

- Całe pięć funtów? - Johnny pomyślał o Kapitan. - Laskawcy...

Następny był wuef, a właściwie hokej, w który grywał jedynie Bigmac. Dotychczas Bigmac unikał wue-fu, ale perspektywa gania z kijem, którym oficjalnie można tłuc innych po nogach, była zbyt zachęcająca, by się jej oprzeć.

Yo-less nie grał z powodu intelektualnej niekompa-tybilności (to jest zwolnienia lekarskiego), Wobbler dlatego, że poprosił go o to trener, a Johnny z racji ogólnego zdegustowania sportem (czyli zwolnienia od rodziców, którzy nawet nie pamiętali, że coś takiego podpisali). Dzięki temu wrócił wcześniej do domu i pożytecznie spędził popołudnie, studiując dokładnie instrukcję gry.

Komputera nie ruszył. Nawet się do niego nie zbliżył.

Wiadomości wieczorne były wydłużone, dlatego przesunięto emisję serialu, wyjątkowej tandety. A przedłużenie spowodowane było znanym już filmem o rakietach i innych pociskach. Z tym że teraz był dłuższy i było widać tłum podnieconych czymś dziennikarzy w piaskowych koszulkach. Tak się kłócili, że wyglądało na to, iż za chwilę sami wybuchną.

Z dołu dochodziły głośnie pretensje o serial (mama), toteż z westchnieniem zabrał się do lekcji. Tym razem, dla odmiany, do historii, a konkretnie jakiegoś Kolumba Krzysztofa. Zgodnie ze starą zasadą „minimum wysiłku, maksimum efektu” Johnny przepisał z encyklopedii około czterystu słów (czyli standard), naturalnie zmieniając styl. Tak na wszelki wypadek.

Skończył i uświadomił sobie, że po prostu robi co może, żeby odwlec włączenie komputera. Do czego to doszło, żeby normalny dwunastoletni (!) człowiek wolał odrabiać lekcje, zamiast grać!

Mógł co prawda pograć w Pac-Mana albo innego Bulderdasha, ale żywił poważne podejrzenia, że duchy nie dadzą się zjeść, a kamienie pozbierać. A tego byłoby już nadto - dość miał zmartwień, i to poważniejszych.

Jedno właśnie się zjawilo.

Ojciec poczuł nagły przyływ odpowiedzialności i chcąc się wywiązać z rodzicielskich obowiązków, wdrapał się na górę. Zdarzało się to przeważnie raz

na tydzień lub dwa po szczególnie zacieklej wymianie poglądów z matką. A

dzisiejsza „rozmowa”, która zaczęła się od narzekań na przesunięcie serialu, nie należała do najcichszych. Johnny musiał przyznać, że w tej sprawie zawiodła go pomysłowość - jak dotąd nie znalazł sposobu, by zniechęcić tatę do odwiedzin, toteż z rezygnacją przygotował się na zwyczajowe dwadzieścia minut pytań w rodzaju: „Jak tam w szkole?” albo: „Zastanowiłeś się, ale tak poważnie, co chcesz robić, gdy dorośniesz?”

Najrozsądniej było uprzejmie odpowiadać i niczym nie zachęcać do przedłużania wizyty, a już w żadnym wypadku nie wdawać się w dyskusję.

Ojciec przysiadł na łóżku i rozejrzał się po pokoju, jakby go nigdy przedtem nie widział. Potem poszła seria pytań o nauczycieli (podobną Johnny przeżył ostatnio w pierwszej klasie), a następnie zapadła cisza. W końcu ojciec, nie patrząc na nic konkretnego na suficie, odezwał się:

- Ostatnio sprawy się nieco skomplikowały. Sądzę, że zauważyłeś.

-Tak.

- W pracy też się trochę pokomplikowało. To nie jest najlepszy czas na rozkręcanie nowego interesu.

-Tak.

- Wszystko w porządku? -Tak.

- Nie chcesz o czymś konkretnym porozmawiać?

- Raczej nie.

Tata rozejrzał się ponownie i spytał:

- Pamiętasz, jak w zeszłym roku wybraliśmy się na tydzień do Falmouth?

-Tak.

- Podobało ci się, prawda?

Johnny potrzebował chwili, by zachować podstawową zasadę: żadnych dyskusji. Wyjazd, o którym była

mowa, podsumowywało: skręcona kostka, poparzenie słoneczne i codzienne wstawanie o ósmej trzydzieści. I to miały być wakacje! Aha, jedyny telewizor w pensjonacie znajdował się w jadalni i stale okupowała go jakaś staruszka, której za żadne skarby świata nie dało się odebrać pilota.

- Tak - powiedział, mając nadzieję, że wyszło mu to szczerze.

- Może uda nam się tam pojechać w tym roku.

- Może. - Johnny mimo wysiłków nie był w stanie zdobyć się na choćby szczyptę entuzjazmu.

- Jak ci idzie z Kosmicznymi Najeźdźcami!

- Przepraszam?

- No, z grą na komputerze. Nazywa się Kosmiczni Najeźdźcy.

Johnny spojrzął na czarny ekran, jakby go pierwszy raz zobaczył.

- Co to takiego? - spytał ostrożnie.

- Taka gra - wyjaśnił cierpliwie rodziciel, wcale nie zaskoczony nagłą i niespodziewaną tępotą syna. - Grywaliśmy w to w pubach, jeszcze zanim się urodziłeś. Takie zielone, trójkątne, z sześcioma odnóżami albo manipulatorami. Pojawiały się u góry ekranu, a jak doszły na dół, to przegrywałeś. Trzeba było do nich strzelać. A co, teraz się inaczej nazywają?

Johnny zignorował całkowity brak logiki rodzica i ciesząc się z jego chwilowego chyba zaćmienia umysłowego, zamyślił się głęboko.

- A co się stało, jak wystrzelałeś wszystkich? - spytał po chwili.

-A, to nie był problem: zjawiali się nowi. - Tata wstał. - Chociaż teraz chyba gry są bardziej skomplikowane...?

-Tak.

- Odrobiłeś lekcje?

- Tak.

- Co miałeś na dzisiaj?

- Historię. Życiorys Kolumba.

-Kolumba...? Aha, to ten, co szukał Azji, a przypadkiem znalazł Amerykę. Możesz to dopisać...

- Już napisałem. Tak było w encyklopedii.

- Cieszę się, że z niej korzystasz.

- Jest ciekawa.

-Taak. Dobrze. No cóż... to pójde chyba sprawdzić te rachunki... - Mhmm. -Jeśli chciałbyś o czymś porozmawiać, to wiesz...

- Wiem.

Johnny odetchnął dopiero wtedy, gdy usłyszał, jak zamykają się drzwi do salonu. W pewnym momencie miał ochotę zapytać, gdzie jest instrukcja obsługi

zmywarki, ale zrezygnował. Tego tata i tak by nie wiedział.

A potem włączył komputer.

I załadował grę.

Wyświetliła się czołówka, a następnie na ekranie ukazała się przestrzeń.

Pusta.

Wziął joystick, polatał trochę w kółko i musiał przyznać sam przed sobą, że coś się diametralnie zmieniło.

Mianowicie nie było ScreeWee.

Na wszelki wypadek załadował grę raz jeszcze. Sytuacja się powtórzyła. Na ekranie pojawiły się jedynie migoczące gwiazdy.

Tym razem latał aż do wyczerpania paliwa, ale ani gołym okiem, ani na ekranie radaru nie dostrzegł jednego choćby myśliwca ScreeWee. Grać się nie dało.

Odlecieli.

3. Próba inwazji?!

Wiadomości ostatnio z reguły stawały się coraz dłuższe - połowę zajmowały czołgi i mapy pustyni z zielonymi strzałkami i czerwonymi liniami. Od nadmiaru tych kolorów aż ćmiło w oczach. Zawsze też w prawym dolnym rogu było zdjęcie dziennikarza, którego głos dobiegał jako komentarz. Pustynia musiała być zdecydowanie niezdrowym miejscem, bo wszyscy mieli chrypę i ledwie można ich było zrozumieć.

Johnny zrezygnował po kilku minutach, wyłączył fonię i zadzwonił do Wobblera.

-Tak?

- Czy mógłbym rozmawiać z Wob... chciałem powiedzieć: ze Stephenem?

W słuchawce coś zachrobotało, trzasnęło i umilkło.

- Tak? - odezwał się znajomy głos. -To j a, Wobbler.

-Tak?

- Słuchaj, grałeś ostatnio w Tylko Ty Możesz Uratować Ludzkość”?

- Nie. Ale znalazłem sposób, żeby...

- Możesz zaraz załadować tę grę? Zależy mi. W słuchawce zapanowała cisza.

-Dobrze się czujesz? - spytał w końcu, nieco podejrzliwie, Wobbler.

- Dobrze, bo co?

- Bo jakoś tak dziwnie cię słychać.

- Słuchaj, czuję się dobrze i chcę, żebyś załadował tę grę i zadzwonił potem do mnie. Zgoda?

-No, niech już ci będzie... Wobbler zadzwonił godzinę później.

- Czy mógłbym...

- To ja! - przerwał mu Johnny.

- Nie ma obcych, tak?

- Właśnie!

-Pewnie tak miało być. Wiesz, to się da zrobić: wmontować program, że określonego dnia wszyscy obcy mają zniknąć. Taka bomba z opóźnionym zapłonem.

-Po co?

- Żeby gra była ciekawsza. Teraz musisz poszukać przeciwnika. Gobi Software

pewnie ogłaszała to w gazetach komputerowych, ale jakoś mi w oko nie wpadło. A co cię tak ruszyło?

- Myślałem, że to tylko moja gra.
- Nie tylko. Będziesz jutro w sklepie? -Pewnie.
- To na razie.

Johnny powoli odłożył słuchawkę. Co do programów, o których mówił Wobbler, to też słyszał, że istnieją. Pisali nawet o tym w gazetach. Był, zdaje się, taki wirus Piątek Trzynastego, który sprawdzał daty, i jak trzynastego wypadło w piątek, to potrafił nieźle namieszać w komputerach w całym kraju. W gazetach pisali wtedy o złośliwych hackerach i Wobbler przez tydzień przychodził do szkoły w okularach przeciwsłonecznych.

Wrócił do komputera i w zamyśleniu obserwował ekran, na którym od czasu do czasu przemknęła jakaś gwiazda.

Wobbler zrobił kiedyś taką grę. Nazywała się Podróż na Alfę Centauri. Ponieważ uparł się, by trwała tyle co w rzeczywistości, to przez trzy tysiące lat

gracz mógł oglądać na ekranie tylko sporadycznie migające gwiazdy. Gdyby jakimś cudem ktoś miał za trzy tysiące lat ten sam komputer, mógłby zobaczyć pojawiającą się na ekranie planetę, a potem napis:

WITAMY NA ALFIE CENTAURI. WRACAJ DO DOMU!

Johnny od czasu do czasu zmieniał kurs, ale kosmos wszędzie wyglądał tak samo. Pusto.

W końcu zniechęcony wyłączył komputer i obejrzał wiadomości.

Głównie występowały rakiety, a szczególnie takie, co to powinny strącać inne rakiety. Było to raczej nudne, więc poszedł spać.

Flota leciała w formacji wyglądającej jak długie na setki mil wrzeciono. I systematycznie, w miarę jak rozchodziła się wieść o tym, że się poddali, zwiększała liczebność. Przed nią leciała maszyna Wybrańca, nie odpowiadając na żadne wezwania.

Ale nikt do nich nie strzelał. Od wielu godzin na ekranach radarów nie pojawił się żaden ludzki okręt. Najwyraźniej zostały gdzieś z tyłu i Kapitan po raz pierwszy zaczekać mieć nadzieję, że naprawdę może im się udać...

Johnny obudził się w kabinie myśliwca.

Nie było to najwygodniejsze miejsce do spania. Swoją drogą zadziwiające, jak wygodny fotel zaczyna uwierać i uciskać po paru godzinach użytkowania. W dodatku funkcję toalety, zamiast uczciwego sedesu z klapą, pełniła dziwna kombinacja rurek, klap i przycisków. No i nie było idealnej wentylacji.

Jak dotąd gry komputerowe nie oddawały dwóch wrażeń: smaku i zapachu. Zresztą Johnny nie był pe-

wien, czy to go martwi, czy cieszy. Dalsze rozważania tej natury przerwało mu pingnięcie radaru.

Kropka była czerwona, co samo w sobie było dość dziwne.

I nie ruszała się.

Zostawił więc flotę i poleciał sprawdzić, co to takiego.

Był to potężny okręt. A raczej jego wrak, gdyż większość stanowiły wytopione dziury, a reszta unosiła się w przestrzeni cicha i ciemna, obracając się wokół własnej osi. Zielony okręt, o kształcie z grubsza trójkątnym, miał sześć wypustek przypominających ni to odnóża, ni to nie wiadomo co. Trzy z nich były zresztą w stanie szczątkowym, spalone i stopione. Wyglądał na krzyżówkę pająka z ośmiornicą, wymyśloną w całości przez komputer - wszystko zaprojektowane wzdłuż linii prostych i równie prostych kątów. W wypalonych otworach dało się zauważyć coś, co sugerowało istnienie topornego wnętrza.

Po chwili namysłu włączył radio.

- Kapitanie? -Tak?

- Widzisz to co ja? Co to takiego?

- Czasami napotykamy podobne wraki. Sądzymy, że to pozostałość po pradawnej rasie, która wyginęła. Nie wiemy, jak się nazywali ani skąd przybyli. Ich okręty są jednak prymitywnymi konstrukcjami.

- Sądzę, że zwano ich Kosmicznymi Najeźdźcami...

- Tak ich nazywali ludzie? -Tak.

- Tak właśnie sobie myślałam...

Johnny był wdzięczny, że nie może zobaczyć jej miny.

Radar zapingał ponownie.

Znalazł kropkę, tym razem zieloną, zbliżającą się z dużą szybkością.

Nie było cienia wątpliwości: kolejny gracz!

Tym razem Johnny się nie wahał.

Problem ScreeWee polegał na tym, że niezbyt dobrze walczyli, co było widać po paru pierwszych grach. Pokonać ich było łatwo, bo nie bardzo potrafili wyczuć, kiedy wykonać właściwy manewr. Nie należeli też do przebiegłych. Walczyli, można by rzec, automatycznie - w sposób wyuczony i bez krzty wyobraźni. Tak samo zresztą było we wszystkich grach, z którymi Johnny miał okazję się zetknąć, a które zawierały w tytule „kosmos” lub „obcych” lub coś zbliżonego. W każdej po kilku potyczkach, gdy się wyczuło przeciwnika, wygrywało się z nim bez problemów.

Nowy gracz, zafascynowany potężną flotą, nie zwrócił uwagi na pojedynczą zieloną kropkę na radarze. Tyle że tym razem Johnny nie miał najmniejszej ochoty go przekonywać, by zawrócił - miał sześć rakiet i odpalił dwie, gdy tylko dostrzegł przeciwnika. A potem jeszcze dwie... i jeszcze...

Chmura ognia i rozmaitych drobiazgów stanowiła jedyną pozostałość po zapalczywcu.

Będzie musiał, ofiara jedna, zaczynać grę od nowa!

Jedynym problemem było to, że wszystko stawało się odrobinę zbyt realne. No, ale w snach zawsze tak bywa, toteż Johnny, zamiast myśleć o tym, zajął się dokładnymi oględzinami kabiny. Było to zajęcie i przyjemniejsze, i produktywniej sze. Zaintrygowało go coś wystającego z boku konsoli. To coś miało giętą końcówkę zakończoną dyszą, a w pobliżu znajdował się pojemnik zawierający papierowe kubki. Jak się taki kubek ustawiło pod odpowiednim kątem i przygięło końcówkę, to z dyszy leciała ciecz wyglądająca niczym gęsta zupa jarzynowa. Porcja starczała akurat na kubek, a gdy został napełniony, ze skrytki obok wyjeżdżała szuflada zawierająca dużą plastikową torbę z kilkoma niewielkimi kanapkami. Torba mu-

siała być duża, gdyż wydrukowano na niej spis składników odżywczych i na mniejszej nijak by się taka lista nie zmieściła. Wynikało z niej, że jest tam wszystko, czego człowiekowi potrzeba do życia.

Co wcale nie znaczyło, że musiało to być smaczne.

Ponieważ zdążył zgłodnieć, zabrał się do zupki i kanapek.

W połowie posiłku coś łupnęło tak, że cały myśliwiec się zatrzęsł, aabinę wypełnił czerwony blask i wycie alarmów. Spojrzał przed siebie i zobaczył znajomy kształt gwiazdnego myśliwca oddalającego się w zwrocie.

- Tak się dać zaskoczyć!

Nie dojeżdżona kanapka poleciała gdzieś w tył, kubek z resztą zupy trafił do pochłaniacza (raczej samodzielnie, bo cisnął go byle gdzie), a Johnny złapał za joystick.

Napastnik zawracał do kolejnego ataku. Johnny gorączkowo sięgnął do klawiatury i nagle się opamiętał: co takiego może mu się przydarzyć?

W najgorszym razie się obudzi!

Spokojnie dał się trafić jeszcze raz, a gdy przeciwnik kładł maszynę w zwrot, nacisnął spust laserów.

Kolejna eksplozja i chmura szczątków.

Tamten jednak musiał odpalić jeszcze jedną rakietę, gdyż nagle znowu wszystko się zatrzęsło i zawyły alarmy. A potem zrobiło się ciemno, myśliwcem gwałtownie szarpnęło i Johnny wyrznął czołem w tablicę kontrolną.

Otworzył oczy.

Właśnie: chyba się obudził, bo go ponownie zabili... Zamrugalo światło i coś zaczęło uporczywie bipać. Ani chybi - budzik. Tak się kończą nie najgorsze nawet sny.

Z niechęcią uniósł głowę, próbując zogniskować spojrzenie.

Rzeczywiście, spoglądał na ekranik wyświetlacza.

Tyle że nie pulsowało na nim 6:3=.

Pulsowało na nim DEHERMETYZACJA, a oprócz bipania słyszać było dziwny świst, powoli, acz nieustannie przybierający na sile.

To się nie miało prawa zdarzyć!

Ale, jak widział, zdarzyło się, toteż zamiast rozpaczać, wyprostował się w fotelu. Cała tablica kontrolna migotała alarmowymi lampkami niczym choinka na Gwiazdkę.

Tyle że choinki nie mrugają wyłącznie na czerwono.

Z instrukcji obsługi myśliwca Johnny wiedział, jak latać i jak strzelać. A sądząc po liczbie błyskających natarczywie lampek, awarii się namnożyło, i to rozmaitych. Nie miał zielonego pojęcia, co z nimi zrobić, gdy na wyświetlaczu zapłonął kolejny napis:

AWARIA POMP OBIEGU WTÓRNEGO.

Co prawda nie wiedział, co te pompy robiły - poza pompowaniem, rzecz jasna - ale wolałby, aby nie miały awarii.

Na dobitkę rozboleła go głowa. Odruchowo złapał się za czoło i stwierdził, że jest

mokre. Gdy opuścił dłoń, była na niej krew. Jego wyobrażenia faktycznie zaczynała przesadzać. Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze go przekona, że naprawdę zginął w kosmosie bohaterską śmiercią pilota, w dodatku przy śniadaniu.

Bipanie stało się głośniejsze, toteż odruchowo spojrzał w kierunku, z którego dobiegało. Na wyświetlaczu pulsowała 6:3=.

Najwyższy czas, pomyślał z ulgą. I zemdlał...

Johnny obudził się przed wyłączonym komputerem, zmarznięty na kość.

Poza tym bolała go głowa, lecz ostrożne macanie nie wykazało śladów krwi czy strupa. Po prostu go bolała.

Popatrzył na ciemny ekran i przez moment zastanawiał się, jak to może być, gdy się jest ScreeWee. Wyszło mu, że tak, jak on się czuł, zanim się obudził, z tą poprawką, że oni nie są w stanie się obudzić. Nie był to miły wniosek.

Na śniadanie były cukrzone snappiflakes, czyli nic nowego.

Nowe było to, że w każdej paczce znajdowała się plastikowa figurka obcego. A raczej nie do końca nowe - pomysł był częściowo odgrzewany, tyle że poprzednio w płatkach utykano żołnierzyki, tandetne autka albo jeszcze coś innego. Obcych jeszcze nie. Ten, który wylądował w jego talerzu, był pomarańczowy i miał cztery ręce. A w każdej jakiś miotacz czy inną broń.

Tata nie wstał na śniadanie, a mama oglądała w kuchni wiadomości w przenośnym telewizorku. Na ekranie masywny jegomość zamaskowany na pustynię pokazywał coś na mapie upstrzonej czerwonymi i niebieskimi symbolami i strzałkami.

Po śniadaniu Johnny wybrał się do Neil Armstrong Mali.

Zabrał ze sobą pomarańczowego obcego i po drodze doszedł do wniosku, że byłaby to tyleż oryginalna, co prawdopodobnie skuteczna próba inwazji. Skoro w każdym pudełku był jeden obcy, a większość normalnych ludzi w wieku dwunastu lat jada na śniadanie płatki, to dość szybko w większości domów w całym kraju znalazłoby się przynajmniej po jednym

najeźdźcy. Wystarczyło dać sygnał i inwazja miałaby duże szansę powodzenia.

Ciekawe, czy na innej planecie w pudełkach z, dajmy na to, amoniakalnymi Snappicrystals nie znaleźli się plastikowi ludzie. Naturalnie uzbrojeni...

To był jakiś pomysł.

Pewnie, że figurki musiały być uzbrojone i wyglądać bojowo (nieważne, ludzie

czy obcy). Nikt by się nimi nie interesował, gdyby na przykład strzygły żywopłot czy wsiadały do autobusu. Kłopot z obcymi polegał na tym, że z zasady - przynajmniej ci, których widział - mieli ochotę na jedno z dwóch: albo człowieka zjeść, albo puszczać mu do upojenia muzykę, po której ludzie robią się niesmacznie mili i nieżyciowe dobrzy. Żaden nie zachowywał się normalnie ani nie zajmował czymś zwyczajnym, jak na przykład próbą pożyczenia od sąsiada kosiarki do trawy.

Gdy dotarł do osiedlowego centrum handlowego -nazwanego, nie wiadomo dlaczego, imieniem amerykańskiego astronauty - znalazł, zgodnie z oczekiwaniami, pozostałą trójkę pałętającą się w pobliżu niewielkiej fontanny stojącej na środku placu. Z tego placu wchodziło się do większości sklepów, w tym do komputerowego, który ostatnio stanowił główny punkt zainteresowania normalnych ludzi (nie tylko w wieku dwunastu lat).

Yo-less ubrany był w te same szare spodnie, w których chodził do szkoły. Wobbler zaś w anorak - prawdopodobnie był ostatnią istotą we wszechświecie noszącą jeszcze coś tak starożytnego. Bigmac natomiast oprócz maskujących portek i wojskowych butów miał koszulkę z nadrukiem „Terminator” z przodu, a „Black-bury Skin” z tyłu. Na dodatkę zdobył gdzieś pas spo-

ządzony z mosiężnych łusek po pociskach. Ogólnie -i ogłędnie - mówiąc, wyglądał głupio.

- Miło cię widzieć - powitał go Yo-less. - Tkwimy tu od wieków.

- Pojechałem przystanek za daleko - wyjaśnił John-ny. - Zamyśliłem się i musiałem wrócić piechotą. Co się dzieje?

- Co się ma dziać? - zdziwił się Wobbler. - Chcę zajrzeć do J&J Software. Może będą mieli Cosmic Coffe Mats. W „Bazzammm!” pisali, że ten program ma zabezpieczenia nie do złamania.

- A pisali, czy to dobra gra? - zainteresował się Big-mac.

- A kogo to obchodzi? - zdziwił się jeszcze bardziej Wobbler.

- Któregoś pięknego dnia cię złapią - zawyrokował Yo-less.

- Jak mnie złapią, to dostanę pracę w Krzemowej Dolinie i będę wymyślał zabezpieczenia antypirackie. - Wobbler uśmiechnął się radośnie.

Z jego punktu widzenia Kalifornia była miejscem, do którego dobrzy ludzie trafiali po śmierci. A Krzemowa Dolina rajem hackerów.

- Nic nie dostaniesz poza grzywną. - Yo-less najwyraźniej próbował sprowadzić go na ziemię. - Będziesz miał kłopoty, a policja skonfiskuje ci sprzęt. Tak pisali w gazetach!

Powoli ruszyli w stronę sklepu komputerowego.

- Pamiętacie, był taki film, gdzie chłopak grał w gry i był faktycznie dobry. Jak się okazało, że jest najlepszy, przylecieli obcy, dali mu myśliwca, na którego symulatorze grał, i posłali, żeby zniszczył flotę złych obcych - odezwał się niespodziewanie Bigmac.

-1 co? Wygrał? - zainteresował się Johnny. -Pewnie, że wygrał. - Bigmac przyjrzał mu się dziwnie. - A po co inaczej miałoby robić ten film?

- Tylko Ty Możesz Uratować Ludzkość - mruknął Johnny. -Co?

- To taka gra - wyjaśnił Wobbler.

- Głupia nazwa - ocenił Bigmac. - Takie różne wypisują zawsze na pudełkach z grami.

- A co mają wypisywać? - zdziwił się dla odmiany Johnny. - Że możesz sobie pograć w kolejną bezsensowną strzelankę? Że to bzdura, żeby nie mający pojęcia o lataniu dwunastolatek pilotował odrzutowy myśliwiec i zestrzeliwał zawodowych pilotów? A może mają napisać: GRA JEST TAK ŁATWA, ŻE MUSISZ W NIĄ WYGRAĆ?!

- Takiej by nikt nie kupił - stwierdził autorytatywnie Wobbler, gdy mijali lodziarnię pod szyldem Mr. Zippy's Ice Cream Extravaganza.

Zachodzili do niej wielokrotnie i rzeczywiście, lody były w dużym wyborze. Ekstrawagancji jednak nie udało im się znaleźć.

- Dalej masz kłopoty w domu? - spytał Yo-less.

- Ostatnio przycichło.

- To może być gorsze od pyskówek.

- Może.

- Jak się w końcu rozchodzą, to wcale nie jest koniec świata - powiedział cicho Wobbler - tylko człowiek naogląda się więcej muzeów i może mu to wyjść na zdrowie.

- Ciągle nie znalazłeś obcych? - spytał Yo-less. -Wgrze nie...

- Śnili ci się - domyślił się Wobbler.

- Można to tak ująć.

Ktoś rozdający ulotki informujące o Wielkiej Obniżce Cen Stolarki Okiennej Dwuszybowej był tak zdesperowany brakiem zainteresowania, że dał jedną Yo-lessowi. Ten złożył ją z ponurą miną i wsunął do kieszeni. Yo-less zawsze zbierał takie rzeczy, twier-

dząc, że nigdy nie wiadomo, kiedy się mogą przydać. Johnny miał nieodparte wrażenie, że robi to z myślą o przyszłym gabinecie.

- Widzieliście w telewizji relację z wojny? - Bigmac zmienił temat. - To się nazywa życie, co?

- Może i się nazywa - przyznał bez cienia zrozumienia Yo-less.

- Naprawdę skopiemy im dupy! - Bigmac dalej próbował wykrzesać z nich choć odrobinę patriotyzmu. -To dopiero będzie bitwa!

- E tam, taka bitwa - parsknął Wobbler. - To nie będzie prawdziwa bitwa, tylko bitwa telewizyjna.

- Chciałbym być w wojsku - westchnął Bigmac. -Jeszcze parę lat...

Marzenia Bigmaca zdecydowanie należały do tych bardziej zboczonych, ale to była jego prywatna sprawa. Dopóki zbyt często o nich nie mówił, ma się rozumieć.

- Napisz do Stormin' Normana - poradził mu Wobbler. - Niech pociągnie tę wojnę przez parę lat, to się załapiesz.

- Jak na kogoś o takim imieniu nieźle sobie radzi -zauważył Yo-less. - To tak jak Bruce czy Rodney: nie brzmi specjalnie bojowo...

-Musi być Norman, bo by nie pasowało do Stormin' - sprzeciwił się Wobbler. - A Stormin' Bruce? Bez sensu i bez dźwięku. Koniec gadania, wchodzimy do sklepu.

W sobotnie przedpołudnie J&J Software regularnie wypełniali maniacy gier. Zawsze kilku z nich siadało do paru komputerów i to właśnie one przyciągały największą uwagę. Nikt nie wiedział, dlaczego sklep nazywa się J&J, skoro właścicielem był wszyst-kowidzący pan Patel. Głównym obiektem jego uwagi był Wobbler, na skutek sensownych podejrzeń, że rozprowadza w sobotnie przedpołudnie więcej gier niż cały sklep przez tydzień. I to w dodatku za darmo.

W środku się rozdzielili: Yo-Iess i Bigmac poszli oglądać filmy, a Wobbler wdał się w dyskusję z kimś, kto lepiej znał się na komputerach niż on. Johnny z tej dyskusji przestał rozumieć cokolwiek po pierwszym zdaniu, poszedł więc popatrzeć na gry. Zastanawiał się przy okazji, czy dajmy na to na Jowiszu albo gdzieś obcy też wpadają

do sklepu i kupują gry, na przykład: Zastrzel człowieka. Albo chodzą na filmy, w których jeden łądź gania po korytarzach, terroryzując cały statek kosmiczny.

Pracę umysłową przerwały mu podniesione głosy dobiegające od stoiska, przy którym urzędował pan Patel. A raczej jeden z tych głosów - był bowiem zdecydowanie żeński.

Dziewczyny w J&J należały do rzadkości, czemu nie należało się specjalnie dziwić. Kiedyś, w okresie przyływu instynktów macierzyńskich, mama Johnny'ego spróbowała zagrać w Asteroidy. Była to niezwykle prosta gra, w której należało strzelać do asteroidów i od czasu do czasu pojawiających się latających talerzy. Johnny, obserwując jej wyczyny, był zaskoczony, że latające spodki w ogóle się odstrzeli wuj ą. Na pokładzie wszyscy powinni tarzać się ze śmiechu. Albo spodki powinny stanąć gdzieś z boku, by załogi mogły napawać się niespotykaną odmianą całkowitego braku koordynacji u pilota trójkątnego, ziemskiego okrętu. Jak się patrzyło na te wyczyny, to człowiekowi wszystko opadało.

Nie, kobiety po prostu nie nadawały się do gier.

Tymczasem, najwidoczniej nieświadoma tej podstawowej prawdy, dziewczyna przy ladzie głośno składała zażalenie na niedawno kupioną grę. Wszyscy wiedzieli, że jak się raz zdejmie celofan, to choćby wewnątrz były jedynie mysie bobki, reklamacji się nie uwzględnia. Była to jedna z podstawowych zasad pana Patela, od której nie było wyjątków. Powód był

prosty: Wobbler nie był jedynym miłośnikiem piractwa komputerowego w okolicy, o czym pan Patel doskonale wiedział. Choć prawdą było także to, iż był z nich wszystkich najbardziej denerwujący.

Nic więc dziwnego, że pozostała klientela obserwowała całą scenę z pełnym fascynacji niedowierzaniem. Na składającej reklamację nie zrobiło to zresztą żadnego wrażenia.

- ...w dodatku kto by zapłacił za grę, w której widać jedynie gwiazdy? - Panienska postukała z obrzydzeniem w pudełko zawierające obiekt zażalenia. - Gwiazdy to ja już widziałam, i to ładniejsze. Tu piszą, że będzie się walczyć z kilkunastoma rodzajami okrętów obcych. W grze nie ma nawet jednego!

Pan Patel wymamrotał coś, czego stojący zbyt daleko Johnny nie dosłyszał. Dziewczynę zaś słyszał doskonale, miała bowiem głos o owym (na szczęście rzadko

spotykanym) przenikliwym brzmieniu, które słyhać dosłownie wszędzie. W dyskotecie też.

- O nie, nie dam się spławić! Niby jak miałam się przekonać, co to za gra, nie próbując jej? A żeby spróbować, musiałam otworzyć. Takie sytuacje dokładnie precyzuje Ustawa o sprzedaży dóbr z 1983 roku!

Można było usłyszeć duże litery - taki to był głosik.

Pełna podziwu publika z satysfakcją obserwowała zaskoczenie pana Patela. Widać było wyraźnie, że jest mocno zestresowany. Nie było w tym nic dziwnego -dotąd nie spotkał nikogo, kto byłby w stanie wymówić cudzysłów.

Wymamrotał coś jeszcze, najwyraźniej nie rezygnując z walki.

- Skopiować ją?! A po co miałabym ją kopiować? Kupiłam ją, jak pan dobrze wie, wczoraj. Piszą w reklamie, że spotka się fascynujących obcych. Napotkałam jeden myśliwiec i jakieś głupie napisy na ekranie. Zresztą myśliwiec i tak zaraz uciekł. Nie wiem

jak pan, ale ja w żadnym razie nie nazwałabym tego fascynującą obcą rasą.

Napisy!

To wzbudziło żywe zainteresowanie Johnny'ego, toteż zaczął się przepychać w stronę lady. Pan Patel znowu coś wymamrotał i ku zdumieniu całego sklepu -lecz nie elokwentnego dziewczęcia - sięgnął na półkę po nową grę. Faktycznie miał zamiar ją wymienić! Było to coś tak niesłychanego, jakby piec przemówił ludzkim głosem albo Czyngis-chan, zamiast złupić miasto, został dobrowolnie w domu, aby obejrzeć mecz w tv.

Potem pan Patel podszedł do komputera (tego z tak wytartą klawiaturą, że się jej nie dało odczytać) i załadował do niego grę przyniesioną przez dziewczynę. Z głośników popłynęła aż za dobrze znana Johnny'emu melodia, przez ekran przewinęły się napisy w stylu Gwiezdnych wojen: „Potężna flota ScreeWee zaatakowała Federację i tylko TY...”, a potem na ekranie pojawiła się przestrzeń (komputerowa, ma się rozumieć), czyli czarne nic z rozbłyskującymi gwiazdami.

- Na poziomie pierwszym powinno być ich sześć -powiedział ktoś za Johnnym.

Pan Patel skrzywił się boleśnie i ostrożnie nacisnął jakiś klawisz.

- Właśnie pan wystrzelił bez sensu torpedę - poinformował go uprzejmie Wobbler. - Tu faktycznie nic nie ma...

Pan Patel miał dość.

- Jak się znajduje to, do czego się strzela? - spytał zrezygnowany.

- One same pana znajdują. Normalnie już pana nie powinno być - rozległo się z widowni.

-Tak jak mówiłam: nic, tylko kosmos - w głosie dziewczyny słychać było satysfakcję. - Zostawiłam komputer włączony na parę godzin i cały czas to samo.

- Może byłaś za mało wytrwała. W waszym wieku

trudno o prawdziwą wytrwałość -jęknął rozpaczliwie pan Patel.

Wobbler spojrzał nad jego głową na Johnny'ego. W oczach miał znaki zapytania, widoczne mimo grubych szkieleł.

- On ma na myśli, że nie próbujemy z uporem maniaka - przetłumaczył Johnny.

-Gadanie! - skwitował Wobbler. - Próbowałem z uporem maniaka przez pół zeszłej nocy i też nic nie znalazłem.

Widać było, że pan Patel się łamie.

Aż dziw, że gdy się złamał, nic nie trzasnęło. Otworzył nową grę i przy milczącym podziwie obecnych załadował do komputera na miejsce przetestowanej.

- No to zobaczymy, jak wygląda ta gra, zanim zajmie się nią pan Wobbler - oznajmił z tryumfem.

Głośniki zagrały, napisy przejechały w górę ekranu, potem to samo zrobiły opcje i na ekranie ukazał się kosmos.

- Zaraz się pojawia! - stwierdził pan Patel. Mimo to wciąż było widać tylko kosmos.

- Nic nie rozumiem! - Z pana Patela uszła nie tylko cała pewność siebie, ale i zrozumienie. - Przywieźli ją dopiero przedwczoraj!

Na ekranie można było podziwiać kosmos w pełnej krasie.

Wyłącznie kosmos.

Pan Patel przyjrzał się podejrzliwie pudełku, ale wszyscy widzieli, jak sam, osobiście, zdejmował z niego folię.

Zniknęli, pomyślał Johnny. Ze wszystkich gier. Nawet nowych.

Widząc minę pana Patela, sklep wybuchnął śmiechem. Tylko Wobbler i Yo-less się nie śmiali - z mieszaniną szacunku i strachu patrzyli na Johnny'ego.

On także się nie śmiał.

4. „Nikt nie ginie naprawdę”

- Odnoszę wrażenie... - zaczął Bigmac.

- No? - zachęcił go Yo-less.

- Odnoszę wrażenie... że Ronald McDonald jest podobny do Jezusa Chrystusa!

Bigmac od czasu do czasu wygłaszał z powagą takie oświadczenia, sugerując, że są wynikiem głębokiego namysłu. Bigmac teoretycznie miał kilka szarych komórek, toteż zdolny do myślenia był. Góry też teoretycznie powstały na skutek zderzenia się kontynentów. Jednego ani drugiego nikt jednak nigdy nie widział.

- Doprawdy? - zainteresował się dziwnie łagodnie Yo-less. - A mógłbyś to jakoś uzasadnić?

- Pewnie. Popatrzcie na te wszystkie reklamy. - Bigmac machnął frytkiem w stronę reszty pomieszczenia. - Szczęśliwa kraina, jezioro koktajlu bananowego i frytki rosnące na drzewach. A ten, no... Hamburglar to diabeł.

- Wiesz co, Bigmac? - Yo-less wciąż mówił dziwnie łagodnie. - Ty weź to wrażenie i odnieś je z powrotem.

- Dlaczego? - zdziwił się Wobbler. - Pan Zippy reklamował kiedyś lody za pomocą wielkiego gadającego loda koło lady. Pamiętacie?

- I co z tego? Jak można ufać lodom reklamującym zjadanie innych lodów? - Yo-less skrzywił się.

Zapadła cisza.

Całą trójką spojrzeli wymownie na Johnny'ego, patrzącego smętnie na ledwie co nadgryzionego hamburgera.

- Czego się tak patrzycie?! Ja naprawdę nie wiem, co się stało!

- W Gobi Software porządnie się wkurzą, jak odkryją, co zmajstrowałeś - zawyrokował ponuro Wob-bler.

- Nic nie zmajstrowałem! - zdenerwował się John-ny. - To nie moja wina!

- Może wirusa... - zaproponował Yo-less.

- Sam jesteś wirus! - parsknął Wobbler. - Wirusy psują komputer, a nie komuś w głowie.

- Mogą i w głowie - sprzeciwił się Yo-less. - Błyskającymi światelkami i takimi

tam... To coś jak hipnoza.

- Mówiłeś przedtem, że sam to sobie wymyśliłem! Że projektuję fantazję!

- To było, zanim Patel sprawdził wszystkie nowe kopie. Gdybym nie widział, tobym nie uwierzył, że dał jej grę i pieniądze!

Johnny uśmiechnął się niepewnie.

-To nie tak! - Wobbler przestał bębnić po stole (a raczej częściowo po stole, częściowo po jezioru ke-czupu). - Gobi Software musiało coś zrobić ze wszystkimi kopiami gry. Może masz rację, Yo-less... ludzie łapiący wirusa od komputera. Nieźle!

- To nie tak... - sprzeciwił się Johnny.

- Robili kiedyś takie rzeczy z filmami - przerwał mu Yo-less - dawali klatkę czy dwie, że niby chcesz

zjeść loda, którego w ogóle nie widziałeś. I całe kino gnało po lody. Zdaje się, że nazywali to „reklamą pod-progową” i w końcu zakazali. Na komputerze można to zrobić jeszcze prościej.

Johnny przypomniał sobie rysunek małych Scree-Wee. To nie była hipnoza. Sam co prawda nie wiedział, co to jest, ale nie wyglądało jak hipnoza.

- Albo to są prawdziwi obcy i kontrolują twój komputer! - wypalił Yo-less.

- ŁAAA - eeeee - OOOO! - zawył Bigmac i przemówił basowo: - Johnny Maxwell przedłużył pobyt w Strefie Kiblowej ponad dopuszczalny limit... didle-didledidle...

- Bigmac, weź się wyłącz, albo ja cię wyłączę! - zagroził Johnny.

- W końcu masz ich poprowadzić na Ziemię, nie? - podjął Yo-less.

-Ale na ich Ziemię! Przypadkiem się tak samo nazywa!

- To oni tak twierdzą. Z równym powodzeniem możesz ich sprowadzić tutaj!

Odruchowo spojrzeli w górę, jakby właśnie flota obcych lądowała na dachu T&F Insurance Services, a potem z ubezpieczalni miała przypuścić atak na Mc-Donalda.

- Chyba przesadziłeś - ocenił po chwili Wobbler, gdy nic nie wpadło przez sufit.

- Nie da się zrobić inwazji z komputera. Oni nie są naprawdę: oni żyją na ekranie.

Ponownie zapadła cisza.

- To co masz zamiar zrobić? - spytał w końcu Yo-less.

- To samo co dotąd... - odparł Johnny niepewnie. -Kto to była ta dziewczyna w sklepie?

- Nie wiem - mruknął Wobbler. - Widziałem ją tam chyba raz. Grała w Star Trek.

Dziewczyny nie są do-

bre w grach, nie mają wyczucia przestrzeni... no, czegoś, co my mamy. Nie mogą myśleć w trzech wymiarach, czegoś im brakuje.

- Kapitan to ona - zauważył Johnny.

- U aligatorów może być inaczej - nie poddawał się Wobbler.

Bigmac wyssał torebkę keczupu, co musiało dodatnio wpłynąć na jego szare komórki, bo spytał niespodziewanie:

- Myślicie, że TO może jeszcze trwać, gdy będę wystarczająco stary, żeby wstąpić do wojska?

-Nie! - odparł zdecydowanie Yo-less. - Stormin' Norman załatwi to szybciej.

Po południu wybrali się wszyscy do kina. Grali któregoś Indianę Jonesa.

Po projekcji Wobbler stwierdził, że film jest rasistowski, a Yo-less, że mu się podoba. Dyskusję o tym, jak coś może być rasistowskie, skoro podoba się Murzynowi, zamknął Johnny, kupując wszystkim pop-corn. Jedną z ciekawostek Ciężkich Czasów są nieregularne wypłaty kieszonkowego, jednak przy znacznym jego zwiększeniu.

Po powrocie do domu Johnny zrobił sobie spaghetti i włączył telewizor. Królował w nim masywny jegomość przebrany za pustynię. Czasami opowiadał dowcipy, co było miłą odmianą. Nawet bez dowcipów Johnny lubił Stormin' Normana. Był to facet, który bez kłopotów dogadałby się z Kapitanem.

Potem nadawali program o ratowaniu wielorybów. Ci, co go zrobili, uważali, że to dobry pomysł.

Potem był teleturniej, w którym można było wygrać mnóstwo pieniędzy, jeśli wykazałoby się niezwykłym opanowaniem i wcześniej nie udusiło prowadzącego.

A potem znowu były wiadomości z Normanem i bombami wrzucanymi przeciwnikom prosto w kominy.

A potem był sport...

Zdegustowany Johnny wyłączył telewizor.

I włączył komputer.

Tak jak w sklepie: cała masa pustego kosmosu i ani śladu ScreeWee.

Tym razem jednak tak łatwo się nie zniechęcił - skoro wszyscy obcy zgrupowali się w jednej formacji, a on ich wyprowadził z przestrzeni gry, to znaczyło, że wcale nie

będzie łatwo ich odszukać. Kosmos to podobno strasznie wielkie nic. Należało więc lecieć długo we właściwym kierunku.

Problemem było tylko, który kierunek jest właściwy.

Wybrał któryś na chybił trafił - wszystkie wyglądały tak samo - i dał pełen ciąg.

Na ekranie dalej migotały gwiazdy i nic się nie działo. To było prawie tak nudne jak sport.

Zdecydował się zostawić komputer na chodzie z wyłączonym ekranem i pójść spać.

Najpierw jednakże wziął aparat fotograficzny i przywiązał do lewej ręki. Aparaty fotograficzne nie miewają snów.

A przynajmniej miał taką nadzieję.

Zanim zasnął, przypomniał mu się fragment filmu, w którym Indy ganiał się z bandziorami po lokalnym targowisku.

Johnny miał własną teorię o lokalnych bazarach. W co drugim filmie bohater latał po takim, ganiając się z bandytami, rozwalając przy tym stragany, uwalniając kury i ogólnie robiąc zamieszanie. Ponieważ targowisko zawsze wyglądało tak samo, teoria była

prosta: to jest jedno i to samo targowisko. A więc po każdym filmie trzeba je posprzątać. Ciekawe, kiedy wreszcie któryś ze sprzedawców będzie miał dość tych niedochodowych przerw w handlu i w końcu przyłoży bohaterowi, będącemu bądź co bądź ich bezpośrednim powodem.

Kabina wyglądała znajomo.

I nic w niej nie bipało, nie błyskało i nie syczało.

A na tylnym ekranie widać było flotę ScreeWee w pełnej okazałości.

Czym prędzej odwiązał aparat i zrobił zdjęcie. Z cichym szumem po paru sekundach fotografia wyjechała z aparatu. Potrzymał ją chwilę pod pachą, by wyschła, i ostrożnie odkleił folię.

Wreszcie miał dowód, że mówi prawdę!

O ile będzie go też miał przy sobie, gdy się obudzi...

Na tablicy kontrolnej zamigotała lampka umieszczona przy ekranie łączności. Ktoś najwyraźniej chciał z nim porozmawiać.

Przełączył na odbiór. Na ekranie pojawiła się Kapitan.

- Widzieliśmy, jak twoja maszyna eksplodowała. A potem znowu pojawiła się przed nami... Wciąż żyjesz?

-Tak. No, przynajmniej odnoszę takie wrażenie...

- Przepraszam, ale muszę zapytać: co się z tobą działo?

-Co?

- Co się z tobą działo, jak nie było cię tutaj? Johnny dokonał błyskawicznego a intensywnego

rachunku sumienia, z którego wynikało niezbicie, że prawdy nie może powiedzieć. No bo jak: szkoła, siedzenie w pokoju, włączanie się bez celu po mieście z kumplami i oglądanie telewizji dawały razem obraz najbardziej bezcelowej i nudnej egzystencji jak wszech-

świat długi i szeroki. Robaki mieszkające pod skałami na Neptunie miały pewnie ciekawszy żywot.

-To dość trudno wyjaśnić... - spróbował dyplomatycznie i urwał. A to dlatego, że radar pingnął, na ekranie zaś pojawiła się zielona kropka. - Muszę lecieć! - oświadczył z ulgą.

Doprawdy, walka była lepsza niż tłumaczenie prze-rośniętemu aligatorowi z domieszką traszki, co to takiego Ciężkie Czasy.

Przybysz zbliżał się szybko i nie zwracał na niego uwagi - pewnie wgapił się z zachwytem w ekran pełen ScreeWee.

Johnny spokojnie wycelował, zaktywizował lasery i... nie nacisnął spustu.

Naprawdę nie chciał nikogo więcej zabić.

To nic, że doskonale wiedział, iż tak naprawdę to nikt nie ginie - nie licząc ScreeWee, ma się rozumieć. Że pilot tamtego pojazdu siedzi przed komputerem i zestrzelenie będzie dlań jedynie niedogodnością - będzie musiał zaczynać grę od nowa. W grze przecież nikt nie ginie naprawdę!

Owe rozterki, które wylaży nie wiedzieć skąd, doprowadziły do tego, że napastnik go minął, wciąż nie zauważając albo lekceważąc. I odpalił dwie rakietę w stronę jednej z mniejszych jednostek ScreeWee. Statek eksplodował, napastnik tymczasem zawrócił do kolejnego ataku.

To wyrwało Johnny'ego z odrętwienia.

Ruszył w pościg i równocześnie na ekranie pojawiła się poirytowana Kapitan.

- Przecież się poddaliśmy! - zaprotestował głośnik. -Musisz go powstrzymać!
-Wiem! Zagapiłem się... - wykrztusił, dając pełen ciąg i przełączając komunikator na inny kanał. -Gracz, który właśnie zniszczył jednostkę ScreeWee: przerwij atak i wynoś się albo będę musiał cię zestrzelić! Słyszysz, tłuku? Ja nie żartuję!

Tamten ignorował go całkowicie, wyrównując lot do kolejnego strzału. Johnny siedział mu na ogonie i tym razem się nie wahał - ledwie znajoma sylwetka znalazła się w celowniku, dotknął spustu...

Kabinę wypełniło oślepiające białobłękitne światło, toteż odruchowo zamknął oczy. Mimo to przez dłuższą chwilę pod powiekami latały mu czerwone kręgi. Gdy wreszcie mógł coś zobaczyć, po napastniku pozostała jedynie rozpełzająca się na wszystkie strony chmura gazu. Było to, łagodnie mówiąc, dziwne: nie dość, że dotąd żadna broń, jaką miał do dyspozycji, nie dawała tak spektakularnych efektów, to w dodatku nie zdążył wystrzelić!

Cuda czy co?!

Ponieważ Johnny uważał cuda za zjawisko rajskie, czyli - mówiąc po prostu - nie wierzył w nie, odruchowo się obejrzał. Za nim znajdował się ciężki krążownik z jeszcze rozgrzanymi wylotami miotaczy.

Dotąd w grze nigdy tego nie robili. Ich okręty miały znacznie silniejsze uzbrojenie, ale nigdy nie strzelały salwami. I nic dziwnego - z setką wrogich okrętów można było wygrać jedynie wtedy, gdy ich załogi miały niewiele większe pojęcie o strzelaniu niż średnio rozgarnięty kret. Tym razem jednakże ktoś na pokładzie flagowca ScreeWee wreszcie zaczął myśleć i strzelił jak należy.

- Przepraszam - oświadczyła niespodziewanie Kapitan.

- Za co? Mnie nie trafiliście, jeśli o to chodzi.

- Nie w ciebie celowano - odparła, spoglądając gdzieś w bok. - Strzelanie było nie uzgodnione i nieautoryzowane. Odpowiedzialni zostaną ukarani.

-Prawdę mówiąc, strzeliliście całkiem nieźle -przyznał uczciwie Johnny. - No i uprzedziliście mnie.

- Mam nadzieję, że następnym razem będziesz miał lepszy refleks. Straciliśmy jeden z naszych okrętów.

-Przepraszam... ale wiesz, niełatwo jest kogoś zestrzelić.

- Dziwnie to brzmi w ustach człowieka. Gdyby większość z was tak myślała, znaczyłoby to, że Kosmiczni Najeźdźcy wystrzelali się sami.

- Że jak?

- Zrobili wam coś złego?

- Zdaje się, że coś źle zrozumiałem. To wcale nie jest tak...

- Przepraszam, ale z mojego punktu widzenia to właśnie tak wygląda.

Dziwne było nie to, że uważała ludzi za żądnych krwi maniaków strzelających do wszystkiego, co się rusza w Kosmosie. Dziwne było to, że mówiła to głosem zmęczonym i smutnym. A powinna mówić wściekłym.

Rozzłościło go, że mówiła także o nim. I to takim tonem, jakby był samym Hunem Attylą czy innym seryjnym mordercą.

- Nie prosiłem się o to, wiesz? - warknął. - Grałem sobie spokojnie w grę jak tysiące ludzi na świecie! Mam własne kłopoty! Choćby to, że w moim wieku potrzebny jest długi i spokojny sen. Dlaczego ja?

- A dlaczego nie?

- Skoro chronię wasze tyłki, to nie widzę powodu, dla którego mam jeszcze wysłuchiwać, jacy to jesteście wstrętnei! Wy też do nas strzelacie!!

- Samoobrona.

- Tak??? To dlaczego strzelacie pierwsi?!

- Bo nauczyliśmy się, że w wypadku ludzi musimy się uciekać do samoobrony, zanim zostaniemy zaatakowani.

Wyłączył komunikator i zawrócił.

Podświadomie oczekiwał, że zaraz zaroi się wokół od myśliwców, ale Kapitan nie zrobiła nic. Absolutnie nic.

I wkrótce flota ScreeWee stanowiła jedynie kolekcję żółtych punktów na ekranie radaru.

Cóż, chcieli, to mają! A drogę do domu znają sami. Teraz byli już tak daleko, że niewiele im groziło. Jedynie najwytrwalsi gracze zdolni byli marnować godziny przed pustymi ekranami, a i to wydawało się mało prawdopodobne - było dużo innych gier.

Tak to bywa, jak komuś odbije i pomaga krokodylom.

Koło niego ponownie przemknęła jakaś gwiazda, co mu uświadomiło, że w gruncie rzeczy nie bardzo wie, dokąd leci.

Radar zabpał i na ekranie ukazały się zielone punkty.

Znaczy się swoi. Ale rakiety, które leciały przed nimi, wcale nie były przyjazne, a kierowały się prosto na niego. Zaraz, momencik: jaki kolor miał jego myśliwiec na ich radarach?

Powinien być zielony, bo był to ludzki okręt. Ale z drugiej strony od dłuższego czasu był po stronie ScreeWee, a nieprzyjacielskie jednostki miały kolor żółty...

Pospiesznie włączył komunikator.

- Słuchajcie: jestem...

A potem to już nie bardzo miał kto nadawać.

Johnny obudził się.

Była 6:30.

I bolało go gardło.

Ciekawe, dlaczego ludzie tak tęsknią do marzeń sennych. Jak już się komuś coś przyśni, to z zasady albo jest głupie, albo straszne. A najgorsze jest to, że zawsze wydaje się realne. Sny przeważnie zaczyna-

ją się dobrze, a potem, cokolwiek by się robiło, zawsze się psują. Nie można ufać snom!

Dlatego ustawił budzik, mimo że była niedziela i przez długi czas nikt inny w domu nie wstanie. Nawet brat Bigmaca dostarczy gazetę -jak zwykle niewłaściwą - dopiero za godzinę. A on był sztywny od siedzenia przed wyłączonym komputerem.

Swoją drogą trzeba by porozstawiać coś na drodze pomiędzy łóżkiem a komputerem, co by go obudziło, gdy będzie tam wędrował we śnie.

Wrócił do łóżka i włączył elektryczny koc.

Odruchowo spojrział na sufit - model promu kosmicznego wciąż tam był, ale ponieważ urwało się przednie mocowanie, wyglądał, jakby nurkował. Kontemplację modelu przerwało mu coś, co zaczęło go uwierać w żebra. Po chwili poszukiwań odnalazł aparat fotograficzny.

Co przywróciło mu pamięć o innym ważnym szczególe...

Kolejnych kilka chwil przetrząsania pościeli zaowocowało nieco pogiętym zdjęciem.

Przyjrzał mu się uważnie i wzruszył ramionami -miał to, czego mógł się spodziewać.

Zrezygnowany wstał i włączył komputer, ustawiając ekran tak, by go było widać z łóżka. Naturalnie, nie licząc gwiazd, był pusty.

Pewnie kilku zapaleńców postępowało tak samo. Może nie wszystkie gry startowały w tym samym punkcie przestrzeni i niektórzy byli bliżej floty niż większość. A może niektórzy byli równie uparci jak Wobbler i nie przyjmowali do wiadomości, że przegrali.

Zdarzali się tacy w J&J, gdy Patel puszczał nową grę. Ginęli zestrzeleni, wysadzeni, zjedzeni czy zmiażdżeni - w zależności od gry - ale od klawiatury łomem nie dałoby się jednego z drugim oderwać. Fakt,

że człowiek musiał kilkanaście razy zginać, zanim załapał, jak grać, a potem kolejnymi zgonami okupował następne informacje o grze, ale żeby się zaraz tak podniecać? Można było osiągnąć to samo stopniowo i spokojniej, grając w mniejszych dawkach. Tyle że większości działało na nerwy, jak ich zmieniano w czas przeszły dokonany, i zacinali się, by pokonać grę. Podobnie zresztą było z Wobblrem, który wziął się, by łamać zabezpieczenia gier.

A poza tym Kapitan wcale nie była Johnny'emu wdzięczna, tylko traktowała jak jakiegoś mniej wrednego potwora. Jakby mu strzelanie do krokodyli sprawiało przyjemność! Niewdzięczne gady!

A sami rozwalili następnego gracza, i to na jego oczach. No, prawda - gracz wcześniej rozbił jeden ich okręt, ale przecież to była tylko gra...

Dopiero wtedy dotarło do niego, że dla ScreeWee to wcale nie jest gra.

Poza tym się poddali.

Skąd jednak mieli wiedzieć komu? A on, cymbał, przyjął ich kapitulację, nie myśląc o konsekwencjach. Konsekwencją były zaś obowiązki, strasznie męczące na dłuższą metę.

Cicho zszedł na dół i wyciągnął spod wideo encyklopedię. Była nowsza niż ta, którą miał u siebie, i miała więcej kolorowych obrazków. Domokrażca, który ją sprzedał tacie, użył właśnie tego argumentu i trafiło. Wiadomo, że dobra książka musi mieć obrazki. A encyklopedia obowiązkowo kolorowe.

Jak nie ma, znaczy się: niedobra.

Dzięki temu można bez większego trudu dowiedzieć się, jak co wygląda, nie mając zielonego pojęcia, co to w ogóle jest. Johnny'emu jakoś ta logika nie trafiała do

przekonania. Może dlatego, że był ciekawski z natury.

Po dobrych dziesięciu minutach walki z indeksem dotarł do hasła „Jeńcy wojenni”, a potem do „Konwencji Genewskiej”. Oba trudno było załatwić kolorowym zdjęciem, toteż musiano wytłumaczyć słownie.

To, co przeczytał, zaskoczyło go zupełnie.

Dotąd był przekonany, że jeńcy to jeńcy - skoro się ich nie zabiło, to powinni się uważać za szczęściarzy i martwić sami o siebie. A tymczasem figa: nie dość, że trzeba ich karmić jak własnych żołnierzy, to jeszcze leczyć, dać mieszkanie i zapewnić bezpieczeństwo. Ogólnie rzecz biorąc - troszczyć się o nich, a w żadnym razie nie robić krzywdy.

To było całkowicie pozbawione sensu - znacznie prościej było ich zastrzelić od ręki.

Johnny podejrzliwie zerknął na okładkę, ciekaw, kto wydał rzeczzone tomisko. Universal Wonder Know-lege Data Printing Inc. Power Cable, Nebraska, USA. No, sądząc po długości nazwy, firma wyglądała na solidną, więc nikt sobie jaj z pogrzebu nie robił.

A jednak było to dziwne. Jak kawałeczki średniowiecza wetknięte w sam środek rakiet, wojen gwiazdnych i przemysłowego zabijania. O średniowieczu wiedział nawet sporo, bo wypracowanie „Los chłopca w średniowieczu” było pierwszym z serii i z braku gotowca musiał je napisać od podstaw, co wymagało przekopywania się przez różne grube tomiszcza. To właśnie w tych czasach rozpowszechniły się takie różne dziwaczne zwyczaje. Przykładowo: jak się takiego pancernego rycerza zważyło z konia, to zamiast go otworzyć jakimś większym otwieraczem do konserw i stortuować - ulubiona rozrywka w tych czasach - należało go opatrzyć, nakarmić i odesłać do domu. Jedno, co normalne, to że można było wystawić za to wszystko rachunek, który tamten musiał zapłacić przed odjazdem.

Z tego wszystkiego wynikało jasno, że ScreeWee

dali mu się wywinąć w miarę tanim kosztem (powinien ich, dajmy na to, jeszcze wszystkich karmić!). Ten, kto wymyślił te Konwencji Genewskie, nie był do końca normalny.

Zdegustowany umieścił encyklopedię tam, gdzie jej miejsce, i wrócił do siebie.

A ponieważ nie chciało mu się spać, włączył telewizor.

Jak na ironię ktoś się akurat oburzał, że wróg umieścił jeńców w budynkach wojskowych, by nie zostały zbombardowane. Zbulwersowany uważał, że to chamstwo i barbarzyństwo. Wszyscy w studiu zgodzili się z nim.

Johnny w zasadzie też, choć nie miał pojęcia, jak wytłumaczyć to Kapitan. Po trochu wszystko miało sens, ale jak się to spróbowało złożyć w całość, wychodziła bezsensowna bzdura.

A potem znowu była wojna.

Johnny zaczął nabierać przekonania, że jest jej tam za dużo i najwyższy czas, żeby zaczęli pokazywać coś innego. Zniechęcony wyłączył odbiornik.

Ponieważ zgłodniał, zszedł do kuchni i zrobił sobie grzanki. Jak zwykle je przypalił, toteż z rezygnacją zeszkrobał ile się dało przypalonego, zjadł resztę i wrócił do siebie.

Po namyśle wziął encyklopedię i wrócił do łóżka.

Dla zabicia czasu poczytał sobie na chybił trafił. Skończył na Szwajcarii, gdzie każdy mężczyzna musi przejść szkolenie wojskowe, a potem trzymać broń w domu. A mimo to Szwajcaria od dawna z nikim nie walczyła. Miało to jakiś zwariowany sens.

Dowiedział się też, że to właśnie tam wymyślono te mechaniczne cudeńka zmuszające drewniane kukułki do kukania.

A potem zasnął.

I nic mu się nie śniło.

Na ekranie tymczasem migały gwiazdy. Po godzinie na środku ekranu pojawiła się żółta plamka.

Po kolejnej godzinie stała się skupiskiem mniejszych plamek.

A dziesięć minut później do pokoju weszła rodzicielka Johnny'ego, sprawdziła, czy jest przykryty, odstawiła encyklopedię na półkę i wyłączyła komputer.

5. Jeśli nie ty, to kto?

Powietrze ostatnio przesiąknięte było dymem i spalonym plastykiem - najwyraźniej filtry nie były w stanie sobie poradzić z zanieczyszczeniami. No i część spalenizny pochodziła właśnie z klimatyzatorów. Kapitan westchnęła, czując na sobie wzrok pozostałych oficerów. Nie wiedziała, na ilu może liczyć, ale nie robiła sobie wielkich nadziei. Ostatnio nie była zbyt popularna.

- Złamałeś moje rozkazy - powtórzyła, patrząc na Oficera Ogniwego.

Ten rozejrzał się po stanowisku dowodzenia z miną urażonej niewinności.

- Zostaliśmy zaatakowani - wyjaśnił, jakby nikt

O tym nie wiedział. - Tamci strzelili pierwsi!

- On miał właśnie otworzyć ogień!

- Ale nie otworzył! - warknął artylerzysta. - Siedział

1 nic nie robił. Tankowiec Kreewhea został przez to zniszczony razem z połową resztek naszej żywności!

- To w niczym nie zmienia faktu, że złamałeś moje rozkazy.

-Bo były głupie! Dlaczego nie możemy walczyć?!

Za oknem przesuwwały się częściowo stopione, a w większości podziurawione jednostki starożytnej rasy Kosmicznych Najeźdźców. Kapitan wskazała je górną kończyną.

- Oni walczyli do końca! A po nich byli inni. Pamiętasz, jak skończyli Yortiroidzi? A Megazzoidzi? A Gla-xoticanie? To tylko kilka ras wybitych do nogi. Chcesz, żebyśmy zginęli tak jak oni, do ostatniego?

-Byli prymitywni! Mieli niską rozdzielczość!

- Ale było ich znacznie więcej niż nas! A i tak zginęli!

- Skoro mamy umrzeć, to wolę zginąć w walce, a nie uciekając jak tchórz!

Tym razem oświadczeniu Oficera Ogniwego towarzyszył pomruk aprobaty pozostałych oficerów.

- Co w niczym nie zmienia faktu, że skończysz jako trup - zauważyła Kapitan.

Zdawała sobie sprawę, że jeżeli go zastrzeli albo zamknie, wybuchnie bunt, którego nie zdoła opanować. Na dobrą sprawę nie mogła nawet zabronić opuszczania

kabiny, bo mogło się okazać, że będzie jednak potrzebny.

- Otrzymujesz naganę z wpisaniem do akt! - oznajmiła.

- Skoro i tak nie przeżyjemy... - Skazany uśmiechnął się złośliwie.

- To już moje zmartwienie i moja odpowiedzialność! -przerwała mu ostro. -

Rozejść się!

Oficer Ogniowy spojrzał na nią z wściekłością.

- Gdy dotrzemy do domu...

-1 kto to mówi?! Podobno nie mamy domu, tak przynajmniej niedawno twierdziłeś...

Wieczorem Johnny miał 102°F gorączki i najwyraźniej był ofiarą czegoś, co jego mama nazywała Grypą Niedzielnej Nocy. Leżał spokojnie, emanując prawie że widoczną poświatę pełnej satysfakcji i świadomości, że cokolwiek by się działo, jutro na pewno nie pójdzie do szkoły.

Jak go poinformowano, był to efekt przesiadywania przed komputerem, zamiast na świeżym powietrzu, co ponoć jest zdecydowanie zdrowsze. Johnny przyjął to do wiadomości bez komentarza: z doświadczenia wiedział, że według rodziców choroby zawsze biorą się z tego, co ostatnio robi najczęściej. Gdyby akurat pasjami łykał witaminy, prawdopodobnie byliby zdolni do stwierdzenia, że to właśnie nadmiar witamin był powodem grypy. Do lekarza na pewno trafi gdzieś koło piątku, bo jak dowodziła praktyka, lekarze wolą obłożnie chorych pacjentów, żeby nie mieć problemu z określeniem, co któremu dolega.

Z dołu dochodziły dźwięki telewizora, toteż spędził dobre dwadzieścia minut na zastanawianiu się, czy warto wyjść z łóżka i włączyć swój, czy lepiej zostać w cieple. Gdy się w końcu zdecydował na to pierwsze, ledwie stanął na nogi, zrobiło mu się czerwono przed oczami i coś mu łupnęło w głowie.

Jakoś jednak musiało mu się udać - oczywiście włączenie telewizora - ponieważ gdy się ocknął, akurat były wiadomości. Tyle że tam, gdzie zawsze pisało, o czym mówią (na przykład „Eurokonferencja” czy „Kryzys...”), tym razem widział napis „Wojna ze Scree-Wee!” A pod spodem wisiała mapa kosmosu, będąca jedną czarną powierzchnią z żółtą kropką pośrodku. Wychodziła z niej krótka i gruba czerwona strzałka, a z brzegu mapy w jej stronę kierowało się kilkanaście cienkich, niebieskich. W prawym dolnym rogu mapy było małe zdjęcie faceta mówiącego do telefonu.

I to właśnie było nienormalne - Johnny był pewien, że kogo jak kogo, ale reportera BBC na pokładzie flagowca ScreeWee nie było. Prawdopodobnie nie było tam nawet gościa z CNN.

Obraz się zmienił - ten przedstawiał masywnego mężczyznę stojącego przy takiej samej, lecz większej mapie Kosmosu. Tym razem głos słyhać było wyraźnie:

- ...ten cały Johnny? Nie żartujmy: on nie jest ani wojskowym, ani politykiem. Nie ma za grosz charakteru czy wytrwałości. Nie wywiązał się ze zobowiązań... Cóż, to po prostu dwunastoletni dzieciak...

- Nieprawda! - wrzasnął poirytowany obiekt analizy.

- Doprawdy? - spytał ktoś z tyłu.

Johnny nie odwrócił się ani szybko, ani natychmiast. Głos dobiegał z tyłu; znaczyło to, że mówiący siedzi na krześle, co było znacznie mniej prawdopodobne niż to, że o ScreeWee mówiono w tv. Siedzenie na tym krześle było fizycznie niemożliwe, krzesło bowiem pełne było starych koszul, książek i brudnych talerzy. Leżała na nim także gruba warstwa zużytych skarpet, a być może też Zaginiony Jogurt Truskawkowy.

Kapitan jednakże wyglądała, jakby jej tam było wygodnie.

Po raz pierwszy mógł ją zobaczyć całą i nie dało się zaprzeczyć, że jest na co popatrzeć. Miała około dwóch metrów długości i bardziej przypominała grubego węża z ośmioma kończynami niż traszkę czy aligatora. Dwie pary masywnych nóg i dwie pary znacznie delikatniejszych rąk osadzone były w niesamowicie skomplikowane wyglądających stawach. Ubrana była w brązowy kombinezon, a odkryte części ciała, jak stopy czy ogon, miały złocistobrązowy kolor i pokrywały je niewielkie łuski.

-Jak zaparkowałaś na ulicy, to pani Cannock z przeciwka dostanie szału - uprzedził ją lojalnie. -Ona dostaje szału, gdy mój tata parkuje tam samochód, a twój krążownik jest większy od samochodu. Mam halucynacje, prawda?

- Naturalnie. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że przestrzeń rzeczywista i przestrzeń gry łączą się jedynie w twojej głowie.

- Kiedyś widziałem film, w którym statki kosmiczne poruszały się po kosmosie tylko dzięki dziurom w przestrzeni. Czy to znaczy, że ja mam dziurę w mózgu?

Kapitan wzruszyła ramionami, co w jej wypadku wyglądało tyleż ciekawie co

niesamowicie.

- Popatrz na telewizję - poradziła mu rzeczowo. -Naprawdę warto.

Na ekranie widać było gwiazdy i zwiększający się szybko kształt.

- To jeden z twoich okrętów - rozpoznał Johnny. -Taki jak na poziomie siódmym, prawda?

- Wydaje mi się, że jego typ już niedługo będzie zupełnie bez znaczenia - odparła cicho.

Okręt oddalał się od kamery, a raczej miał taki zamiar, ta bowiem szybko go doganiała. Dysze silników rufowych ogromniały na ekranie, który nagle zgasł i pociemniał.

- Rakieta... - szepnął Johnny. - Tylko mi nie mów, jak liczną miał załogę. - I nie chcę wiedzieć, jak do tego doszło...

- No myślę, że nie chcesz.

- To nie moja wina! Nic nie poradzę na to, jacy są ludzie.

- Naturalnie. - Kapitan miała wkurzający sposób mówienia spokojnym głosem o wybitnie niepokojących i niemiłych sprawach. - Ludzie znów nas atakują. Pomimo że się poddaliśmy!

- Poddaliście się, ale tylko mnie. A kim jestem, widzisz. To nie tak, jak poddać się jakiemuś rządowi czy generałowi. Ja nie jestem nikim ważnym.

- Wręcz przeciwnie. Tylko ty możesz uratować naszą cywilizację. Jesteś wszystkim, co stoi między nami a oczywistą zagładą. Może to głupio brzmi, ale jesteś naszą ostatnią nadzieją!

-Ale... tak piszą na początku gry! -1 ty w to nie wierzysz?

- Słuchaj, każda gra zaczyna się podobnymi, napuszczonymi tekstami! -jęknął Johnny.

- Tylko ty możesz uratować ludzkość?

- Tak, tyle że to nieprawda!

- Jeśli nie ty, to kto?

-Posłuchaj: uratowałem ludzkość, przynajmniej w tej grze - Johnny spróbował logiki. - Żaden Scree-Wee już nie atakuje ludzi. Trzeba godzinami siedzieć przed ekranem, by w ogóle zobaczyć któryś z waszych okrętów.

Kapitan uśmiechnęła się, co było jeszcze bardziej godne uwagi. Cztery ręce to

cztery ręce, a półmetrowa buziuchna pełna lśniących białych zębów to coś zupełnie innego.

- Wy, ludzie, jesteście dziwni - stwierdziła. - Lubicie się bić, ale według z góry ustalonych zasad. Kto normalny słyszał o takim prowadzeniu wojny?!

- Może poza Ziemią nikt. Zresztą wątpię, żebyśmy zawsze przestrzegali wszystkich tych zasad.

-To nic nie zmienia. Samo stworzenie takich zasad... Myślicie, że życie to gra. - Kapitan ponownie wzruszyła ramionami i wyjęła z kieszeni kartkę. -Wasze ostatnie ataki zniszczyły resztę naszych zapasów żywności, a więc zgodnie z waszymi zasadami jesteś zmuszony dostarczyć nam co następuje: piętnaście ton sprasowanego ekstraktu zbożowego zmieszanego z sacharozą, dziesięć tysięcy litrów odtłuszczonego, zimnego mleka, dwadzieścia pięć ton pieczonego ekstraktu zbożowego zawierającego mięso wołowe i śladowe przyprawy wraz z drobno posiekanymi krążkami warzyw z rodziny liliowatych oraz marchwią, jedną tonę tłuczonych ziaren gorczycy zmieszanych z wodą i stosownymi dodatkami, trzy tony dmuchanych ziaren kukurydzy pokrytych po-

chodną mleka, dziesięć tysięcy litrów barwionej wody zawierającej sacharozę i elementy smakowe, piętnaście ton przygotowanego i sfermentowanego ekstraktu zbożowego w soku warzywnym i tysiąc ton zgęszczonego kwasu mlekowego zmieszanego z owocowymi dodatkami smakowymi. Dziennie.

- Że co? Jak?

- Pożywienie waszych wojowników - wyjaśniła spokojnie Kapitan.

- To nie jest normalne jedzenie!

- Racja. Jest w nim zdecydowanie za mało świeżych warzyw i owoców, za to niebezpiecznie dużo węglowodanów i tłuszczów, przeważnie nie naturalnego pochodzenia. Niemniej to właśnie jadasz.

- Ja?! Ja nawet nie wiem, o czym ty mówisz! Co to za sprasowany ekstrakt zbożowy z sacharozą?

- Na opakowaniu jest „Snappiflakes”.

- A zagęszczony kwas mlekowy?

- Jogurt bananowy.

Johnny'emu na długą chwilę odebrało mowę.

- Aaa... a ta cała reszta? - wykrztusił, gdy wróciła.
- Frytki i hamburger z cebulą. Johnny poruszył bezgłośnie ustami.
- I mam może iść do sklepu i kupić jumboburgerów na wynos dla całej waszej floty? - spytał słabo.

-Nie całej... -No, ja myślę...
- Mój Pierwszy Mechanik chce wiaderko paniero-wanych chicken lumps.
- Jezu! - To go dobiło. - Co wy normalnie jecie?!
- Odmianę wodnej trawy. Zawiera odpowiedni zestaw witamin, minerałów i elementów śladowych dla osobnika mojej rasy.

-Więc dlaczego...
- Ma jedną wadę: jak ty byś to określił, smakuje jak rozwodnione gówno.
-Aha.

Kapitan wstała płynnym ruchem. Oprócz kolan, łokci i ramion jej ciało zdawało się zginać w każdym miejscu, w którym chciała, toteż wyglądało to bardzo efektownie.

- Muszę wracać! - oznajmiła. - Mam nadzieję, że twoja infekcja szybko się skończy. Mogę tylko liczyć na to, że atak twoich ziomków także.

- Dlaczego nie walczyście? Wiem, że jesteście w stanie całkiem nieźle strzelać.
- Mylisz się. Poddaliśmy się i nie jesteśmy w stanie. -Ale...
- Nie będziemy strzelać do waszych jednostek. Prędzej czy później to się musi skończyć. Ktoś zapewnił nam prawo bezpiecznego przelotu, więc będziemy nadal uciekać! - nawet nie podniosła głosu: po prostu wygłosiła oświadczenie.

- Dobra - stwierdził tępo Johnny. - Mam gripę z wysoką gorączką. W takich sytuacjach miewa się halucynacje. Wszyscy tak mają. Kiedyś, jak miałem gorączkę, to menażeria z tapety zaczęła tańczyć. Z tobą jest to samo: jesteś wytworem mojej wyobraźni.

-A co to zmienia? - Kapitan zrobiła dwa kroki i weszła w ścianę.
Po sekundzie wystawiła z niej łeb i dodała:
- Pamiętaj: tylko ty możesz uratować ludzkość.
- Już ci powiedziałem, że to zrobiłem!
- ScreeWee to nazwa, jaką w y nam nadaliście. Zastanowiłeś się kiedykolwiek, jak sami się określamy?

Johnny zasnął, ale dla odmiany nic mu się nie śniło. Obudził się wczesnym

popołudniem. Na niebie wisała potężna kula nuklearnego ognia, podgrzana do temperatury milionów stopni. Czyli, mówiąc normalnie, świeciło słońce.

W domu nikogo nie było, za to matka zostawiła mu tacę ze śniadaniem. A raczej z półproduktami do zrobienia sobie śniadania - świeżym pudełkiem snap-piflakes, miską, łyżeczką i kartką „mleko w lodówce”. Na dole kartki był jeszcze jej telefon do pracy, który znał na pamięć, co i tak niczego nie zmieniało - używała telefonu tak, jak normalni ludzie używają plastra.

Otworzył paczkę i pogrzebał w środku - obcy był w higienicznej, papierowej torebce. I tym razem był żółty. A przy pewnej dozie dobrej woli można nawet powiedzieć, że był podobny do Kapitan. Ponieważ Johnny’emu jakoś przeszła ochota na jedzenie (a zwłaszcza na płatki), pokręcił się po domu.

W telewizji nie było niczego zasługującego choćby na cień uwagi - wszędzie głupawe seriale albo siedzące na sofach gładzące ze sobą baby. Na ulicy -jak się spodziewał - nie było wypalonych półmilowych śladów po silnikach hamujących. W końcu, rad nie rad, wrócił do siebie.

I przyjrzał się komputerowi.

Ludzie siedzieli teraz albo w pracy, albo w szkole, czyli nie powinno być w ogóle graczy... figa, zapomniał o Australii i Ameryce - tam też grali pasjami, a mieli inny czas. Poza tym był ważniejszy problem: jak się ginie we śnie, to człowiek się budzi i wszystko jest okay. A jak się zginie, nie śpiąc?

Kapitan postąpiła głupio, zakazując strzelania -może by nie wygrali, ale na pewno ponosiliby mniejsze straty, a tak to gdzieś tam odbywała się regularna rzeź.

Ocknął się z zamyślenia, gdy na ekranie monitora pojawiły się znane napisy - musiał włączyć komputer odruchowo, czyli na autopilocie.

Napisy wędrowały w górę ekranu, a ponieważ znał je na pamięć, nawet nie próbował ich czytać. W oko wpadł mu najsłynniejszy - ostatni:

TYLKO TY MOŻESZ URATOWAĆ LUDZKOŚĆ

Jeśli Nie Ty, To Kto?

Zamrugał gwałtownie, niezbyt pewien, czy go wzrok nie oszukał co do dopisku, ale napisy zniknęły, a na ekranie pojawiły się stare znajome - gwiazdy.

Nie dotknął ani klawiatury, ani joysticka, niepewny, gdzie właściwie powinien lecieć. W końcu zdecydował, że najlepiej będzie lecieć prosto przed siebie.

I długo.

Spojrzał na zegarek - dochodziła czwarta. Zaraz ludzie zaczną wracać do domów i oglądać kretyńskie seriale, takie jak Słoneczny patrol, Dallas, Skrzydła, Air Wól f czy Drużyna A. Bigmac, ten środkowy, naturalnie będzie oglądał z podziwem, Wobbler zignoruje wszystkie, walcząc z blokadą jakiegoś programu i pozbawiając przy okazji jakiegoś programistę części dochodów z tytułu praw autorskich, a Yo-less pewnie zabierze się do lekcji. Yo-less zawsze odrabiał lekcje zaraz po powrocie do domu i dopóki tego nie zrobił, nie zwracał na nic uwagi.

A Johnny podjął decyzję, ignorując seriale - trzeba skończyć to, co się zaczęło. Obojętnie jak, ale skończyć!

Poszedł do łazienki po termometr - było to elektroniczne cudeńko (zakup mamy), który nie dość, że mierzył temperaturę i bipał, to miał jeszcze zegarek. Termometr pochodził z katalogu, w którym wszystko miało zegarki - nawet parasol do golfa, z którego można było zrobić stołek. I wszystkie, naturalnie, elektroniczne.

Wsadził sobie termometr w usta i odczekał przepisowe dwadzieścia sekund.

Okazało się, że ma 16:04°.

Nic dziwnego, że było mu zimno.

Wrócił do łóżka, nie wypluwając termometru, i spojrzał na monitor.

Wciąż tylko gwiazdy.

Jeśli Yo-less nie dostał chętki na A+, to chłopaki pewnie pałętają się po mieście, czekając, aż się wreszcie skończy kolejny dzień...

Pozezował na termometr - 16:07°.

A na ekranie nadal nic...

6. Który krokodyl chciał kurczaka?!

Johnny obudził się w znajomej kabinie.

Prawdę mówiąc, zaczynał się tu już zdomawiać.

Rozejrzał się dokoła, zastanawiając się, czy teraz jest tu naprawdę, czy tak naprawdę to ma grypę i leży w łóżku. Zaczynało mu się to wszystko już z lekka mącić. Z mętliku wyrwało go bipanie radaru. Scree-Wee co prawda wciąż nie było widać, za to za nim leciały trzy jednostki znacznie większe niż jego własna. Zresztą „leciały” to niewłaściwe słowo - bardziej pasowałoby określenie „posuwały się z wolna”. Zdecydowanie wyglądały na transportowce.

Duże transportowce.

Włączył komunikator i na ekranie ukazała się znajoma, pucołowata gęba w okularach.

-Wobbler?!

- Johnny?!

- Co ty robisz w mojej głowie?! Wobbler rozejrzał się zaskoczony.

- Słuchaj, tu do tablicy kontrolnej jest przynitowa-na plakietka. Tam pisze, że to jest lekki tankowiec trzeciej klasy. U ciebie w głowie to zawsze tak wesoło?

- Nie wiem - wyznał Johnny, przyglądając się z namysłem przełącznikowi „Konferencja”, usytuowanemu pod ekranem łączności.

Nigdy dotąd go nie używał (właściwie nigdy go do-

tyd nie zauważył), ale coś mu mówiło, że dobrze wie, do czego on służy.

Gdy go wcisnął, okazało się, że miał rację - ekran podzielił się na cztery części, z których lewą górną zajęła głowa Wobblera, prawą górną jego własna, a prawą dolną podobizna Yo-lessa. Ostatni kwadrat pozostał pusty.

- Bigmac! - Johnny ponownie nacisnął guzik. Bigmac pojawił się na ekranie, ocierając musztardę z brody.

- Sprawdzales ładunek, żarłoku? - upewnił się Johnny.

- Same hamburgery z frytkami. - Bigmac był wniebowzięty, zupełnie jak mnich, który trafił do nieba i stwierdził, że tam wszystko jest dozwolone. - Chłopie, ich są miliony. I pełno kurzych kawałków w pa-nierze. Słuchaj, co to jest „panierze”, tu tak

pisze, ale...

- U mnie pisze, że mam „prażoną kukurydzę i inne wyroby zbożowe prasowane”
- przerwał mu Yo-less. - Mam sprawdzić, co to takiego te „prasowane”?

- Możesz - zgodził się Johnny. - To powinny być snappiflakes. Znaczy, że ty, Wobbler, masz cysternę mleka, a raczej pół cysterny mleka, pół jogurtu?

- Mam dwa zbiorniki, po jednym z każdym - wyjaśnił go Wobbler. - Dlaczego tylko Bigmac ma coś dobrego?

- W takim razie Bigmac powinien lecieć między nami. Bo jak by się płatki zderzyły z mlekiem...

- To byłaby gotowa wyżerka dla całego kosmosu - ucieszył się Bigmac. - Łubudu, snap, fababababab, BUM!

- Będziemy to pamiętać, jak się obudzimy? - zainteresował się Wobbler.

- Bigmac, przestań udawać, że strzelasz, bo nic nie słyhać! - zirytował się Yo-less. - A co do pamiętania: jakbyś zapomniał, Wobbler, to my nie śpimy!

- Co!?... A, też prawda... To czy będziemy pamiętać, jak on się obudzi?

- Wątpię. On może pamiętać, my nie. Jesteśmy jedynie projekcją jego podświadomości - wyjaśnił Yo-less, a widząc minę Wobblera, dodał: - My mu się śnimy!

- To nie mogłeś tak od razu?! - oburzył się pytający.

- Znaczy się, my nie jesteśmy naprawdę?- spytał Bigmac. - Jesteśmy nierealni?

- Nie wiem nawet, czy ja jestem realny - odparł Johnny.

- Czuję się realnie - ocenił Wobbler. - Mleko też śmierdzi realnie.

- Jedzenie smakowało normalnie - dołączył Bigmac.

- On może mieć dobrą wyobraźnię - osadził ich Yo--less. - Prawdę mówiąc, on ma dobrą wyobraźnię. Tak naprawdę to nas tu nie ma. Istniejemy tylko w jego głowie. Natomiast pocieszające jest coś innego: jeśli wyślemy wszystkie kupony z pudełek, które wiozę, to dostaniemy sześć tysięcy kompletów talerzyków i dwadzieścia tysięcy książeczek do wklejania kart z piłkarzami. I będziemy mieli pięćdziesiąt siedem tysięcy szans, by wygrać pięciodrzwiowego fordą sierrę!

Cztery jednostki wolno doganiały flotę ScreeWee. Maszyna Johnny'ego, znacznie szybsza od transportowców, zataczała wokół nich kręgi, a Johnny prawie nie spuszczał wzroku z ekranu radaru.

Jeśli nie liczyć sporadycznych gwizdów i parsknięć dobiegających z tankowca, wszędzie panowała cisza i spokój. Gwizdy i trzaski były protestami pokładowego komputera, który Wobbler próbował z nudów rozebrać na części pierwsze.

Na ekranie radaru widać było spory żółty placek, to jest flotę ScreeWee, a na brzegach ekranu zielone

punkciki graczy. Było ich więcej, niż Johnny się spodziewał.

- Yo-less? - odezwał się Johnny. -No?

- Masz jakieś lasery na pokładzie? Albo działko?

- Tego... jak one wyglądają?

- Powinieneś mieć czerwony guzik na joysticku.

- Nie mam. -Wobbler?Bigmac?

- Nie mam - to był Wobbler.

- Który to joystick? - to był Bigmac.

- To, czym sterujesz - poinformował go Yo-less. -Jak go obetrzesz z musztardy, to będziesz go mógł obejrzeć.

- Mogę i bez wycierania... nic na nim nie ma.

Jedna rakietą i po Bigmacu, po każdym z nich. Jedno trafienie laserem i Wobbler będzie siedział w największym serze szwajcarskim we Wszechświecie. Dlaczego wszystko musi się zawsze kończyć źle?

- Lećcie tym samym kursem - polecił. - Ja zobaczę, jak to wygląda z bliska.

Graczy było pięciu, lecz nim doleciał, zostało mniej

0 dwóch - jeden się zagapił i staranował drugiego, oszczędzając Johnny'emu rakietę. Miejsce kolizji znaczyła chmura szczątków.

Johnny wziął najbliższego z pozostałych na cel i jedną rakietą zamienił w mniejszy obłok. Nie tracąc czasu, wycelował w następnego, odpalił dwie rakietę

1 poleciał zaraz za nimi. Ten gracz za obiekt ataku wybrał jednostkę flagową i był tak zaabsorbowany pościgiem, że nie zauważył własnego radaru. Obie rakietę dopadły go równocześnie i Johnny zawrócił, szukając trzeciego. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że działa odruchowo, nie myśląc. Jego oczy i ręce same robiły, co należy.

Ostatni gracz dostrzegł konwój i zawrócił w jego

kierunku. Johnny dał pełen ciąg i skoncentrował się na celowniku. Ledwie tamten znalazł się w kółku oznaczającym namierzenie, nacisnął spust...

Dopiero głośnie bipanie wyrwało go z transu - wyświetlacz informował radośnie, że ani rakiet, ani amunicji do działka już nie ma, a lasery są rozładowane. Po ostatnim przeciwniku nie zostało śladu.

Amok bitewny ustąpił - znowu mógł myśleć i kierować własnymi kończynami. Bolał go łokieć - najwyraźniej w coś trafił, ale nie pamiętał tego. Myśli powoli wracały do ładu, niczym partyzanci z wyciętego lasu. Tak zapewne czuli się prawdziwi piloci myśliwscy walczący na serio ze świadomością, że mogą zginąć.

No, a poza tym stało się jasne, dlaczego ludzie wymyślili reguły prowadzenia wojny. Po tym, czego doświadczył, Johnny nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak mogłaby wyglądać wojna bez tych reguł.

Z rozmyślań wyrwała go migocząca przy komunikatorze lampka, toteż pospiesznie włączył urządzenie.

- Witaj. - Na ekranie pojawiła się Kapitan. - Muszę pogratulować wyjątkowo skutecznej techniki. Nie wiedziałam, że umiesz tak walczyć.

- Ja też. Ale nie o to chodzi...

- Naturalnie. Widzę, że masz ze sobą przyjaciół...

- Mówiłaś, że potrzebujecie jedzenia.

- Bo to prawda. Ostatni atak poważnie naruszył nasze zapasy.

- I dalej nie strzelacie?

- Nie. Poddaliśmy się, jakbyś zapomniał. Poza tym walka zabiera czas, a mamy go bardzo niewiele. Jeśli będziemy ciągle lecieć, to choć część powinna dotrzeć do Granicy.

- Jakiej Granicy? - zdumiał się Johnny. - Podobno lecicie do domu, czyli na jakąś planetę. Tak przynajmniej mówiłaś na początku!

- Najpierw musimy przekroczyć Granicę. Za nią będziemy bezpieczni: nawet ty nie zdołasz jej przelecieć. Jeśli będziemy walczyli, zginiemy wszyscy, jeśli będziemy uciekali, to część z nas przeżyje. Poza Granicą nie ma ludzi i nikt do nas nie będzie strzelał.

- Wątpię, by ludzie wybrali takie wyjście - przerwał jej, spoglądając za siebie: konwój znacznie się przybliżył.

- Jesteście ssakami. Macie gorącą krew i działacie szybko. My jesteśmy gadami, mamy znacznie zimniej-szą krew i działamy znacznie wolniej. Najpierw staramy się myśleć, i to logicznie. Jeśli choć jeden okręt przedostanie się przez Granicę, to wygraliśmy: rozmnażamy się szybko, toteż nie zagrazi nam wymarcie. Dla nas to logiczne wyjście.

Któryś z pozostałych trzech musiał nacisnąć przycisk „konferencja”, bo ekran podzielił się i Kapitan wylądowała w lewym górnym rogu. Tym razem John-ny nie widział siebie na własnym ekranie.

-Pięknie ci poszło! - pogratulował Wobbler. -Żeby...

- Mam żabę na ekranie! - przerwał mu Bigmac.

- To nie żaba, tylko aligator, pacanie! - poprawił go Yo-less.

-To ona... to jest Kapitan - przedstawił Johnny.

- Baba dowodzi? - zdziwił się Yo-less.

- Nic dziwnego, że zawsze przegrywają - dodał Wobbler. - Powinniście zobaczyć samochód mojej mamuski!

- Wobbler, ona cię słyszy, więc uważaj na ozór, co? -parsknął Johnny. - I pamiętaj, że od dawna mamy równouprawnienie!

- Zapraszam twoich towarzyszy do rozładowania mile widzianego ładunku - rzekła z uśmiechem Kapitan.

W końcu doszli do tego, jak dokonać rozładunku. Środkowa sekcja każdego transportowca - w wypadku tankowca dwie - dawała się bez trudu odłączyć. Niewielkie holowniki ScreeWee, będące w praktyce kabiną z potężnym silnikiem, zaciągnęły kontenery i cysterny do otwartych luków ładunkowych największych okrętów. Po rozładunku jednostki dostawcze wyglądały, oględnie mówiąc, dziwnie - najpierw były kabiny, potem płatanina kratownic wypełniona pustką i na koniec silniki z dyszami wylotowymi. Zbiorniki z mlekiem i jogurtem załadowano na flagowy, ciężki krążownik.

- Tego... jak będziecie wysypywali płatki z pudełek, to uważajcie: z każdego wyleci coś plastikowego... -wykrztusił Johnny. - To coś nie jest tam celowo. To taki żart, może nie najmądrzejszy...

- Dziękuję za informację.

- Jak ci się uda zebrać wszystkie kupony, to to na pudełkach z płatkami umieszczą twoje zdjęcie, a i pewnie wygrasz forda sierrę - poinformował ją nieco

drżącym głosem Yo-less (w końcu, było nie było, pierwszy raz w życiu mówił do obcego).

- Byłby użyteczny. Niektóre korytarze na krążowniku są bardzo długie.

- Nie bądź cymbał! - wtrącił się Bigmac. - A skąd ona weźmie części?!

- Racja - przyznała Kapitan. - To już wolę te sześć tysięcy kompletów podstawek.

- A jak się tu dostaliście?

- Właśnie... - zastanowił się ciężko Wobbler. - Szedłem sobie... a w następnej chwili byłem już tu, w kabinie.

- Jak już o tym mowa - Bigmac wrócił do ukochanego, nawet bardziej niż wojsko, tematu - to skąd się wzięła ta wyżerka?

- Przecież wam mówiłem! - jęknął Yo-less. - Nas tu naprawdę nie ma. Johnny to sobie wymyślił. Żar-

cię też. To projekcja pragnień, zdaje się... czytałem o tym w jednej książce.

- Miło wiedzieć - odetchnął Wobbler. - A wracając do rzeczy: jak wrócimy?

- Nie wiem - przyznał Johnny. - Ja przeważnie to robię, ginąc...

Zapadła naprawdę długa cisza.

-A jest inny sposób? - spytał ostrożnie Yo-less.

- Dla mnie chyba nie. To jest przestrzeń gry i trzeba zginąć, by z niej wyjść. Wy pewnie możecie po prostu odlecieć. Tak mi się przynajmniej wydaje. Wy w to nie gracie... przynajmniej nie tak jak ja.

- A to na pewno - zgodził się Wobbler z uczuciem.

- Tylko jak nie chcecie ginąć, to lepiej się pospieszcie - dodał Johnny - zanim zjawią się inni gracze.

- Byśmy zostali i pomogli, gdyby te krypy miały jakieś uzbrojenie - bąknął Wobbler.

- Głupio zrobiłem, że tego nie wyśniłem - przyznał Johnny.

- Yo-less może mieć rację, ale nawet jak ci się śnimy, to bezsensowne ginięcie nie jest szczytem moich marzeń - dodał przepraszająco Wobbler.

- Też tak myślę.

- Będziesz jutro w szkole?

- Może.

- Dobra... no to... do jutra.
- Cześć.
- Zostajesz? - upewnił się Yo-less.
- Spróbuję się przydać.
- Ano. Dokop obcym, Johnny! - dodał Bigmac. I trzy transportowce zawróciły.
- Bigmac, ty trąbolu, Johnny jest właśnie po stronie obcych! -jęknął Yo-less.
- Co?! To oni są po naszej stronie?
- Nie, oni są po swojej stronie, a on jest z nimi.
- To po której stronie my w końcu jesteśmy?!
- Po jego.
- A, to w porządku - ucieszył się Bigmac. - Tego... Yo-less?
- Czego znowu?!
- To kto jest po naszej stronie? -On.
- To po przeciwnej stronie w ogóle ktoś jest? Z głośnika dobiegło zgrzytanie zębów.

A potem transportowce znalazły się poza zasięgiem radaru i zniknęły z jego ekranu.

Prawdę mówiąc, Johnny nie miał pojęcia, gdzie się podziały.

Posmutniał, ale równocześnie obiecał sobie nie śnić o nich więcej: nieważne, że tak naprawdę ich tu nie było, i tak nie miał ochoty oglądać, jak któryś z nich ginie.

- Nie odlatujesz? - spytała Kapitan.

- Jeszcze nie.

- Czyli czekasz, aż cię zabiją.

- To jedyny sposób, jaki znam - wzruszył ramionami. - Walczyć do śmierci. Tak jest we wszystkich grach i jedyne, na co się liczy, to że kiedyś zdąży się dotrzeć do końca, nim cię zabiją. Zresztą z każdą śmiercią dowiadujesz się czegoś nowego o grze.

Chwilowo ekran radaru był czysty, a flota, pozornie nieruchoma, grzała z całkiem przyzwoitą szybkością ku Granicy (cokolwiek to było), z każdą sekundą zmniejszając szansę graczy na jej odnalezienie.

- Johnny? -Tak?

- Chyba cię zirytowałam tym niedawnym stwierdzeniem, że ludzie są krwiożerczy i niebezpieczni...

-Cóż... trochę...

- Nadal tak uważam, ale w tym wypadku... jestem wdzięczna...

- Chyba nie rozumiem.

- Za to, że jesteś po naszej stronie. -Aha... aleja nie jestem krwiożerczy.

- W takim razie z pół godziny temu ktoś inny pilotował twój myśliwiec.

- To nie tak... to trudno wyjaśnić... -Przede wszystkim sam musiał z tym dojść do ładu.

-Może w takim razie zmienimy temat na mniej kłopotliwy?

- Nie musisz się mną przejmować. Dowodzisz, więc pewnie masz aż za dużo roboty...

- Nie tak znowu dużo: okręty lecą praktycznie same i niewiele mam z tym wspólnego. Do autopilota lepiej się nie wtrącać. A rzadko kiedy miałam dotąd okazję porozmawiać z człowiekiem... Co to jest „równouprawnienie”?

- Co proszę?

- Niedawno użyłeś tego słowa.

-A... tak. To znaczy, że ludzi należy traktować tak samo, a nie że dziewczyny są gorsze, bo nie potrafią wielu rzeczy. Fakt, że nie potrafią, ale jak się udaje, że się tego nie widzi, to jest znacznie łatwiej. To wszystko.

- Jak sądzę, jest sporo rzeczy, których wy, chłopcy, dla odmiany nie potraficie?

- Pewnie, ale to nie my wrzeszczymy, że nie jesteśmy właściwie traktowani. No, a kobiety (przynajmniej niektóre) też są w wojsku czy są inżynierami, więc jak im naprawdę zależy, to potrafią.

- Przekraczają ograniczenia swojej płci... Tak, u nas też to się zdarza. Niektóre jednostki okazują godne podziwu dążenie do sukcesu, do kariery w dziedzinie tradycyjnie uznawanej za właściwą dla przedstawicieli przeciwnej płci.

- Jak na przykład ty - dodał Johnny.

- Nie. Miałam na myśli Oficera Ogniowego. -Przecież to facet... to jest, tego... samiec.

- Właśnie. A tradycyjnie u ScreeWee wojna jest domeną samic, które są bardziej skłonne do walki. Nasi przodkowie musieli bronić sadzawek rozrodowych, więc znacznie częściej spadało to na samice, będące zawsze w pobliżu. Ale w jego wypadku...

Radar zabijał, a na ekranie pojawił się zielony punkcik.

Johnny obserwował go uważnie i jak się okazało, nie bez powodu. Zazwyczaj gracze gnali prosto ku flocie, a ten nie. Trzymał się prawie na skraju zasięgu radaru, lecąc z tą samą prędkością co ScreeWee, i czekał nie wiadomo na co.

Po chwili w zbliżonym namiarze pojawił się drugi zielony punkt.

Ten zachowywał się normalnie - grzał ile mocy w silnikach ku przeciwnikowi.

Powstała w związku z tym pewna drobna niedogodność związana z amunicją. W tej grze na jeden poziom zawodnik miał sześć rakiet i określoną ilość amunicji do działek - a on już swoje zużył. Pozostały tylko lasery, z których można było strzelać ciągle (to jest do chwili rozładowania ich baterii, a potem trzeba było czekać, aż się ponownie naładują), ale z lasera trzeba było trafić kilka razy, a rakietę wykańczała od razu wszystkich - jego też.

W dodatku dekoncentrował go ten pierwszy gracz, trzymający się z daleka i wszystko obserwujący. Na wszelki wypadek włączył komunikator i przeciął kurs tego bardziej zdecydowanego.

- Napastnik atakujący flotę! - zawołał. - Przerwij atak!

Zero reakcji.

Albo go ignorował, albo jako zwykły gracz go nie słyszał, a co za tym idzie, nie mógł też odpowiedzieć. Johnny z lekkim niesmakiem naprowadził na niego celownik. Zamiana przeciwnika w chmurę śmieci nie

mogła być jedynym sposobem - w końcu trzeba spróbować się dogadać, choćby z prostego powodu, że komuś zabraknie rzeczy, którymi może w drugiego strzelić.

Gracz odpalił raketę, Johnny zrobił unik i pocisk zniknął w przestrzeni.

-Napastnik, to twoja ostatnia szansa! Wycofaj się albo otwieram ogień!

Reakcji zero.

Johnny nacisnął więc spust, cały czas trzymając tamtego w celowniku. Po chwili osłony myśliwca rozjarzyły się, po czym zgasły. Po następnej chwili mimo rozpaczliwych uników tamtego maszyna wybuchła, zamieniając się w czerwoną chmurę. Johnny przestał strzelać i przeleciał przez nią.

Gdzieś ktoś gapił się w ekran, klnąc zaskoczony, a przynajmniej Johnny miał taką nadzieję.

Pierwszy gracz tymczasem wciąż trzymał się z boku, wyprowadzając

Johnny'ego z równowagi. Tak się nie powinno grać! Jak się dostrzeże obcego, to się leci i strzela. O to przecież chodzi w całej grze. No nie?!

Takie zachowanie dawało mu czas na doładowanie laserów, jednak z drugiej strony był tym zaniepokojony. Tamten zachowywał się jak ktoś traktujący całą grę naprawdę poważnie.

Siedząca przed głównym ekranem w swojej kabinie Kapitan obserwowała uważnie rozwój wydarzeń, pogryzając cukrzone płatki kukurydziane na sucho. Niezłe, choć od czasu do czasu dziwnie twarde... o, choćby teraz...

Spomiędzy zębów wydłubała coś znacznie większego niż płatek i przyjrzała się temu z namysłem.

Owo coś było zielone, miało cztery ręce i w każdej trzymało jakąś broń.

Ponownie zastanowiło ją, co też to może być. Lekarz twierdził, że zapewne jakieś robaki, które dostały się do pożywienia przed procesem odwodnienia. Wśród załogi natomiast najpopularniejsza była teoria, że mają one coś wspólnego z lokalnymi wierzeniami. Może ofiary dla bogów?

Odstawiła nieco nadgryzioną figurkę na biurko. We właściwym świetle wyglądała trochę jak Oficer Ogniowy. Potem otworzyła niewielką klatkę wiszącą nad biurkiem. Wśród przodków jej rasy były i aligatory, od których przejęto część zwyczajów. Otworzyła paszczę, ukazując imponujący komplet uzębienia, a uwolnione z klatki małe ptaszki zabrały się do jego oczyszczania. Jeden jako pierwszą zdobycz znalazł plastikowy laser.

Czający się myśliwiec wciąż trzymał się w sporej odległości, oblatując flotę szerokim łukiem. Był świadkiem końca kolejnego napastnika, lecz nie wiedział, że na tablicy kontrolnej maszyny Johnny'ego zaczęła błyskać jakaś czerwona lampka. Coś się zepsuło -Johnny podejrzewał, że znowu pompy obiegu wtórnego. Odruchowo pilotował swój myśliwiec, tak by znajdować się między obserwatorem a ScreeWee.

-Johnny? - odezwał się komunikator głosem Kapitan.

- Tak? Obserwujecie go?

- Owszem. Stara się trzymać między nami a Gra-nicą.Teraz znajduje się dokładnie na naszym kursie.

- Nie da się go jakoś ominąć?

- Mamy ponad trzysta jednostek. Może być gorsze zamieszanie niż podczas

ataku.

- Wygląda, jakby na coś czekał. Zaryzykuję i przyjrzę mu się bliżej...

Johnny dał pełen ciąg i ruszył na spotkanie dziwnego gracza. Tamten ani nie przyspieszał, ani nie próbował żadnych uników. Po prostu czekał.

Był to taki sam gwiazdny myśliwiec jak jego własny (w pewnym sensie był to jego własny, bo w grze był tylko jeden ludzki okręt). Wisiał sobie nieruchomo na tle gwiazd niczym jakiś Kosmiczny Najeźdźca, ale w kabinie ktoś siedział. Ktoś w hełmie. W tej grze wszyscy mieli hełmy, bo na okładce miał go pilot. Może plastik się pomylił, a może stwierdził, że tak lepiej wygląda. No bo na co komu w kosmosie hełm - żeby nie rozbił głowy przy lądowaniu?!

- Halo? Słyszysz mnie? - zaryzykował Johnny. Cisza.

-Myślę, że mnie słyszysz - nie ustępował Johnny. - Takie mam to... no, przeczucie.

Głowa odwróciła się ku niemu, ale przez przydymione szyby kabiny nic więcej się nie dało dostrzec. Mimo to wiedział, że jest obiektem dokładnej lustracji.

- Na co czekasz? - spytał. - Słuchaj, wiem, że mnie słyszysz, a nie lubię sytuacji w rodzaju: gadał chłop do obrazu, a...

Okręt ożył i z maksymalnym możliwym przyspieszeniem pomknął ku flocie ScreeWee.

Johnny zaklął pod nosem - co mu się niezmiernie rzadko zdarzało - i pognął za nim, wiedząc, że nie ma szans go dogonić - obie maszyny miały dokładnie takie same osiągi. A tamten w dodatku był poza skutecznym zasięgiem laserów, więc nie było sensu marnować energii. Czyli że zupełnie nic nie był w stanie zrobić.

Większe jednostki ScreeWee próbowały zejść napastnikowi z drogi, co szło im wybitnie nieskładnie, na szczęście żadna nie zderzyła się z inną. Formacja przypominała rozwijający się powoli kwiatek, na który ktoś nadepnął. Myśliwiec wpadł w sam środek tego zamieszania, wszedł w łagodny skręt i w jego

trakcie odpalił wszystkie sześć rakiet. Trzy z nadlatujących ku niemu myśliwców eskorty zniknęły w chmurach ognia, a jeden niszczyciel rozbłysł trafieniami i wypadł z szyku.

Napastnik, nie czekając na efekt salwy, skierował się ku kolejnemu celowi.

Johnny musiał przyznać -choć naprawdę niechętnie - że przeciwnik lata doskonale i z jakąś wewnętrzną gracją, co u graczy stanowiło prawdziwy ewenement. Większość z nich latała podobnie, jak jeździła samochodami: sztywno, głupio i ze strachem. Ten natomiast zwijał się jak autentyczny ptak, a każdy zwrot wprowadzał mu pod lufy inną jednostkę. Z działek trudno kogoś zestrzelić krótką serią, ale szkody można narobić. A on właśnie robił jej, ile mógł. Nawet gdyby ScreeWee strzelali, to przyznać należało, że trafić go mogli wyłącznie przez przypadek.

Ten ktoś był naprawdę dobry.

- Musisz go powstrzymać! - Na ekranie łączności ukazała się Kapitan.

- A co ja, kurde, próbuję zrobić?!

Myśliwiec wykonał ciasny skręt ze ślizgiem na skrzydło (Johnny nigdy o takim manewrze nie pomyślał), na moment znieruchomiał, po czym pomknął z powrotem w kierunku, z którego przyleciał.

Czyli dokładnie w celownik Johnny'ego.

- Przestań! - wrzasnął Johnny. - Bo jak nie...

- Ktoś ty? - warknął niespodziewanie głośnik jak najbardziej ludzkim głosem.

Ludzkim, bo nie było w nim śladów mechanicznego tłumacza. Co więcej: głos był zdecydowanie damski!

- A więc jednak mnie słyszysz! - ucieszył się Johnny.

- Zejdź mi z drogi, głupku! - Głos był jakoś dziwnie znajomy...

Maszyny pędziły na siebie, aż pomiędzy nimi nie zostało nic...

Nie zderzyły się w klasycznym znaczeniu tego słowa - raczej otarły się o siebie, co jednak najzupełniej wystarczyło. Stateczniki z silnikami korekcyjnymi odleciały ze zgrzytem dartego metalu, pękły zbiorniki, a obie jednostki, pozbawione częściowo napędu i całkowicie sterowności, oddaliły się od siebie niczym para ciężko trafionych pijaków.

Tablica kontrolna w maszynie Johnny'ego rozbłysła jedną czerwoną falą, a przez dach kabiny przebiegła powiększająca się z każdą sekundą rysa pęknięcia.

- Idiota! - wycharczało stalowe sitko.

- Uspokój się! Zaraz się obudzisz... A potem myśliwiec eksplodował.

7. Posępna wieża

Na termometrze było 16:34°.

Johnny zamrugał i wyprostował się.

Fakt, miał już jakąś wprawę w umieraniu, ale i tak tego nie lubił. Nie to jednak było istotne: ważne, że ona go usłyszała! Gra była światem ScreeWee. Wobbler i pozostali znaleźli się tam wyłącznie dlatego, że ich wyśnił. Dziewczyny jednakże nie wyśnił, i to z całą pewnością. Ba, nie wiedział nawet, jak ona wygląda! Ale wiedział, kim jest.

Ten głosik był trudny do zapomnienia, a u Patela miał okazję posłuchać sporej próbki. Głosik zdecydowanie i jednoznacznie wyrażał, co jego właścicielka sądzi o reszcie świata. A sądziła, że reszta, łagodnie rzecz ujmując, jest umyślowo ociężała oraz że należy do nich mówić powoli i prostymi słowami (jak do dzieci albo obcokrajowców) albo zgoła obrazowo (jak do tępych dzieci albo bardzo obcych obcokrajowców). Musiał ją znaleźć, już choćby z tego prostego powodu, że nikt, kto potrafił tak latać, nie powinien się znajdować w pobliżu ScreeWee.

A Wobbler powinien wiedzieć, kto to taki.

Gdy wstał, stwierdził z pewnym zdziwieniem, że jednak się kręci. Nie on, lecz reszta świata. Może w tej bajce zwanej fizyką było mimo wszystko trochę prawdy. A może po prostu był rzeczywiście chory. To

ostatnie nie byłoby aż takie dziwne - Ciężkie Czasy, szkoła i próba uratowania całej obcej rasy zamiast snu stanowiły całkiem dobrą podstawę do uczciwej choroby.

Mimo to dotarł do telefonu, nie spadając ze schodów. Zdążył wysunąć antenę ze słuchawki, gdy telefon ożył.

- Halo? - bąknął niepewnie. - Blackbury - 2-3-9-9--8-0-kto - mówi?

-To ty? To ja.

- Aha! Cześć, Wobbler.

- Chory jesteś czy co? -Grypa. Słuchaj...

- Widziałeś dzisiejsze gazety?

-Nie. Rodzice zabrali ze sobą do pracy. Wobbler...

- Jest artykuł o Gobi Software. Czekaj... o: Nie będzie spotkań 21 stopnia. To

jest tytuł!

- A co jest potem? - spytał ostrożnie Johnny.

- Że firma i sklepy komputerowe zostały zasypane zażaleniami na grę Tylko Ty Możesz Uratować Ludzkość. I że premia za wybicie obcych w połączeniu z brakiem danych podpada pod Ustawę o handlu i usługach. I cały czas używają słowa „hacker”.

- Sądząc po głosie, Wobbler był przekonany, że w przeciwieństwie do dziennikarzy wie, kto to naprawdę jest hacker. Johnny był skłonny się z nim zgodzić. - I cytują Ala Rampę, przewodniczącego Gobi. Twierdzi, że jak odeśle się im grę, to za darmo dostanie się nową: Dodge City 1888. W „FAAzzzAAP” dali jej cztery gwiazdki. Tylko trzeba odesłać oryginał...

- Przecież ty nie masz oryginału! - przypomniał mu Johnny. - Ty prawie w ogóle nie masz oryginałów gier.

- Nie mam, ale znam jednego, którego brat ma, bo kupił - wyjaśnił Wobbler i dodał po chwili z ulgą: -Więc to był tylko problem z grą. Z twoją głową wszystko w porządku!

- Nie mówiłem, że z moją głową jest coś nie w porządku!

- No nie, ale zawsze... - Wobbler wyraźnie się spieszył.

- Wobbler? -Co?

- Znasz tę dziewczynę, która ostatnio reklamowała grę u Patela?

-A, ta... a bo co?

- Wiesz, kto to?

- Czyjaś siostra, a co? -Czyja?

- Chodzi do jakiejś takiej szkoły dla nieuleczalnie mądrych. Ma na imię Kylie czy Krystal, czy jakoś tak... no, takie wymyślne imię. A po co ci te wiadomości?

- Ciekaw jestem. A co, nie wolno? Czyja siostra? -Takiego jednego... Plonker się nazywa. Kumpel Bigmaca. Ty, dobrze się czujesz?

- Dobrze. Dzięki i na razie. -Na razie... Będziesz jutro?

- Pewnie będę.

- No to cześć. -Cześć.

Bigmac nie miał telefonu.

Nie było to specjalnie dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, że w okolicy, w której mieszkał, listonosz był równie rzadkim zjawiskiem jak policjant. W tamtym rejonie

nawet doliniarze czuli się nieswojo. O bloku Joshui N'Clementa ludzie mówili tak, jak zapewne wcześniej opowiadali o Czarnej Dziurze w Kalkucie, a jeszcze wcześniej o izbie przyjęć Inkwizycji. Blok, a raczej wieża, w pełni to uzasadniał - tkwił ciemny i samotny na tle pochmurnego nieba niczym ostatni ząb wampiradesperata.

Wokół budynku nie było właściwie nic, jeśli nie liczyć mnóstwa zamkniętych sklepów. Ewenementem wśród nich był zrobiony z cegły i neonów pub „Pod Radosnym Rolnikiem”.

Wieża w 1965 roku wygrała nagrodę za rozwiązania architektoniczne. Zbudowano ją, ma się rozumieć, w tym samym roku, a w 1966 zaczęły z niej odpadać pierwsze kawałki. W 1967 przestały działać windy, co przy dwudziestopiętrowej konstrukcji stanowiło swoistą atrakcję.

Od samego początku swego istnienia wieża stanowiła rezerwat wiatrów. Nawet w słoneczny i bezwietrzny dzień hulały po niej zimne przeciągi. Gdyby zbudowano ją trochę wcześniej - tak z tysiąc lat -to z całego kraju przyjeżdżaliby wyznawcy boga wiatrów.

Tata Johnny'ego, słysząc o miejscu zamieszkania Bigmaca, używał określenia „Rottweilerowy Szczyt”, choć Bigmac mieszkał ledwie na czternastym piętrze. Mieszkał zresztą razem z bratem, dziewczyną brata i bullterierem zwanym Clint. Brat Bigmaca, jak słusznie niosła wieść gminna, utrzymywał się z nieformalnego obrotu magnetowidami wszelkich marek i roczników.

Johnny zapukał, mając nadzieję, że zrobił to na tyle głośno, by usłyszeli go ludzie, a na tyle cicho, by nie usłyszał Clint. Wściekły charkot dobiegający zza drzwi rozwiął te złudzenia.

Po chwili szczęknięt łańcuch i drzwi uchyliły się na dokładnie wyliczone parę centymetrów. W szparze pojawiło się podejrzliwe oko (na właściwej wysokości) i kłęb wkurzonej aktywności (metr niżej). Owym kłębem był Clint, próbujący równocześnie umieścić w szparze tak ślepią, jak i zęby.

- Czego? - padło rzeczowe pytanie.
- Bigmac jest? - zapytał równie rzeczowo Johnny.
- Cholera wie.

W mieszkaniu były cztery pokoje, rodzina Bigmaca zaś była liczna i gniazdująca jak miasto długie i szerokie. Ponieważ gniazdowano losowo -jak komu wygodniej -

było fizyczną niemożliwością, by jeden jej członek wiedział, gdzie znajduje się inny. Dopóki naturalnie nie był całkowicie pewien, kto pyta.

- Jestem Johnny Maxwell, kumpel ze szkoły - uściślił Johnny, doskonale zaznajomiony z procedurą.

Clint z uporem godnym lepszej sprawy próbował wcisnąć piętnastocentymetrowej szerokości łeb w pięciocentymetrową szczelinę.

- Aha - oko przestało być podejrzliwe. - Jest w pubie na dole.

- Aha - ucieszył się Johnny. - To go znajdę...

Mimo że Bigmac wyglądał na siedemnaście lat, miał trzynaście, co jednak właścicielowi pubu nie robiło różnicy. Bywalcy mówili, że obsługuje każdego, kto sięga brodą nad bufet. Johnny, który pub mijał po drodze do domu, przynajmniej od dwóch lat sięgał brodą wyżej lady, do środka wchodził jednak z najwyższą niechęcią. Na szczęście Bigmac był na zewnątrz.

Stał oparty o maskę samochodu parkującego pod knajpą. Było z nim jeszcze dwóch, z których jeden nonszalancko grzebał dłutem w zamku drzwi kierowcy. Cała trójka przyglądała się podchodzącemu John-ny'emu tyleż spokojnie co niezbyt przychylnie.

- Aaa, Johnny - Bigmac nie był zbyt wylewny, ale i tak pozostali przestali się gapić: Johnny, znaczy się był swój. Przynajmniej chwilowo. - Nauczyłeś się pić czy co? - zdziwił się Bigmac. - Co tu robisz?

- Szukam Plonkera. - Johnny doszedł do wniosku, że Bigmac, mówiąc o piciu, nie myślał o coca-coli. - Wobbler mówił, że go znasz.

- A po grzyba ci on?

W szkole czy gdzieś indziej Bigmac by nie zapytał. Tutaj jednak obowiązywały inne zasady. Podobnie jak w szkole Bigmac ukrywał łatwość, z jaką operował cyframi, tu ukrywał umiejętność prowadzenia normalnej rozmowy.

- Potrzebna mi jego siostra - wyjaśnił Johnny. Grzebiący przy zamku zachichotał.

Bigmac złapał Johnny'ego za ramię i odciągnął go na bok.

- Po co tu przyszedłeś? Nie mógłbyś mnie zapytać jutro? - parsknął.

- To... ważne.

- Bigmac, jedziesz czy nie? - dobiegło ich z tyłu. - Muszę coś załatwić - rzucił

przez ramię zapytany.

Za nimi dały się słyszeć szepty i śmiech, a potem trzaśnięcie drzwiami. Chwilę panowała cisza i silnik zaskoczył. Samochód ruszył, odbił się od krawężnika i przyspieszając, pomknął w noc. Z piskiem opon pokonał zakręt i zniknął, jadąc niewłaściwym pasem.

Bigmac odprężył się i jakby zmałał.

- Nie chciałeś z nimi jechać... - domyślił się Johnny.

- Nie bądź za cwany - odparł Bigmac prawie normalnym głosem. - Chodź, bo za chwilę będzie tu kilku niezbyt szczęśliwych dorosłych. Sami sobie winni: kto normalny zostawia tu samochód?!

-Co?!

- Nic. Kiedy ty zaczniesz normalnie żyć? Obudź się, chłopie!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Niedaleko rozległ się klakson, który nagle zamilkł. Bigmac stanął, nasłuchując. Wyciągnął przy tym odruchowo szyję, przez co koszulka napięła mu się na piersiach i napis „Terminator” wyglądał niczym rozpięty na kaloryferze.

- Bigmac, zastanawiałeś się kiedyś, co jest realne, a co nie?

- Nie masz większych zmartwień? -Co?

- Prawdziwe jest prawdziwe, reszta nie i koniec.

- A sny?

- Co sny? Jasne, że nieprawdziwe.

- Ale muszą czymś być - upierał się Johnny. - Jakby były niczym, to człowiek by ich nie miał, nie?

- Może. Ale one nie są tak prawdziwe jak to, co jest naprawdę prawdziwe.

- A ludzie w telewizji? Są realni?

- Pewnie.

-To dlaczego traktujemy ich, jakby byli grą? -Johnny tego wieczoru miał najwyraźniej nie zaspokojoną ciekawość.

- Chodzi ci o wiadomości?

- Chociażby.

- To co innego. Normalni ludzie nie powinni się tak zachowywać jak ci, których pokazują. A gry nie są realne.

- A ty jesteś?

-A skąd mam wiedzieć?! - zirytował się spoglądający w ślad za samochodem Bigmac. - Czuję się prawdziwy. A poza tym to i tak są bzdury!

- Co mianowicie?

-Wszystko. Kto by się tam zresztą tym martwił. Wracamy.

Przeszli przez coś, co w 1965 roku było skwerem, a obecnie stało się zatrutym przez psie odchody cmentarzyskiem wózków sklepowych.

- Plonker to szajbus - odezwał się Bigmac. - Trochę dziki i trochę szurnięty. Ale żyje w dużym, niezłym domu.

- Gdzie?

- Gdzieś przy Tyne Avenue albo przy Crescent... -Bigmac zamilkł, przybierając niebieskawy odcień.

Odcień zmienił się na czerwony, a obok przemknął wóz policyjny z migającym kogutem i włączoną syreną. Bigmac zamarł.

- Jak on ma na imię? - spytał Johnny. -Co?... A, ten... Garry...

Bigmac jak zahipnotyzowany wpatrywał się w zakręt, zza którego widać było poblask policyjnego koguta - najwyraźniej wóz zatrzymał się blisko zakrętu.

- Garry jak? - pogonił go Johnny.

- Chyba Dunn. - Bigmac był spocony, choć noc zdecydowanie nie należała do upalnych.

Przy dźwiękach głębiej pojękującej syreny przemknęła obok nich karetka, błyskając błękitno-czerwonym sygnałem. Bigmac przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

-Bigmac...

- Zjeżdżamy stąd!

Bigmac zrobił w tył zwrot i z tupotem wykonał własne polecenie. Johnny nie był zaskoczony ani kradieżą samochodu - każdy, kto zostawia wóz w sąsiedztwie wieży, sam jest sobie winien - ani reakcją kolegi, który po prawdzie z kradieżą nic wspólnego nie miał. Bigmac na widok policjanta albo zachowywał się, jakby przed chwilą ograbił staruszkę, albo uciekał, jeśli naturalnie miał na to cię szansy. Była to odruch bezwarunkowy.

Tym razem jednak Bigmac pobiegł ku błyskającym światłom, co samo w sobie było nienormalne.

A Johnny pobiegł za nim - bądź co bądź nie zostawia się przyjaciół, zwłaszcza zachowujących się mniej niż normalnie.

Mimo, że jego pokój pełen był sprzętu kulturystycznego, który niechybnie wywołałby żywiołową wręcz radość policji głowiącej się nad kradzieżą w Sports Center, Bigmac kondycji nie miał za grosz, toteż Johnny dogonił go bez kłopotu, i to przed zakrętem.

- Mówiłem... ci... żebyś... spadał... nie... twoja... sprawa! - wysapał Bigmac.

- Mieli wypadek, nie? -Nazzer... dobry... kierowca...

- W jeździe nie w tę stronę?

Za zakrętem minęła ich po chwili kolejna karetka i zahamowała z piskiem opon kilkanaście metrów dalej. Stała tam już jedna karetka i wóz policyjny. Tłumek zasłaniający widok na przyczynę tego zjazdu dyskotek rozstał się, by przepuścić sanitariuszy z noszami, dzięki czemu Johnny miał okazję dojrzeć, co to jest. Był to samochód. A raczej to, co zostało z samochodu, który próbował znaleźć się w tym samym miejscu co jadąca z przeciwka betoniarka. Betoniarka leżała na chodniku, a jej ładunek w oczach zmieniał się w największą płytę chodnikową świata.

- Wątpię, żebyś chciał podejść bliżej! - Johnny złapał Bigmaca za ramię i odwrócił.

Z oddali dochodził dźwięk strażackiej syreny. Dźwięk zbliżał się szybko, co najwyraźniej zmobilizowało Bigmaca - uwolnił się i odwrócił akurat w chwili, w której jednemu z policjantów udało się wyłamać łomem drzwi w stercie złomu, która jeszcze przed chwilą była samochodem.

Bigmac zamarł.

A po naprawdę długiej chwili sztywno podszedł do najbliższego murku odgradzającego przydomowy ogródek od ulicy i zwymiotował.

Robił to długo i dokładnie, toteż gdy w końcu się wyprostował, trzęsło nim z zimna i przerażenia.

- Gdyby nie ty... - wykrztusił - też bym tam był...

I dokładnie zapaskudził sobie koszulkę, gdy ta prosta prawda w pełni doń dotarła. Johnny zdjął kurtkę i narzucił mu ją na trzęsące się ramiona.

- ...chcieli, żebym z nimi jechał, chcieli...

- Już w porządku. - Johnny rozejrzał się dokoła. -

Słuchaj, usiądź tutaj... tam jest telefon. Siedź i nie ruszaj się stąd! Dobrze? Siedź i...

- Nie zostawiaj mnie!

- Co?... Dobrze... Trudno, chodź!

Klik!

- Halo? Tu... -Yo-less?Tu Johnny. -Tak?

- Twoja mama jest teraz w szpitalu?

- Nie, dzisiaj ma wolne. Dlaczego?

- Możesz tak zrobić, żeby wzięła samochód i przyjechała na Whitheridge Road?

- Co się stało?

- Zamknij się i zrób, co mówię! Chodzi o Bigmaca!

- Co z nim?

- Yo-less, przestań zadawać głupie pytania! To ważne! Ściągnij tu matkę!

-Wiesz, co będzie, jak się... Już dobrze, dobrze!... Czekaj: to była syrena?

- Strażacka. Dzwonię z budki. Słuchaj: niech weźmie ze sobą koc albo coś takiego. I pośpiesz się! -warknął Johnny i odłożył słuchawkę.

Bigmac już nie wymiotował.

Powód był prosty: nie miał czym. Za to trzęsło nim coraz bardziej.

- Matka Yo-lessa zaraz tu będzie - poinformował go Johnny. - Jest pielęgniarką i wie, co robić w takich przypadkach.

Jedna z karetek ruszyła z wyciem, a strażacy obleźli wspomnienie po samochodzie wyposażeni w kilofy i inny sprzęt, który pośpiesznie wyładowali ze swojego wozu.

Bigmac przypatrywał się temu wszystkiemu jak urzeczony.

- Pewnie wszystko z nimi w porządku - próbował łąć Johnny. - Wiesz, to zadziwiające, jak ludzie...

- Johnny? -Co?

- Nikt, kto tak wygląda, nie może być w porządku -oznajmił rzeczowo Bigmac. - Wszędzie pełno krwi...

-Cóż...

-Brat mnie zabije! Powiedział, że jak jeszcze raz przeze mnie gliny zjawią się w domu, to mnie zabije! Znam go: jak się dowie, to dotrzyma słowa...

-No to się nie dowie. W samochodzie cię nie ma i nic nie zrobiłeś. Przyglądałeś się i cię zemdliło. Wolno ci rzygać, nie?

- On mnie zabije!

- Za co? Nikt poza mną o niczym nie wie. A ja nic nie powiem. Słowo!

Gdy Johnny dotarł do domu, dochodziła ósma wieczór. Kurtkę .zostawił w szopie, gdzie mógł ją spokojnie doczyścić, a rodzicom zameldował, że był z Yo-les-sem, co było mniej więcej zgodne z prawdą i stanowiło doskonały sposób uniknięcia zbędnych pytań. Rodzice bowiem akceptowali Yo-lessa z powodów rasowych - gdyby się przyczepili, że był z nim, przyczepiliby się, że był z Murzynem. A to nie uchodziło żadną miarą.

Yo-less był niesamowicie wręcz użyteczny.

Poza tym i tak nikt nie przygotował żadnego obiadu. U Yo-lessa wypił gorącą czekoladę, ale jeść nie chciał, aby nie wyszło na to, że obiad w domu jest rzadko spotykanym luksusem. A Bigmac wylądował w łóżku.

Podgrzał w mikrofalówce coś, co się nazywało Prawdziwa Kreolska Lasagne i co w teorii miało starczyć na cztery osoby. Może by starczyło dla czterech odchudzających się krasnoludków. Gdyby były pod ostrym nadzorem.

Gdy niósł do siebie to podgrzane kreolskie co nieco, zadzwonił telefon.

-Yo-less właśnie do mnie przekreślił - poinformował go radośnie Wobbler.

-1 dobrze zrobił.

-Dlaczego nie zapakowałeś Bigmaca do karetki?

- Żeby go zamknęli za współudział?

W słuchawce zapadła głucha cisza. W końcu Wobbler przegryzł się przez rewelację. -Aha.

- Właśnie. Poza tym brat mógłby go zabić.

- Prawda.

- No, to tymczasem, bo muszę zjeść obiad, zanim skrzepnie - zakończył Johnny.

Odłożył słuchawkę i przyjrzał się krytycznie la-sagne.

Wyglądała nieszczególnie.

Prawdę mówiąc, wyglądała tak, jakby już ktoś ją zjadł przed nim...

Kapitan uniosła głowę.

W kabinie zgromadzili się wszyscy oficerowie i nie licząc Oficera Ogniwego,

który był aż za bardzo zadowolony, reszta była raczej przygnębiona.

- Słucham? - spytała spokojnie.

Nie odpowiedział artylerzysta, jak się spodziewała, lecz Nawigator, cierpiąca na chroniczne grubienie łusek.

-Hmm...

- Słucham?

-Hmm... my... to jest kadra oficerska... - Nawigator wyraźnie miała ochotę znaleźć się zupełnie gdzie indziej - ...uważamy, że... cóż... że obecne dowództwo...

hmm... nie postępuje... tego, no... właściwie. Z całym szacunkiem, ma'am.

- Pod jakim względem? - spytała Kapitan, z trudem opanowując chęć starcia uśmiechu z fizjonomii Oficera Ogniwego.

A był to naprawdę szeroki uśmiech. -My... wciąż jesteśmy atakowani. A ostatni atak był naprawdę poważny...

- Wybraniec powstrzymał go za cenę własnego życia - przypomniała Kapitan.

-Ale on... tego... wróci, a dwudziestu naszych nie.

Uśmiech artylerzysty poszerzył się na tyle, że zmieściłby się w nim zestaw kuł do bilarda razem z kijem. W poprzek.

Kapitan zdała sobie sprawę, że ma na pokładzie bunt, którego ośrodkiem jest ten uśmiechnięty przy-głup. I że jest już za późno, by dało się go zastrzelić i skończyć tym samym z problemem.

- I co proponujesz? - spytała spokojnie.

- Hmm... my... to jest kadra oficerska... uważamy, że... no... powinniśmy zawrócić... i...

-1 co? Walczyć do końca? -Hmm... no... Właśnie! -1 tak uważacie wszyscy? Oficerowie kolejno przytaknęli.

- Przykro nam, ma'am... - wykrztusiła Nawigator.

- Inni właśnie tak postąpili - powiedziała z naciskiem. - Choćby Kosmiczni Najeźdźcy... Wraki widzieliśmy wszyscy... Walczyli i ginęli, odważnie i głupio... Aż zginęli wszyscy.

-No... my też ginieemy... - przypomniała Nawigator.

- Wiem, i boleję z tego powodu. Tylko że większość z nas żyje, a liczba zgonów znacznie spadła od chwili, w której się poddaliśmy. Każda chwila przybliża nas do

Granicy. Jeśli się zatrzymamy, by walczyć, wszy-

scy wiecie, co nastąpi: przestrzeń gry przybliży się, a Granica oddali. Ludzie nas znajdą i wtedy...

- Zginą! - warknął Oficer Ogniowy. - A my wygramy! Tamci byli głupi, a my pokażemy ludziom, jak się walczy!

- Wątpię, by to, co ty im możesz pokazać, kogokolwiek zainteresowało! - nie wytrzymała Kapitan. - Nie mamy żadnych szans wygrać ani żadnych szans przeżyć! Jeśli wierzysz w to, co powiedziałeś, to jesteś głupszy, niż sugeruje twój wygląd. A to już jest sztuka!

-1 to mówi głównodowodzący?! - Artylerzysta był wściekły i nawet nie próbował tego ukryć. - Tak mówi patetyczny tchórz!

- Gdy dotrzemy do domu... - zaczęła Kapitan.

- Do jakiego domu? To jest nasz dom! Innego nigdy nie mieliśmy i nie będziemy mieli! Całe to gadanie o Granicy czy o naszej własnej planecie toż to legendy! Nikt nigdy nie widział jednego ani drugiego. Ten cały Wybraniec z Tysiącem Życ to nasz własny wymysł! Żyjemy, rodzimy się i ginimy na okrętach. Tak było i będzie! W tej sprawie nie mamy żadnego wyboru!

8. Pokojowe rozmowy, pokojowe wrzaski...

Johnny obudził się w kabinie.

Zwykle znajdował się w takich sytuacjach w pobliżu floty, tym razem był między jednostkami Scree-Wee. Lecącymi w złym kierunku.

Na ekranie komunikatora pojawił się łeb ScreeWee. I nie była to Kapitan.

- Wołam ludzki okręt!... Hej, jesteś tam?

- Jestem. A kim ty jesteś? - Kapitanem. Oto instrukcje...

- A co się stało z dotychczasową Kapitan?

- Została aresztowana. Oto instrukcje...

- Aresztowana?! - Johnny'ego zatkało, acz na krótko. - Za co?! Co zrobiła?

- Nic nie zrobiła. Przestań pytać i słuchaj: masz sześćdziesiąt sekund, by odlecieć poza zasięg naszej broni. Potem, jeśli się zbliżysz, zostaniesz ostrzelany.

- Zaczekaj...

- Odliczanie rozpoczęte! - Ale...

- Koniec łączności. Gińcie, ludzie! Ekran zgasł.

A Johnny nadal się weń wpatrywał.

To nie był przyjaciel. Gębę też miał nieprzyjazną. A mówił tak, jakby po angielsku nauczył się - podobnie jak Kapitan - z książki, tyle że wrednej. No

i mówił jak ktoś, kto doliczy do sześćdziesięciu jednym tchem, bez przerwy na przecinki.

Dał pełen ciąg i obserwował, jak po bokach migają jednostki ScreeWee. Jedną z milszych stron gry była możliwość wykonywania manewrów i osiągania przyspieszeń, które w normalnym życiu rozsmarowałyby pilota na ścianach.

Flota została za nim, stale malejąc, mimo że wyhamował. Zawrócili!

A więc wkrótce pojawią się na ekranach monitorów tych graczy, którzy się dotąd nie zniechęcili. Zawsze kilku takich się znajdzie. A gdy się wieść rozniesie, to zaraz ich będzie więcej. Znacznie więcej...

Na ekranie radaru pojawił się zielony punkt - leciał ostrożnie i trzymał się brzegu ekranu niczym wilk obchodzący stado baranów. Stara znajoma.

Johnny ruszył jej na spotkanie.

Krystal albo Kylie Dunn... tak przynajmniej mówił Bigmac.

Pokręcił gałką komunikatora i spróbował:

-Krystal?... Kylie?... Kathryn?... Te, jak ci tam?

W głośniku coś gwizdnęło i po chwili warknęło:

-Kirsty!

- Niech będzie - zgodził się pospiesznie. - Tylko nie strzelaj!

- Coś ty za jeden?

- Najpierw obiecaj, że nie będziesz strzelać. Nie lubię gwałtownie przerywać rozmowy, a jak się zginie, to potem trochę trudno się myśli.

Maszyna Kirsty stała się tymczasem całkiem dobrze widoczna bez radaru, toteż jeśliby zechciała strzelać, Johnny nie miał najmniejszej szansy.

- No dobra - oświadczyła z namysłem. - Nie będę strzelać. To się nazywa „rozmowy pokojowe”. Zaczniemy od początku: kim jesteś?

- Graczem, tak jak ty.

- Nieprawda! Żaden inny gracz ze mną nie rozmawia! Poza tym jesteś po ich stronie, obserwowałam cię!

-Niezupełnie po ich stronie...

- Na pewno nie po mojej!

- Tobie też próbowali się poddać? - Johnny uznał, że czas zmienić temat. - W sklepie Patela mówiłaś o wiadomościach na ekranie.

W głośniku zapanowała cisza, przerywana dopiero przez ostrożny głos:

- Nie jesteś tym grubasem w brudnych okularach, któremu by się przydał stanik?

-Nie. Posłuchaj...

- Ani tym czarnym cherlakiem o wyglądzie księgowego?

-Nie. Słuchaj...

-1 nie tą parzęgą w wojskowych butach, czeszącą się gąbką?

- Nie. Mnie nikt nigdy nie zauważa, bo wyglądam przeciętnie!

- Tam nikogo więcej nie było...

- No właśnie. To „nikogo”, a raczej ten „nikt” to ja. Przecież mówiłem.

-1 oni poddali się właśnie tobie?!

- Tak! - Na wszelki wypadek kolejno zaktywizował rakiety i ustawił celownik na

jej myśliwiec: ta rozmowa nie szła tak, jak powinna.

-Wariat!

Ping!... Ping!... Ping!...

-A nie! - sprzeciwił się Johnny. - Więcej niż wariat!

Ping!... Ping!...

- Dlaczego? Ping!

- Bo wariat z sześcioma rakietami namierzonymi na ciebie!

- Powiedziałeś, że nie będziesz strzelał.

- Jeszcze nie strzeliłem, prawda?

- Powiedziałeś, że to rozmowy pokojowe!

- To akurat ty powiedziałaś. Poza tym zdecydowanie bardziej są to wrzaski niż rozmowy - wyjaśnił, odnosząc nieodparte wrażenie, że w tle głosu dziewczyny słyszy muzykę.

- Faktycznie masz zamiar u wszystkich rakiet?

- Faktycznie mam.

- Przyznaję, zaskoczyłeś mnie. Nie sądziłam, że o tym pomyślisz.

-Ja też, ale nie o to chodzi. Słuchaj: nie chcę do nikogo strzelać, a już zwłaszcza do ciebie. Potrzebuję pomocy. ScreeWee zawrócili! Grozili, że będą do mnie strzelać!

- Przecież to normalne. Oni strzelają do nas, my do nich. Jak nie strzelają, to gra nie jest zabawna - słysząc było, że dziewczyna z dużym wysiłkiem próbuje mówić spokojnie.

- Poddali się.

- Nie mogą się poddać. Nie ma takiej opcji w grze.

- Może nie ma, ale się poddali. Nie wiem, jak to możliwe, ale się poddali, Kirsty!

- Nienawidzę tego imienia!

- Przecież muszę się jakoś do ciebie zwracać, a „te” jest trochę zbyt ogólne - zauważył Johnny. - Jak mam cię nazywać?

- Jak komukolwiek powtórzysz, to cię zabiję! -Przecież chciałeś to zrobić od samego początku!

- Nie chodzi mi o to, że cię zabiję teraz. Ja cię naprawdę zabiję!

- No dobrze. To jakie imię wybierasz?

- Sigourney... Śmiejesz się!

-Nie!... Tylko kichnąłem... Naprawdę... HepL. To pasjonujące... imię...

- To i tak tylko sen. Mnie się to śni i tobie się to śni.

- No i co z tego? Przez to wcale to wszystko nie jest mniej ważne.

Cisza przedłużała się.

Rzeczywiście, w tle słychać było muzykę.

- Aha! - ożył głośnik. - To teraz, panie spryciarz, mamy tuzin rakiet z kompletnymi namiarami.

- Żadna różnica. - Johnny wzruszył ramionami. -Myślałem, że wcześniej to zrobiłaś. Jak się pozabijamy, to będziemy musieli zaczynać od początku. Nie chciałybyś się dowiedzieć, co dalej?

Tym razem w głośniku zdecydowanie coś hałasowało.

- Słyszę jakieś hałasy - dodał Johnny.

- To mój walkman.

- Sprytne. Szkoda, że o tym nie pomyślałem. Aparat kiedyś wzięłem, ale zdjęcia wyszły do kitu. Czego słuchasz?

- Zachowaj, proszę, to nagranie C Inlay 4 Details. -Coś zawyło głośniejsze, ale za nic w świecie melodyjniej. - Słuchaj, oboje nie możemy śnić tego samego snu. To się nie zdarza! - oświadczyła poważnie.

- Możemy sprawdzić. - Johnny też był poważny. -Gdzie mieszkasz?

Tym razem przerwa była znacznie dłuższa. Była tak długa, że na ekranie radaru ukazały się maszyny ScreeWee.

- Lepiej się ruszmy... - zaproponował Johnny. - Coś się przytrafiło Kapitan, a to właśnie ona chciała pokoju. Słuchaj, wiem, że mieszkasz gdzieś w pobliżu Tyne Avenue.

- Skąd wiesz?

-Nieważne. Zaraz znajdziemy się w ich zasięgu...

- No to ich zestrzelimy.

- A, potem oni nas zabiją!

-1 co z tego? Umieranie jest łatwe!

- Wiem. Życie jest bardziej skomplikowane - odpalił. - Nie sądzę, żebyś była kimś, kto idzie na łatwiznę.

W głośniku zahłasowało intensywniej.

- Co konkretnie masz na myśli? - spytała ostrożnie. Pytanie nieco go zaskoczyło
- prawdę mówiąc nie

bardzo wiedział, co ma dalej zrobić. Nowy dowódca ScreeWee jakoś nie bardzo sprawiał wrażenie skorego do rozmów.

- Nie wiem - przyznał uczciwie. - Po prostu nie chcę, by zginęło więcej ScreeWee.

- A to dlaczego?

- Po prostu nie chcę. Taka fanaberia. - Zdecydował się nie mówić prawdy, a widząc, że kilka myśliwców zmierza w ich kierunku, dodał: - Spróbuję jeszcze raz z nimi porozmawiać. Ktoś tam chyba jeszcze myśli...

- Naiwniak!

- Skaza charakteru! - odpalił i położył maszynę w ostry skręt, dając pełen ciąg. Koło myśliwca coś przeleciało, po czym wybuchło daleko z tyłu i zdemolowało pustą przestrzeń. Z głośnika dobiegł odgłos przypominający wrzask kota spuszczonego zsypem z piętnastego piętra, a potem wściekły okrzyk:

-Kretyn! Unik i zwrot! Nic dziwnego, że cię tyle razy zabili, skoro tak latasz!

Odruchowo szarpnął joystickiem, a myśliwiec posłusznie zwałił się na skrzydło i ostro zszedł z kursu, dzięki czemu kolejne coś zrykoszetowało od płata i eksplodowało z tyłu.

- Siedzą ci na ogonie! - poinformował go głośnik. -Ożeż ty! Nawet o sobie nie potrafisz zadbać, a chcesz ratować obcych!

Johnny miotał maszyną na wszystkie strony, cały czas zbliżając się do floty. Komuś obserwującemu jego manewry mogło się wydawać, że myśliwiec zapadł na chorobę świętego Wita, ale jak dotąd nikt go nie trafił.

- Mogłabyś spróbować mi pomóc! - wrzasnął. Z tyłu coś wybuchło.

- A co robię?

- Strzelasz do nich?!

- Wolisz, żebym szczekała?!

Kapitan spróbowała otworzyć drzwi kabiny - zamknięte. A więc prawie na pewno na korytarzu stoi wartownik. ScreeWee wykonywali rozkazy, nawet gdy nie bardzo przypadły im do gustu. Zwłaszcza pod tym względem Oficer Ogniowy stanowił ewenement, ale tak to się kończy, kiedy samiec ma za dużo do powiedzenia. Pozwoliła

mu zbyt samodzielnie myśleć, i proszę. Jak ktoś za dużo myśli, nie nadaje się na oficera. A już na pewno samiec. Taki zawsze wymyśli coś głupiego.

Sytuacja była niewesoła - znajdowała się we własnej kabinie, a chciała się znaleźć na zewnątrz. Potrzebny był zatem jakiś pomysł... W pomysłach ludzie byli zdecydowanie lepsi. Co prawda generalnie sprawiali wrażenie, jakby balansowali na krawędzi szaleństwa, ale pozory myliły - miewali całkiem niezłe koncepty. Ich umysły musiały być ciekawymi miejscami do odwiedzin, ale całkowicie nieodpowiednimi do zamieszkania.

Jak by tu odtworzyć ludzki sposób myślenia? Zwariować najpierw czy co...?

-Posłuchaj wreszcie! Jeśli dalej będziesz latał jak paralityk, to długo nie pożyjesz! - wrzasnął głośnik. - Nie mogę być wszędzie, a graczy zaczyna przybywać! Zginiesz!

I zaraz potem zginął.

Była 6:30.

Johnny leżał na łóżku. W ubraniu, ale było mu zimno.

Sigourney!

No tak - Yo-less powiedziałby, że to wszystko wyjaśnia, i miałby sporo racji. A tak pozostaje mu albo zapomnieć o wszystkim, albo co wieczór obserwować masakrę ScreeWee w odcinkach. Wobbler twierdził, że gra była popularna, co znaczy, że kupiło ją kilka tysięcy ludzi. Odliczając większość, która skorzystała z okazji i oddała oryginał, gdy sprawa stała się głośna, na pewno zostało kilkudziesięciu szczęśliwych posiadaczy. Jak się rozniesie, że ScreeWee wrócili, a rozniesie się szybko, to niewiele czasu będzie potrzeba, by na ekranie pozostały jedynie rozstrzelane wraki unoszące się w przestrzeni.

Cóż, właściwie ScreeWee po to tam byli...

Była środa, a więc pierwsza matma, a potem język. Chyba w przerwie trzeba będzie napisać jakiś wiersz. Generalnie wiersz wystarczał, żeby mieć spokój.

Johnny wyczyścił kurtkę, która w dziennym świetle bynajmniej nie wyglądała tak makabrycznie, jak sądził, i powiesił ją przy piecu w kuchni. A potem wziął się do przeszukiwania lodówki.

Zakupy robił ojciec, co widać było na pierwszy rzut oka - przeważały drogie marynaty i dziwne, zagraniczne warzywa. Tym razem na pierwszym planie było coś,

co twierdziło, że nazywa się Yindaloo Jogurt, i co zdecydowanie nie budziło zaufania. No i seler. Nikt w domu nie lubił selerów, ale ojcu to nie przeszkadzało. Jak zwykle też nie kupił ani pieczywa, ani ziemniaków. Najprawdopodobniej był przekonany, że jedno i drugie rośnie w kuchni. Podobnie jak grzyby, których także nigdy nie kupował, chyba że były dro-

gie, niejadalne albo francuskie, albo wszystko to naraz. Było natomiast mleko, co go wielce zaskoczyło. Z bagna, w które zamienił się zlew, wyłowił w miarę nie porośnięty pleśnią kubek, umył go i nastawił wodę. Istniała niewielka szansa, że zdoła zepsuć kawę, ale wołał nie ryzykować. W telewizji dalej pokazywali rakiety, ale pół na pół z czołgami, czyli wojnę, co zaczynało go trochę denerwować - po trzech tygodniach stawała się po prostu nudna i to, że było mniej rakiet, a więcej czołgów, niczego nie zmieniało.

Bigmac zjawił się w szkole po nocy spędzonej u Yol-essa, którego mama wyprała jego rzeczy, dzięki czemu koszulka z napisem „Skin z Blackbury” na plecach była czystsza niż kiedykolwiek. Johnny, ledwie wszedł do szkoły, stwierdził, że Wobbler i Yo-less przyglądają mu się z zainteresowaniem, co jednak było w miarę zrozumiałe. To, że jeszcze kilku przyglądało mu się tak samo, było znacznie mniej normalne.

- Bigmac twierdzi, że wyciągnąłeś go z wraka - powitał go Yo-less.

- Co?! Przecież on... - Johnny urwał i zagnał swoje szare komórki do roboty.

Obiektem tych działań, co zrozumiałe, był Bigmac. Bigmac z kolekcją modeli broni, fiołem na punkcie wojska. Bigmac, którego z klubu RPG wyrzucono za brak opanowania i niezdolność współdziałania z drużyną. Bigmac, który rozwiązywał najgorsze zadania matematyczne, po prostu na nie patrząc. Bigmac, który za wszelką cenę chciał być twardym Bigma-kiem. I który teraz na niego patrzył.

Bigmac (jeśli wierzyć szkole) pochodził od małpy. Kapitan (jeśli wierzyć oczom) pochodziła od krokodyla, traszki nie wspominając. Zadziwiające, jak podob-

nie na obu obliczach wyglądały proszące o pomoc miny.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo pamiętam... - wymamrotał Johnny.

- Tyle że moja mama zadzwoniła do szpitala i jej powiedzieli, że we wraku było tylko dwóch chłopaków...

- Było ciemno.

- Było - zgodził się Yo-less. - Ale jeśli naprawdę...

- Najlepiej będzie, jak wszyscy przestaniecie się tym podniecać! - przerwał mu Johnny, spoglądając wymownie na Bigmaca.

- Mama powiedziała, że zrobiłeś wszystko jak trzeba - dodał Yo-less pojednawczo. - Ale że jesteś pozbawiony właściwej opieki...

- Yo-less!

- ...i powinieneś częściej do nas przychodzić na uczciwy obiad...

- Dzięki, ale ostatnio jestem raczej zajęty...

- A czym? - tym razem przerywającym był Yo-less. Johnny pogrzebał w kieszeniach i podał mu połyskujący kartonik.

- Co to według ciebie jest? - spytał ponuro.

- Fotografia - odparł Yo-less, patrząc na kartonik pod światło. - Coś jak ekran telewizyjny z kupą kropek. Ciekawe zakłócenie.

- Nie? - warknął przygnębiony Johnny, odbierając zdjęcie. - Yo-less...

-Co?

-Gdyby ktoś... wiesz... miał trochę nie po kolei...

- On chce powiedzieć, że gdyby komuś odbiło - przetłumaczył Wobbler.

-Powiedzmy, że ten ktoś byłby nieco przemęczony - poprawił Johnny - to czy ten ktoś zdawałby sobie z tego sprawę?

- Cóż... każdy myśli, że jest trochę szalony - ocenił Yo-less. To część bycia normalnym.

- Co się tak gapicie? - zdenerwował się Johnny. - Nie myślę, że zwariowałem.

-A co myślisz? -No...

- Aha! - podsumował Wobbler.

-Prawdę mówiąc, to cały świat trochę stanął na głowie. Oglądacie telewizję, nie? Jak można uważać, że jest się dobrym, jeśli się wpuszcza komuś cwaną bombę do komina? Albo robi miazgę z kupy facetów tylko dlatego, że kieruje nimi świr?

-Nie powinni go słuchać - oświadczył Bigmac. -Przecież to ich wina. Jest ich więcej, mogliby go pogonić. Tak przynajmniej twierdzi mój brat.

- A co ty na to? - spytał Johnny. Bigmac wzruszył ramionami.

- Teoretycznie on ma rację - ocenił Wobbler. - Ale w praktyce... jak mają to zrobić? Wystarczająco trudno pozbyć się u nas premiera, a przecież tutaj nie

roz-strzeliwują za to, że masz inne zdanie. W każdym razie już nie rozstrzeliwują. Poza tym w telewizorni jeden taki mówił, że nasi są tak dobrzy w tym trafianiu w kominy dzięki grom komputerowym.

- Sam widzisz. Gry wyglądają jak rzeczywistość, a rzeczywistość jak gra. A mnie się to wszystko trochę tego... miesza.

-A, to nie wariactwo - ucieszył się Yo-less. - To szamanizm. Czytałem o tym w jednej książce.

- A co to jest szamanizm?

- Szamani to byli tacy faceci, którzy żyli częściowo we śnie, a częściowo w normalnym świecie - wtrącił Wobbler. - Tak jak druidzi. Byli ważni jak nie wiem co i prowadzili ludzi.

- Prowadzili? - zainteresował się Johnny. - Dokąd?

- Pojęcia nie mam: tego nie pisali. Moja matka i tak twierdzi, że to twory szatana.

- Normalne. Według niej wszystko jest tworem szatana - pocieszył go Yo-less. - Ma takie hobby i tyle.

- Mówi, że RPG to też wytwór szatana - dodał Wob-bler. - Jeśli tak, to spryciarz z niego nie lada. Jak tam w piekle wymyślają RPG, to może nie jest to takie najgorsze miejsce...

Johnny milczał. Co mi tam, pomyślał, mogę być szamanem - lepsze to, niż być wariatem.

Była matematyka.

Znowu.

Johnny był stuprocentowo przekonany, że świat miałby się lepiej bez, dajmy na to, $3y+x^2$ czy innych takich obrzydlistw. Poza tym miał dość własnych problemów i ostatnim, czego potrzebował, było kilka stron cudzych.

Najważniejsze obecnie było przekonanie samego siebie, że należy do kogoś zadzwonić. Potem były jedynie nauki społeczne, tyleż nudne co niegroźne. Generalnie sprowadzały się do tego, co kto myśli, powiedzmy, o AIDS. Ale najpierw trzeba było dotrwać do końca matmy, którą ktoś złośliwie wymyślił, by pozbawić człowieka czterdziestu pięciu minut spędzonych nad czymś normalnym.

Wyjątkowo nauczyciel mówił coś o wojnie. Teraz wszyscy mówili o wojnie, więc

nie było w tym nic dziwnego. Dziwne było natomiast to, że odpowiedział mu Bigmac. Johnny jednak słuchał tego jednym uchem, myśląc o telefonie do Sigourney. Co będzie, jeśli ona powie, że nigdy o nim nie słyszała...?

A potem ktoś odezwał się głośno:

- Naprawdę uważacie, że to takie proste? Że piloci traktują to jak każdy z nas zwykłą grę? Że się śmieją

p

nie dlatego, że przeżyli, ale dlatego, że to była dobra rozrywka? Że bycie celem to taki doskonały sposób zarabiania na życie...?! Uważacie, że nie meczy ich to, że zabili? Czysto i bez widoku krwi, ale zabili naprawdę? Myślicie, że oni to lubią? My wszyscy możemy wrócić z gry do rzeczywistości albo odwrotnie, jak kto chce. Oni nie. Naprawdę powinniśmy postarać się sprawdzić, co jest prawdziwe, bo coraz więcej gier zaczyna przypominać życie, a życie coraz bardziej upodabnia się do gier...

Wszyscy spoglądali na niego w osłupieniu.

- No, przynajmniej ja tak myślę - zakończył Johnny.

9. Na Ziemi nikt nie usłyszy tego twojego „hm”

Klik! -Tak? -Hm. -Halo?

- Hm... czy Sig... czy zastałem Kirsty?

- Kto mówi?

-Przyjaciel, ale hmm... wątpię, żeby znała moje imię...

- Jesteś jej przyjacielem, a ona nie zna twojego imienia?

- Czy mógłbym z nią porozmawiać? Bardzo proszę. -Och, już dobrze...

poczekaj!

Johnny otarł mokre nagle czoło i wpatrzył się tępo w ścianę swego pokoju.

- Tak? - głosik był znany i tym razem mocno podejrzliwy. - Kto mówi?

-Jesteś Sigourney, lubisz łomot zwany C Inlay 4 Details. Latasz dobrze i...

-To ty!

Tym razem Johnny odetchnął.

Przeszukanie książki telefonicznej było znacznie trudniejsze niż pilotowanie myśliwca. Prawie trudniejsze niż ginięcie.

- Tak naprawdę to nie byłem pewien, czy istniejesz... -A ja nie byłem pewna, czy ty istniejesz.

Johnny zebrał się na odwagę.

- Muszę z tobą porozmawiać. Osobiście! - wykrztusił. -A niby skąd mam wiedzieć, że nie jesteś jakimś

zboczeńcem?

-Nie masz poważniejszych zmartwień?

Nonszalancja, z jaką to powiedział, musiała ją na chwilę zatchnąć, gdyż zapadła cisza.

- No dobrze - odezwała się w końcu. - Możesz przyjechać...

- Gdzie? Do ciebie do domu?

- Tu jest znacznie bezpieczniej niż w miejscu publicznym, ofiarno!

- No, niech będzie - zgodził się, nie do końca przekonany, że mądrze robi.

-Wiesz... możesz być jednym z tych no... postrze-leńców...

- Jakich postrzelenców?! Ktoś strzelał na ulicy? Tym razem głosik był znacznie bardziej podejrzliwy, a przerwa dłuższa.

- To naprawdę ty?

- Naprawdę to nie jestem pewien, ale to ja.

- Zestrzelili cię.

- Pamiętam. Byłem tam, jakbyś zapomniała.

-Wiesz, nieczęsto ginę - głosik ponownie złagodniał. - Całe wieki zajęło mi ponowne znalezienie obcych...

- Praktyka mało pomaga, tak w jednym, jak i w drugim...

Tyne Crescent okazało się niewielką, prostą uliczką obsadzoną drzewami, przy której stały duże domy z podwójnymi garażami i wykończeniem z drewna, usiłującym przypomnieć czasy Henryka VIII.

Drzwi otworzyła matka Kirsty, uśmiechnięta niczym Kapitan, co było o tyle dziwne, że nie wyglądała

na wywodzącą się od krokodyli. Zaprowadziła John-ny'ego do salonu o białych ścianach i wyłożonej parkietem podłodze. W parkiecie można się było przejrzeć, toteż obecność dywanu stanowiłaby obelgę. Dywanu nie było. Była natomiast ściana zabudowana po sufit półkami na książki i harfa, stojąca wraz z krzesłem w jednym z narożników. Parkiet wokół usłany był nutami, co dowodziło, że instrument służy nie tylko ozdobie. Johnny podniósł jedną z partytur -było tam napisane: Royal College. Stopień V.

-1 co? - rozległo się z tyłu.

Czym prędzej puścił cienką książeczkę i odwrócił się.

-1 nie mów „hmm” - poleciła, siadając. - Jest to, zdaje się, jedno z twoich ulubionych słów. Nigdy nie jesteś pewien siebie?

-H... Eee... Nie. Dzień dobry.

-Siadaj. Mama robi herbatę, a potem przestanie być widoczna. Ma to opanowane do perfekcji, bo jest przekonana, że powinnam mieć więcej przyjaciół.

Rude włosy nosiła zaczesane w koński ogon. Jej ostre rysy pasowały do ich koloru.

- Gra... - zaczął Johnny niepewnie. -Tak?

-Naprawdę się cieszę, że ty też... Yo-less powiedział, że to wszystko sobie

wymyśliłem przez Ciężkie Czasy... Że to projekcja moich problemów.

- Ja nie mam problemów! - parsknęła. - I całkiem dobrze współżyje mi się z ludźmi. Powodem jest prawdopodobnie jakiś psychiczny drobiazg, ale ty jesteś zbyt tępy, żeby go znaleźć.

-Przez telefon wydawałaś się bardziej przejęta...

-Ale potem przemyślałam całą sprawę. A tak w ogóle to co mnie obchodzi przyszłość programu komputerowego?

- Widziałas Kosmicznych Najeźdźców, prawda?

- Widziałam. Ale oni byli głupi i to była naturalna kolej rzeczy. Darwin miał rację, jestem typem zwycięskim. Najbardziej interesuje mnie co innego: co ty robisz w moim śnie?

- Nie jestem pewny, czy to sen... - powiedział z namysłem. - Prawdę mówiąc, nie jestem w ogóle pewien, co to jest. Pół rzeczywistość, pół sen. Nie wiem, dlaczego się tam znalazłaś, wątpię, żebyś zwariowała, podobnie jak ja, ale jakiś powód być musi...

- Skoro tak, to dlaczego się tam znalazłaś?

- Chcę uratować ScreeWee!

- Dlaczego?

-Bo się zobowiązałem... Ale musiał być bunt albo co i zamknęli Kapitan. Nie wiem, może aresztowali... Musiał to zrobić Oficer Ogniowy, ale jeśliby się udało ją uwolnić, to pewnie zdołałaby zawrócić flotę. Pomyślałem sobie, że może znajdziesz jakiś sposób. Nie zostało wiele czasu...

- Ją? - spytała ostrożnie Kirsty.

-Ona to wszystko zaczęła. Zamiast strzelać, wysłała te wiadomości...

- Wiem, jak to się zaczęło - przerwała mu. - Powiedziałeś „ona”.

Johnny był naprawdę zmęczony, ponieważ tym razem nie dotarło do niego, co w tej rozmowie jest najważniejsze. Wstał.

-Miałem nadzieję, że mi pomożesz, ale w sumie to może i masz rację: kto normalny by się przejmował przyszłością programu komputerowego... To ja już sobie...

-Używasz ciągle formy żeńskiej - przerwała mu ponownie. - Kapitan jest kobietą?

- Samicą - poprawił Johnny.

- A o tym Oficerze Ogniwym mówiłeś „on”.

- Bo jest samcem.

- Typowe. Całkowicie typowe dla współczesnego społeczeństwa. - Wstała także..- Najprawdopodobniej jest wściekły, że osoba płci żeńskiej jest lepsza od niego. Zetknęłam się z tym.

- Hmm... - Johnny ugryzł się w język.

Miał zamiar jej powiedzieć, że całe wojsko Scree-Wee składa się głównie z samic, ale coś w jego mózgu było szybsze i kazało mu się zamknąć.

- Niedawno był artykuł w jednym z magazynów -ciągnęła Kirsty - o grupie dyrektorów, którzy wrobili prezesa tylko dlatego, że była nim kobieta. Zupełnie jak mnie w klubie szachowym.

Sądząc po błysku w jej oczach, który towarzyszył tym słowom, zupełna szczerść byłaby całkowicie niewskazana. Poza tym niepowiedzenie całej prawdy nie jest kłamstwem. Prawda?

- To kwestia zasad - oznajmiła Kirsty, wstając. -Powinieneś powiedzieć to na samym początku i nie traciłobyś czasu na zbędne dyskusje. Chodź!

- Gdzie?

- Do mojego pokoju. Przestań się tak gapić: mam normalnych rodziców!

Na ścianach znajdowały się głównie plakaty filmowe. Tam, gdzie ich nie było, wisiały półki ze srebrnymi pucharami i inne dowody uznania, na przykład oprawiony dyplom za zwycięstwo w regionalnych zawodach strzeleckich w kategorii broni małokalibrowej. I drugi za zwycięstwo w szachach. I trzeci za lekkoatletykę. No i cała masa medali, głównie złotych.

Gdyby dawano medale za porządną i posprzątaną sypialnię, też by wygrała - w posadzce można się było przejrzeć, a pod łóżkiem nie było kłaczka kurzu. Johnny poczuł się nieswojo.

Miała też elektryczną maszynkę do ostrzenia ołówków.

I komputer. Na którego ekranie widniał znajomy napis:

NEW GAME (Y/N)?

- Wiesz, że mój IQ wynosi 165 punktów? - spytała Kirsty, siadając przed komputerem.

- To dużo?

- Dużo. A w tę żalosną grę zaczęłam grać tylko dlatego, że kupił ją mój braciszek i wyśmiewał się, pa-skud, że nie potrafię. Te gry są debilne! - Wskazała notes leżący obok klawiatury. - Zapisuję każdy poziom: położenie okrętów, liczba punktów i inne dane. To jest faktycznie debilne!

- Jak widzę, traktujesz sprawę poważnie... - wykrztusił.

- Naturalnie, że traktuję poważnie. W gry się gra, by wygrać, inaczej to całkowite marnowanie czasu. Do roboty... jak możemy się dostać na pokład okrętu flagowego ScreeWee?

-Hmm...

- Myśl!

-Jak można by się dostać...

- To ja cię pytam! - warknęła rozzłoszczona. - Siadaj i myśl!

Johnny usiadł.

Z myśleniem jednak była trudna sprawa.

- Nie wiem - przyznał szczerze po chwili. - Zawsze budzę się w myśliwcu. Wydaje mi się, że ich flagowiec musi wyglądać podobnie jak na ekranie...

-Hmm... - tym razem to była Kirsty. - To ma sens... pokręcony, ale sens. Tyle że nie wiemy, jak ten okręt wygląda od wewnątrz.

Johnny w zamyśleniu przyglądał się medalom. Kirsty założyła, że wygra: cóż, może takie podejście jest skuteczniejsze. Zobaczy się w praktyce. Zaskoczyła go obecność jednego z plakatów. To prawda, film był dobry, a plakat znany, ale uśliniony i wyszczerzony obcy

w dziewczęcej sypialni był raczej nietypowy. No, ale Kirsty też nie była typowa.

- Jeśli właściwie rozumiem - powiedział ostrożnie - chcesz się znaleźć wewnątrz ich okrętu i mówiąc krótko, odbić Kapitan, zabijając wszystko, co ci stanie na przeszkodzie!

- Z taktycznego punktu...

-Nie da się. Kapitan by się to zdecydowanie nie podobało: bądź co bądź staną ci na przeszkodzie jej ziomkowie i podwładni.

- Wiesz, gdzie mam to, co jej się spodoba, a co nie? - spytała jadownicę. - Gdybyś zapomniał, to my jej robimy łaskę, nie na odwrót! Założmy na chwilę, że się z tobą

zgodzę: jak sobie wyobrażasz wygrać bez zabijania wroga? Jakby jej nie chcieli aresztować, toby nie aresztowali, prawda?

- Moim celem jest ich uratować, nie wyciąć w pień-przypomniał. - Poza tym oni tak całkiem wrogami to nie są...

-Wiesz, było takie afrykańskie plemię... - powiedziała wolno, przyglądając mu się z namysłem. - Nie znali słowa „wróg”, najbliższym określeniem w ich języku było: „przyjaciel, którego jeszcze nie spotkaliśmy”.

- O, właśnie - ucieszył się Johnny. - I w ten sposób...

- Ostatniego zjedzono w 1802 roku - przerwała mu zimno. - Przeżyli ci, których wcześniej złapali handlarze niewolników. A i to niedługo: naprawdę ostatni zmarł w 1864 roku w stanie Missisipi. Podobno był bardzo rozgoryczony.

- Wymyśliłaś to! Na poczekaniu!

- Nie: wygrałam konkurs historyczny.

- To by do ciebie pasowało. Ale i tak nie będę nikogo zabijał!

- W takim razie nie możesz wygrać.

- Ja wcale nie chcę wygrać! Po prostu nie chcę, żeby oni przegrali...

-Z tobą faktycznie jest coś nie w porządku... Jak ktoś może żyć, cały czas spodziewając się przegranej?

-Trzeba sobie jakoś radzić... świat jest pełen takich jak ty, ludzi, dla których liczy się tylko wygrana... - Ze zdziwieniem stwierdził, że zaczyna być zły, co mu się naprawdę rzadko zdarzało. - Takich jak ja jest mniej, może dlatego jest nam przyjemniej, choć na pewno nie łatwiej! Próbowali ci się poddać. Próbowali z tobą rozmawiać, a ty nawet o tym nie wiedziałaś, bo cię to nie obchodziło. Tylko ty zdołałaś tak się wciągnąć w grę, że mogliśmy się porozumieć. Ale tylko dlatego, że za wszelką cenę chciałaś wygrać! Znacznie lepiej niż ja nadawałabyś się do roli zbawcy, ale nawet nie wiedziałaś, że taka rola istnieje! Pytałaś dlaczego ja? Bo ja w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych słuchałem. Przez ostatni tydzień ratuję ich noc w noc, i to też jest reguła. To tacy jak ja, nie za cwani i nie wybitnie inteligentni, odwalają zawsze najgorszą robotę. A tacy jak ty się temu przyglądają! W tej telewizyjnej wojnie jest tak samo. Zdecydowałaś się pomóc Kapitan, bo jesteś przekonana, że ona jest taka jak ty. Powiem ci coś: gównu mnie to obchodzi! Zrobiłem, co mogłem, i będę to robił do końca. I pewnie mi się nie uda, jak zwykle zresztą. Scree-Wee wróć do normalnej

przestrzeni gry, gracze ich znajdą i będzie to samo, co z Kosmicznymi Najeźdźcami! A ja będę tam noc w noc. I noc w noc będę to bezsilnie obserwował!

Kirsty słuchała tego wybuchu z rozdziawionymi ustami.

Zanim wpadła jej do nich mucha, rozległo się pukanie do drzwi. A zaraz potem drzwi - i było to bardzo szybkie zaraz - otworzyły się i stanęła w nich szeroko uśmiechnięta matka Kirsty. Z tacą.

- Jestem pewna, że lubicie herbatę - oznajmiła - i...

- Tak, mam - wykrztusiła Kirsty.

- ...i ciasteczka. Już wiesz, jak się nazywa twój przyjaciel?

- John Maxwell - przedstawił się Johnny.

-A jak ci mówią koledzy? - Matka Kirsty nie zrażała się łatwo.

- Czasami mówią mi Rubber - odparł z kamiennym spokojem Johnny, zaprawiony już w podobnych pogawędkach.

- Doprawdy? A dlaczegoż to?

- Rozmawiamy, mam - wtrąciła z naciskiem Kirsty.

Johnny zdziwił się, że wykrzyknik nie spadł z łomotem na podłogę.

- Za chwilę w telewizji będzie Dallas, ale chyba nie będziecie oglądać? - Coś z tego wykrzyknika musiało dotrzeć do rodzicielki. - To ja obejrzę w kuchni...

- Mhm - przytaknęła wymownie Kirsty. - Dziękujemy!

- Hmm... aha!... - przyznała jej matka i wyszła.

- Ona tak już ma - powiedziała usprawiedliwiając Kirsty, oddychając z ulgą. - Jak się wyszło za mąż w wieku dwadziestu lat, to nic dziwnego. Całkowity brak ambicji!

Johnny dyplomatycznie milczał, wiedząc z doświadczenia, że to najrozsądniejsze, co można w podobnych wypadkach zrobić.

Kirsty odchrząknęła - po raz pierwszy, odkąd się poznali, widać było, że nie czuje się pewnie.

-Cóż... hmm... no... i tak nie zdołamy pokonać wszystkich graczy, jeśli ScreeWee wróci tam, gdzie mówisz - podsumowała w końcu w miarę zbornie.

- Zgadza się. Nie starczy nam rakiet.

- A nie możemy wyśnić więcej?

- Próbowałem, nie da się. Latasz myśliwcem, który

znasz z gry, a ten ma tylko sześć rakiet i ileś tam pocisków do działka oraz

lasery. I więcej w żaden sposób nie przybędzie. Więcej walki nie chcę.

-Hmm... ciekawy problem... - mruknęła i widząc jego minę, dodała czym prędzej: - Przepraszam.

Sigourney! - Johnny jęknął w duchu. Bigmac wyobrażał sobie, że jest twardzielem, a ta tu, że rozstrze-liwuje obcych, ratując świat... a jego coraz bardziej bolała głowa i coś mu dzwoniło w uszach.

- Dobrze się czujesz? - Twarz Kirsty podpłynęła bliżej.

Zamrugął gwałtownie, ale to nic nie zmieniło. -Jesteś chory! I wyglądasz jak śmierć na urlopie... Kiedy jadłeś ostatni raz?

- Nie pamiętani... pewnie wczoraj w nocy...

- A śniadanie? A obiad? -Tego... no... dużo myślałem.

- Może lepiej wypij tę herbatę i zjedz ciastka!... Feee! Kiedy się ostatni raz kąpałeś?

-Trudno powiedzieć...

- Cholera! Żeby cię...

- Słuchaj! - Faktycznie nie czuł się najlepiej, a to, na co wpadł, było ważne. - Słuchaj! Możemy wyśnić drogę do środka.

- O czym ty mówisz...? Lepiej siadaj, bo zaczynasz się chwiać!

- Możemy wyśnić, że jesteśmy na pokładzie ich flagowca!

- Ależ oboje nie wiemy, jak on wygląda od środka!

- No to co? Od czego wyobrażnia? Zdecydujemy, jak ma wyglądać, i tak będzie wyglądał!

- Niech będzie -jęknęła. - To jak on ma wyglądać?

- Nie wiem... Jak statek kosmiczny: korytarze, kabiny, śruby, przewody, hydrauliczne drzwi i różnobarwne przyciski, jasnobłękitne światło... co, mało seriali oglądałaś?

- Mhm... Tb tak według ciebie wygląda wnętrze statku kosmicznego? - Przyjrzała mu się niezbyt uprzejmie, ale już się do tego przyzwyczaił: z zasady tak patrzyła, widocznie u niej było to normalne spojrzenie.

Cóż, ten typ tak ma. I nie podlega gwarancji ani wymianie.

-Kiedy pójdziemy spać... to znaczy kiedy ja będę szedł spać, spróbuję się obudzić wewnątrz - oznajmił.

-Jak?

- Skąd mam wiedzieć? Pewnie będę się skupiał...

- No cóż... mam pewne obawy... wiesz... wydaje mi się... - Pochyliła się ku niemu; pierwszy raz sprawiła wrażenie naprawdę zatroskanej. - Nie wyglądasz na kogoś, kto może się skupić... prawdę mówiąc, w ogóle nie wyglądasz na zdolnego do myślenia...

- Nic mi nie będzie! - oznajmił Johnny. I wstał.

10. W Kosmosie i tak nikt nie słucha

Johnny obudził się.

Leżał na czymś twardym. A przed nosem miał jakąś metalową siatkę. Podłoga lekko drżała, a gdzieś w oddali coś maszynowo buczało.

Najwyraźniej był w przestrzeni gry...

Tylko jakoś mu to nie wyglądało na wnętrze okrętu flagowego.

Siatka poruszyła się.

I nad jej krawędzią pojawił się łeb Kapitan. Do góry nogami.

- Johnny?!

- Gdzie ja jestem?

- Pod moim łóżkiem.

Johnny wygramolił się stamtąd i stanął.

- Doskonale! Wiedziałem, że potrafię... Tak na wszelki wypadek: jesteście na pokładzie twojego flagowego krążownika?

-Tak...

- Ślicznie!

Kabina nie prezentowała się oszałamiająco. Nie licząc łóżka, nad którym wisiała kwarcówka, znajdowało się w niej jedynie biurko i coś, co było zapewne krzesłem dla osobników wyposażonych w cztery nogi i gruby ogon. Na blacie biurka stało kilka plastikowych figurek obcych z opakowań po płatkach i klatka

z parą długodziobych ptaszków, siedzących obok siebie na grzędzie i przyglądających mu się inteligentnymi ślepkami.

Sigourney miała rację - w tych realiach naprawdę myślał lepiej. I zdecydowanie łatwiej było podejmować decyzje. No dobrze, był na pokładzie. Prawdę mówiąc, powinien być na zewnątrz tej kabiny, nie wewnątrz, ale cóż, nie można mieć wszystkiego.

Rozejrzał się uważnie. Na jednej ze ścian znajdowała się kratka.

- Co to takiego? - spytał.

- Tędy wlatuje świeże powietrze.

Johnny obejrzał uważnie kratkę. Nie bardzo było widać, jak ją wyjąć. Gdyby się jednak udało tego dokonać, to widoczna za nią dziura wyglądała na wystarczająco dużą, by Kapitan się w niej zmieściła. Kanał wentylacyjny - pomysł może nie oryginalny, ale jak dotąd zawsze skuteczny. Na filmach, naturalnie.

-Musimy zdjąć tę kratkę, i to szybko, zanim zaczną się prawdziwe kłopoty...

-Jesteśmy uwięzieni, co gorszego może nas spotkać?

- O, cała masa rzeczy. Słyszałaś kiedyś imię Sigourney? - spytał ostrożnie.

- Nie, ale brzmi ładnie. Kto to jest Sigourney?

-Ktoś, kto potrafi cię przekonać, co to są prawdziwe kłopoty. Jeśli będzie śnił równie zdecydowanie, jak podejrzewam. Gdybyś widziała, jakie zdjęcia ma w sypialni, to byś nie pytała.

-A jakie ma zdjęcia?

- Kolorowe... - bąknął, czując, że pomysł z plakatami nie był najlepszy.

- Czego?

- Obcych - odparł niechętnie.

-Interesuje się inteligentnymi obcymi rasami? -Sądząc z tonu, Kapitan była uszczęśliwiona.

-Ano interesuje! - westchnął Johnny, macając kratkę. - Coś tam jest, ale nie mogę przecisnąć ręki... coś jakby nakrętka...

Kapitan przyglądała mu się z zainteresowaniem.

- Nakrętki motylkowe! - ucieszył się Johnny. - Ale nie mogę złapać...

Kapitan zajrzała mu przez ramię i spytała uprzejmie:

- Chcesz je odkręcić? -Tak!

Kapitan podeszła do biurka i otworzyła klatkę. Oba ptaki wyskoczyły na jej dłoń. Powiedziała coś w języku ScreeWee i oba poderwały się do lotu, przefrunęły nad głową Johnny'ego i przecisnęły się przez oczka kratki. Po paru sekundach z ciemnego otworu rozległo się popiskiwanie charakterystyczne dla nie naoliwionego metalu trącego o inny metal.

- Co to za ptaki? - spytał zaskoczony.

- Chee. Ptaki czyściciele. - Kapitan otworzyła paszczę, ukazując kilka rzędów lśniących zębów. - Czy myślisz, że samodzielnie mogłabym utrzymać je w czystości?

- Żywe szczoteczki do zębów.

- Można je tak nazwać. Były z nami od zawsze, można by powiedzieć, że są... elementem tradycji. Są wyjątkowo inteligentne, zresztą były w tym celu krzyżowane. Rozumieją sporo poleceń.

W ciemnym otworze coś brzęknęło i przez kratkę wyleciała pierwsza nakrętka, a po chwili następna.

Johnny złapał lecącą osłonę i zajrzał do wnętrza mrocznego otworu.

- W porządku - zdecydował. - Nie wiesz przypadkiem, dokąd to prowadzi?

- Nie. W całym statku są kanały wentylacyjne. Pójdiesz przodem?

- A muszę?

- Byłabym wdzięczna, gdybyś prowadził.

Johnny przełknął ślinę i rad nierad wspiął się najpierw na łóżko, a potem do szybu. Po paru metrach kanał rozszerzał się i łączył z innym, większym.

- Po całym statku... - mruknął.

- Zgadza się - potwierdziła z tyłu Kapitan.

Johnny nigdy nie przepadał za ciasnymi, ciemnymi miejscami, ale to nie znaczyło, że się ich panicznie bał.

-No to w drogę... - mruknął, ponownie przekonując sam siebie, że nie był to jednak najgłupszy pomysł w jego życiu.

Matka Kirsty odłożyła słuchawkę telefonu.

- Nikogo nie ma w domu - oznajmiła.

-Chyba mówił, że ojciec długo pracuje, a matka czasami zostaje w pracy wieczorami. - Kirsty zmarszczyła brwi. - Poza tym lekarka powiedziała, że w zasadzie nic mu nie jest. To ogólne przemęczenie i wyczerpanie. A właściwie co mu dała?

- Coś nasennego. Dwunastolatki potrzebują dużo snu, a on ostatnio mało spał.

- Akurat wiem, że spał aż za dużo - mruknęła Kirsty.

- A ty w dodatku twierdzisz, że nie odżywia się właściwie. Skąd ty go w ogóle znasz?

-Hmm... Z okolicy, prawdę mówiąc.

- Jesteś pewna, że on jest całkiem... w porządku? - zaniepokoiła się pierwszy raz tego wieczoru rodzicielka.

-Jest, jest - uspokoiła ją pociecha, wspinając się po schodach, po czym dodała ciszej: - Nie wiem, czy jest całkiem normalny, ale w porządku to jest.

Uchyliła drzwi gościnnej sypialni i zajrzała. Johnny spał ubrany w piżamę jej brata. I wyglądał niesamowicie młodo. Zdziwiające, jak młodo może wyglądać dwunastolatek, gdy samej ma się całe trzynaście lat.

Kirsty cicho zamknęła drzwi i wróciła do swego pokoju. Choć było wcześniej, dzień okazał się nadspodziewanie męczący, toteż czując senność, położyła się.

Johnny był typem przegrąca. To było widać w jego stroju, zachowaniu, wypowiedziach. Cały czas starał się nie rzucać w oczy i jakoś weszło mu to w nawyk. Ona nigdy tak nie postępowała, można by spokojnie powiedzieć, że zachowywała się wręcz odwrotnie. Tak, by wszyscy wiedzieli, gdzie jest, kim jest i co robi.

Z drugiej strony próbował naprawdę uczciwie.

I co z tego? Próbowanie niczego nie zmienia. Zmienia tylko sukces.

Cały wysiłek nic nie jest wart, jeśli się nie zwycięża...

- Co?! Co znaczy: zaklinowałaś się? Obcy nie klinują się w kanałach wentylacyjnych - zdenerwował się Johnny. - Wszyscy o tym wiedzą!

- Przepraszam, ale może jestem nietypowym obcym. Mogę się cofnąć, ale do przodu raczej nie uda mi się przemieścić.

Johnny cofnął się do bocznego tunelu i odwrócił.

- Dobra, cofniemy się do ostatniego rozgałęzienia, jakie mijaliśmy - zdecydował. - Zgubiliśmy się i tak.

- Wcale nie. Wiem, gdzie jesteśmy: tu jest napisane £ c ©.

- A wiesz, gdzie to jest?

- Nie - przyznała.

- Właśnie. A na filmie obcy łążą po wentylacji w tę i z powrotem i zawsze wychodzą, gdzie chcą... - w jego głosie wyraźnie słychać było naganę.

- Może mają plany - odpowiedziała Kapitan. Johnny bez słowa poczołgał się dalej, skręcił za róg

i znalazł się naprzeciw kolejnej kratki wentylacyjnej. Ponieważ po jej przeciwnej stronie nie było widać śladu jakiegokolwiek aktywności, odkręcił motylki, wypchnął kratkę i zeskoczył w ślad za nią na podłogę. Znajdował się w korytarzu.

I pomógł wygramolić się towarzysze. ScreeWee zdecydowanie nie nadawali się do czołgania w ciasnych pomieszczeniach.

Jej skóra była chłodna i dziwnie przypominała jedwab...

- Pewnie wszyscy są na stanowiskach bojowych -zauważył, rozglądając się po pustym korytarzu.

- My ciągle jesteśmy na stanowiskach bojowych -odparła z pewnym smutkiem Kapitan, otrzepując łuski. - To korytarz <. Teraz musimy się dostać na mostek, tak?

- A nie zamkną cię ponownie, ledwie cię zobaczą?

- Wątpię. Nieposłuszeństwo wobec właściwie ustanowionej władzy nie przychodzi nam łatwo. Oficer Ogniowy okazał się nadzwyczaj zdolnym agitatorem, ale pozostali oficerowie, gdy mnie zobaczą na wolności, przejdą na moją stronę. Z nim mogą być pewne kłopoty, jak zresztą z każdym, kto ma sny o potędze.

- Sny zawsze są zwodnicze... - mruknął zamyślony.

- Owszem.

- Obudzą się, jak gracze zaczną was zestrzeliwać. Wtedy powinni sami dojść do wniosku, że posłuchali niewłaściwej osoby.

- Teoretycznie tak, ale wiesz, jak to jest z praktyką. - Uśmiechnęła się bez cienia wesołości. - Mamy takie przysłowie: „SkeejeeshejweeJEEyee!”. W dowolnym tłumaczeniu to mniej więcej odpowiada waszemu: „Łatwo dosiąść tygrysa, ale znacznie trudniej zrezygnować z przejażdżki”.

-”Miłe złego początki, lecz koniec żałosny...” - zaczął Johnny i umilkł, gdyż Kapitan zatrzymała się

gwałtownie i cofnęła łeb zza narożnika, do którego dotarli.

- Przed drzwiami mojej kabiny stoi wartownik -oznajmiła. - Uzbrojony, a raczej uzbrojona.

- Możesz ją przekonać, żeby nie podnosiła alarmu?

- Ma rozkazy i wątpię, abym zdążyła coś powiedzieć, zanim naciśnie spust. W jej rozkazach natomiast nie ma słowa o tobie...

Johnny popatrzył na nią dziwnie, wzruszył ramionami i wyszedł za narożnik. W końcu, było nie było, miał jeszcze kilkaset zapasowych żyć...

Wartownicza, słysząc jego kroki na metalowej posadzce, odwróciła się, unosząc coś, co wyglądało jak skrzyżowanie lutownicy z korkowcem, ale bez dwóch zdań było bronią. Zamiast jednakże nacisnąć spust, spoglądała zaskoczona na Johnny’ego - najwyraźniej nigdy dotąd nie widziała człowieka.

Podbudowany tym odkryciem Johnny odsunął ręce od ciała, chcąc pokazać, że

nie ma broni, i uśmiechnął się szeroko.

Wartownicza na ten widok uniosła broń do ramienia. Zachowanie Johnny'ego stanowiło idealny wręcz przykład, że nie należy wszystkiego traktować jedną miarą, w tym wypadku ludzką. Jak dowiedział się potem od Kapitan, ScreeWee wyzywający innego na pojedynek sygnalizuje to ukazaniem zębów (gotowych ugryźć) i rozczapierzeniem górnych kończyn (gotowych dusić). Z tego punktu widzenia Johnny zachował się po prostu podręcznikowe.

Zanim jednak palec ScreeWee dotknął spustu, coś załomotało od wewnątrz w drzwi kabiny, przed którą pełniła wartę.

Jej dalsze zachowanie udowodniło, że nie tylko ludzie popełniają błędy - zamiast zignorować hałasy dobiegające zza solidnie, było nie było, zamkniętych drzwi i skoncentrować uwagę na Johnnym, od które-

go nie dzieliły jej żadne drzwi, próbowała trzymać go na muszce i równocześnie otworzyć drzwi. W końcu wewnątrz była jedynie nie uzbrojona Kapitan, prawda?

Trafiła dłonią w płytkę otwierającą i drzwi się uchyliły...

A w następnej sekundzie w szparze pojawiła się noga, która wykonała gwałtowny ruch z dołu do góry i bezbłędnie trafiła wartowniczkę w dolną szczękę.

Fakt, szczęka była duża.

A ponieważ było w niej mnóstwo zębów, wydały one głośny odgłos, stykając się gwałtownie z tymi w górnej szczęce. Wartownicza przewróciła oczyma i bujnęła się w tył.

Ktoś w kabinie wrzasnął:

- Haiiii!

I przez drzwi wypadła Kirsty w kolejnym wyskoku. Tym razem wykopała ScreeWee broń, wylądowała i płynnym ruchem złapała miotacz. Nim wartownicza-ka zdołała odzyskać równowagę, wylot lufy zazgrzytał o jej zęby.

- Nawet nie próbuj głośno przełykać! - poleciła jej wolno i wyraźnie Kirsty.

W korytarzu zapadła prawie doskonała cisza.

- To moja znajoma - przedstawił Johnny, przerywając milczenie.

- Aha, Sigourney - ucieszyła się Kapitan. - Jedna z waszych wojowniczek. Zakładam, że ona jest po naszej stronie?

- Chwilowo tak - przytaknął obiekt jej zainteresowania.

Kirsty zrobiła sobie przepaskę na włosy z kawałka koca z łóżka Kapitan, a sądząc po błysku w jej oczach, marny był los wartowniczeki.

- Przyznam, że cieszy mnie, iż jesteś po naszej stronie - rzekła Kapitan.

- Eeeegg - wychrypiała cichutko wartowniczeki. Johnny odniósł nieodparte wrażenie, że gdyby Scree-

Wee mogli się pocić, wokół strażniczeki byłaby już kałuża.

- Lepiej ją związać i zaniknąć w kabinie - podsunął.

- Mogę ją zastrzelić - zaproponowała Kirsty z pewną nadzieją.

- Ee! - to była strażniczeki.

- Może lepiej nie - odezwała się z kolei Kapitan.

- Nie! - to zdecydowanie był Johnny.

- No dobrze, niech już będzie - zgodziła się Kirsty.

- Eep! - Trudno odetchnąć z lufą w zębach, ale strażniczeki ta sztuka udała się bez większego trudu.

- Przepraszam za spóźnienie - Kirsty przypomniła sobie o dobrych manierach i opuściła broń - ale miałam kłopoty z zaśnięciem.

Kapitan powiedziała coś w języku ScreeWee, strażniczeki skinęła potakująco głową i posłusznie weszła do kabiny. Następnie siadła na łóżku i bez oporu pozwoliła się związać porwanym na pasy kocem.

- Pewnie masz czarny pas albo coś podobnego - stwierdził ze zrozumieniem Johnny.

- Czerwony - poprawiła go dziewczyna. - Na razie. I nie trenuję zbyt długo... Słuchaj, czy to jedyny węzeł, jaki znasz?

-Kiedyś wybrałem się na lekcję karate - rzekł Johnny, starając się zignorować pytanie. - Z kumplem.

-I co?

- Nogi mi się poplątały w nogawkach.

-1 ty jesteś Wybrańcem? Ludzkie pojęcie przechodzi... powinni starannie wybierać!

- Próbowali, ale tylko ja słuchałem - przypomniał cicho.

- No dobra. Jestem na miejscu i jestem gotowa użyć broni! - Kirsty poklepała miotacz.

- Tak? A co Bronią na to? - spytał odruchowo John-ny, jakoś nie bardzo przepadający za tym słowem.

Kirsty zeszywniała.

- To był żart - wyjaśnił z westchnieniem.

- Mało śmieszny. Wyszli na korytarz.

- A tak na marginesie: co mi się przytrafiło? - zainteresował się Johnny.

-Zemdlałeś. Po sąsiedzku mieszka lekarka, więc matka po nią poszła. Diagnoza była prosta: wycieńczenie i niedożywienie.

- Z tym ostatnim zgadzam się w całej pełni - oznajmiła Kapitan. - Za dużo węglowodanów i cukru, za mało tłuszczu i warzyw.

- Pewnie - bąknął Johnny, rozglądając się podejrzliwie.

Korytarz nie wyglądał tak, jak powinien - poprzednio były to szare metalowe ściany, niewarte uwagi, chyba że ktoś pasjonował się śrubami czy nitami; teraz był ciemniejszy, miał więcej zakrętów, a ściany połyskiwały jakąś taką śluzową wilgocią. Co gorsza, Kapitan też się nieco inaczej prezentowała -przed chwilą była inteligentną istotą wywodzącą się przypadkiem od ośmiołapego krokodyla, teraz był to ośmiołapy krokodyl, który przypadkiem był inteligentny.

Jeden sen dzielony przez dwie osoby... To nie było najzdrowsze rozwiązanie, bo efekty właśnie zaczynały być widoczne: realia zmieniały się, jakby dostosowując się do wyobraźni obojga. A wyobraźnia Kirsty robiła nadgodziny, i to w nie najwłaściwszy sposób.

Kryptofanka Obcego i Sigourney Weaver, a raczej Ripley, bo tak nazywała się filmowa bohaterka! W życiu by jej o to nie podejrzewał, ale oglądał wszy-

stkie filmy i aż za dobrze rozpoznawał korytarz, w którym na dodatek zaczęła się unosić para, ograniczając widoczność i zwiększając grozę.

Głupia miłośniczka latania po korytarzach i ratowania uciśnionych! Johnny zaczął się wściekać, gdyż sam do grona takowych miłośników nie należał, a Kirsty zaczynała być bardziej przeszkodą niż pomocą. Teraz poruszała się plecami do ściany z bronią gotową do strzału, niczym partyzant z wyciętego lasu.

Johnny zaczynał się czuć, jakby był nie z tej bajki.

Korytarze poczęły się krzyżować, prowadząc na boki do mrocznych jaskiń, zamiast do kabin, gdy Kirsty nagle znieruchomiała.

- Ktoś idzie! - syknęła. - I coś pcha. Cofnijcie się! Rzeczywiście, słychać było regularne popiskiwanie

nie naoliwionej osi i lekki chrobot pazurów o posadzkę. I ciche podzwanianie.

- Niech no się tylko pokaże, to ja mu zaraz... Johnny wyjrzał za narożnik i prawie się roześmiał.

- Możesz mu zrobić, co chcesz - oświadczył - ale bądź łaskawa nie strzelać!

-Przecież to obcy!

- Ale nie ósmy pasażer Nostromol - warknął z naciskiem. - To nie ta bajka! Tych tu nie musisz wszystkich rozstrzeliwać, ledwie ich zobaczysz!

Podzwanianie zbliżyło się, a popiskiwanie przybrało na sile. Kirsty naturalnie i tak wyskoczyła na środek korytarza z wycelowanym miotaczem, tylko że palec zamarł jej na spuście, a głos w gardle.

Środkiem korytarza wędrowała niewielka postać -bez dwóch zdań ScreeWee, ale wiekowa. Jej łuski przybrały już szarą barwę, chociaż nie wszystkie, ogon ciągnęła po ziemi, a gdy ziewnęła, widać było, że zostały jej ze trzy zęby na krzyż, i to wstydliwie ukryte z tyłu paszczy. Dla pełnego obrazu pchała wózek na kółkach zastawiony garami i kubkami. Na widok

Kirsty zamrugła krótkowzrocznymi ślepiami i znieruchomiała.

Lufa miotacza mierzyła o dobre pół metra nad czubkiem jej łba.

- Najwyższy czas - odezwała się Kapitan. - Na mostku już pewnie przytupują z głodu. Drugie śniadanie to nie żarty.

Johnny, tłumiąc śmiech, podszedł do wózka i uniósł pokrywę najbliższego gara - było w nim coś zielonkawego, bąbelkującego i wyglądającego zdecydowanie niespożywczo. Zupełnie jak rozgotowany szpinak albo inna kapusta.

- Może na przyszłość nie będziesz rozstrzeliwać emerytowanych kelnerów, dobrze? - zaproponował ostrożnie i pospiesznie odłożył pokrywę na miejsce.

- Skąd miałam wiedzieć, kto to jest? To obcy okręt w trakcie buntu. Kelnerki, emerytowane czy nie, nie powinny się po nim pętać!

- A dlaczego? - spytał uprzejmie Johnny. - Sama powiedziałaś, że okręt jest obcy, więc skąd wiesz? Byłaś tu już?

Odebrało jej mowę ze złości. Niestety na krótko.

- To nie tak powinno być! - syknęła.

- Dobra, żadne z nas nie wie, jak powinno być, więc lepiej chodź na mostek i skończmy z tym - zaproponował ugodowo.

- To twoja sprawka! - oznajmiła po chwili oskarży-cielsko. - Sam to wyśniłeś!

- Prawda, jak ci już powiedziałem, nie lubię Obcego.

- Ona nie miała prawa się tu znaleźć!

- Miała takie samo prawo jak każda inna Scree-Wee. Oni też bywają głodni, słyszałaś, co powiedziała Kapitan.

- Nie o to mi chodzi! To są obcy, a obcy to pazury, kły i zagrożenie, a nie drugie śniadanie i emerytka!

- Skąd wiesz? Życie to życie i nic się na to nie poradzi. - Wzruszył ramionami już bez śladu wesołości.

-Dlaczego ty, do diabła, wszystko akceptujesz? Dlaczego nie próbujesz niczego zmienić?

- Bo życie samo w sobie jest wystarczająco złe. Parsknęła i pomaszerowała przodem. Do najbliższego narożnika, gdzie ją wmurowało w podłogę.

- Wartownicy! - szepnęła ucieszona. -1 to uzbrojeni! Johnny wyjrzał ostrożnie i z niechęcią musiał jej

przyznać rację: przed nimi były okrągłe drzwi, pilnowane przez dwóch uzbrojonych ScreeWee.

-Zadowolony? - spytała cicho, lecz z satysfakcją Kirsty. - Żadnego szwedzkiego stołu? Balu przebierańców? Rencistów i kalek? Mogę sobie postrzelać?

- Nie! Masz im dać szansę się poddać!

- Utrudniasz wszystko z natury czy dla przyjemności? - spytała z lodowatą uprzejmością i wyszła za zakręt, unosząc broń.

Kapitan też wyszła za zakręt, tylko niczego nie unosząc, bo nie bardzo miała co. Za to wysyczała jakąś komendę. Wartownicy spojrzeli na nią, potem na Kirsty i jeden coś odsyczał.

- Mówi, że Oficer Ogniowy kazał im zastrzelić każdego, kto się zbliży do drzwi - przetłumaczyła Kapitan.

- Rozwalę ich, jak się tylko ruszą! - ostrzegła Kirsty.

Kapitan ponownie zasyczała i tym razem wartownicy wytrzeszczyli się na Johnny'ego. A potem opuścili miotacze.

- Co im powiedziałaś? - spytał podejrzliwie Johnny.

- Powiedziałam im, kim jesteście.

Jeden próbował klęknąć, co u istoty o czterech nogach wyglądało zgoła niesamowicie.

-Powiedziałaś im, że jestem Wybrańcem?!

Kirsty jęknęła, wznosząc oczy do nieba, a raczej do sufitu.

- Ręce człowiekowi opadają! - wyznała. - I nie tylko...

- To lepsze niż strzelanina - stwierdziła Kapitan. -Możecie mi wierzyć: zbyt często byłam celem i wiem, co mówię.

- Powiedz im, żeby przestały się wygłupiać - polecił Johnny. - Co dalej? Kto jest na mostku?

- Większość oficerów. Wartowniczkę mówią, że najpierw było słychać kłótnię, a potem strzelaninę...

- Tak już lepiej! - ucieszyła się Kirsty.

Cała trójka spojrzała na drzwi, choć każde z innymi nadziejami.

-No, dobra - odezwał się Johnny. - Wchodzimy...

Kapitan gestem nakazała eks-warcie się odsunąć i dotknęła płytki, otwierając drzwi.

11. Ludzie!

Mostek był zadziwiająco dużym pomieszczeniem - na pierwszy rzut oka miał rozmiary boiska do kosza. Jeden z dłuższych boków przesłaniał olbrzymi ekran, zajmujący całą ścianę.

Ekran aż się roił od zielonych punktów.

Było ich kilkadziesiąt i wszystkie się zbliżały.

Przed ekranem usytuowane były stanowiska kontrolne, ułożone w podkowę. Było ich z tuzin, ale tylko jeden fotel był zajęty. Siedzący w nim ScreeWee właśnie wstawał i zamarł w półobrocie, sięgając do kabury.

- Nie przerywaj sobie - zachęciła go Kirsty. - Dokończ co zacząłeś.

Oficer Ognioowy nie drgnął, za to oświadczył z tryumfem:

- Za późno! Wróciliśmy tam, gdzie przynależymy. Zawrócić już nie zdążycie, musicie walczyć! A ten to co za jeden?

Pytanie dotyczyło Johnnny'ego, ale odpowiedziała na nie Kapitan:

- Wybraniec!

I ruszyła ku oficerowi. Kirsty i Johnnny ruszyli za nią.

- On też ci nie pomoże! - syknął artylerzysta. - Musisz walczyć o coś, czego nie znasz i nie szanujesz: o honor ScreeWee! To jedyne, co nam pozostało!

Johnnny potknął się i przykucnął, by w półmroku panującym w pomieszczeniu rozpoznać o co. Okazało się, że o martwego ScreeWee. Nie ulegało wątpliwości, że martwego, bo z taką dziurą w kłacie nie sposób oddychać. Johnnny wyprostował się powoli; na podłodze leżało więcej trupów.

Kirsty także je zauważyła.

-On ich zabił!...

W grze, na ekranie, to było zupełnie coś innego - trafienie, wybuch i pięć punktów premii. Ci, zastrzeleni z bliska nie wyglądali jednak jak pamperki z gry komputerowej, tylko jak ofiary mordy. Jak najbardziej martwe ofiary jak najbardziej rzeczywistego zabójstwa.

Zaskoczony i wstrząśnięty przyjrzał się Oficerowi Ogniwemu. Krokodyl krokodylem, traszka traszka i mógł sobie być obcym, ale nie ulegało wątpliwości

-wystarczyło nań spojrzeć, by wiedzieć, że ten ScreeWee nie jest normalny. Jego łuski miały sinawosre-brzyste zabarwienie, czego dotąd nie widział u żadnego z aligatoropodobnych stworzeń. A miny nawet nie podejmował się porównać do czegokolwiek - była po prostu szalona. Podobnie jak błysk ślepi.

Kapitan zżółkła przez tę chwilę, którą Johnny stracił na kontemplację artylerzysty. A właściwie nie tyle zżółkła, ile przybrała zielonkawożółtą barwę uczciwego lemona. Barwę wściekłości i strachu.

Syknęła coś i obie wartowniczkę spojrzały na siebie zaskoczone, po czym wymiotło je za drzwi.

- Zabiłeś ich wszystkich? - spytała podejrzenie spokojnym tonem.

- Próbowali mnie powstrzymać! Tak zepsułeś swoich oficerów, że zatracili poczucie honoru!

-Aha - odrzekła, zmieniając pozycję i powoli oddalając się od pary ludzi.

- Lepsza honorowa śmierć od haniebną ucieczki! Rozumiesz?!

- Rozumiem, aż za dobrze! - syknęła, przybierając barwę starego pergaminu. - Ludzie też to rozumieją!

Coś w jej głosie kazało mu odwrócić głowę. Gdy znów na nią spojrzał, dostrzegł rozchylającą się w uśmiechu paszczę i szeroko rozpostarte ramiona, a zaraz potem Kapitan skoczyła.

Johnny w ostatniej chwili podbił lufę miotacza Kirsty i wiązka energii trafiła w sufit, wywalając w nim solidną, osmaloną dziurę.

- Mogłaś ją trafić! - warknął rozzłoszczony. - A poza tym to chyba jakiś pojedynek honorowy czy coś.

- Idiotyzm! Mogłam go przerobić na pieczone jednym ruchem palca! Po co się wtrącała? - Kirsty była tyleż rozzłoszczona co zdegradowana.

- Chyba za bardzo go nie lubi - ocenił Johnny. -I potraktowała sprawę osobiście... Ożeż ty...! Popatrz na ekran!

Na ekranie przybyło zielonych kropek. Pojawiły się też kolumny jakichś czerwonych znaczków, które pewnie były pismem ScreeWee, ale żadnemu z nich niczego nie mówiły. Czerwone symbole przewijały się z jednej strony ekranu na drugą z zaskakującą szybkością.

Johnny przeniósł wzrok na stanowisko kontrolne.

-Zbliżają się, i to szybko... - ocenił. - Lepiej coś zrobmy!

Kirsty także przyglądała się stanowiskom.

Tak fotele, jak i urządzenia były przystosowane do anatomii ScreeWee. I po ichniemu opisane.

- Wiesz co to jest ® V + 5=? - spytała złośliwie. -Wolno? Szybko? Ognia? Zapalniczka?

Walczący rozdzielili się. Przestali być kłębowiskiem łap, pysków i ogonów; okrążali się, sycząc zawzięcie w różnych tonacjach. Przypominało to do złudzenia długie i soczyste wiązanki rozstawiające przodków

i rodziny po kątach. Zielono-czerwona poświata padająca z ekranu nadawała obu obcym upiorny wygląd, pogłębiany przez wszechobecne cienie.

Żadne z nich nie zwracało najmniejszej nawet uwagi ani na ludzi obecnych na mostku, ani na zbliżających się na ekranie. Było to całkowicie zrozumiałe - w walce wręcz ten, kto spuszcza z oka przeciwnika, sam się skazuje na porażkę.

Mogli chodzić jak kaczki i wyglądać jak parodia krokodyli, ale walczyli z wdziękiem i szybkością kotów.

Na jednej z konsoli rozbłysło czerwone światło i włączył się głos. O tym, że było to nagranie, świadczyła powtarzająca się sekwencja dźwięków, ale intonacja jednoznacznie wskazywała na to, że była to wiadomość alarmowa. I choć mówiona w języku Scree-Wee, ludzie także bez trudu ją pojęli. Kapitan okręciła się wokół swej osi, jej przeciwnik odskoczył i rzucił się ku drzwiom. Gdy przez nie wypadał, bardziej przypominał smugę niż konkretny kształt.

- To się nazywa szybkość - w głosie Kirsty słychać było mimowolne uznanie.

-Daleko nie ucieknie. - Kapitan zatoczyła się w kierunku fotela. - Potem... się nim zajmę...

- Nieźle cię poharatał - oceniła Kirsty. - Znam się trochę na udzielaniu pierwszej pomocy...

- Jak cię znam, to trochę bardziej niż trochę - wtrącił Johnny.

- Tylko nie sądzę, żeby to dotyczyło pomocy przedstawicielom obcych ras - zakwestionowała jej umiejętności Kapitan.

Widać było, że oddycha z pewnym trudem, a jedną z nóg stawia pod dziwnym kątem. Nasadę ogona pokrywały błękitne plamy.

- Powinnaś go zastrzelić - stwierdziła Kirsty. - Głupio wdawać się bez potrzeby w walkę wręcz.

- Honor! - wyjaśniła Kapitan, siadając. Jednym ruchem przestawiła trzy przełączniki i syknęła coś do mikrofonu. Alarm ucichł tak wizualnie, jak i akustycznie.

- Najgorsze jest to, że ten szaleniec miał rację - westchnęła. - Naszej natury nie da się zmienić, a naszym przeznaczeniem jest zginąć w walce. Bo nie zdołamy zawrócić i uciec... - Zamrugnęła gwałtownie.

- Zdejmij koszulę! - poleciła niespodziewanie Kirsty.

- Co?! - zdumiał się Johnny, do którego najwyraźniej skierowane było to polecenie.

- Potrzebuję twojej koszuli, ofiarno! Widać, że się wykrwawia, nie? Muszę ją jakoś opatrzyć.

Johnny z wyraźną niechęcią wykonał polecenie.

- Słodka godzino! - jęknęła Kirsty. - Podkoszulka z długimi rękawami! Kto oprócz pradziadków to jeszcze nosi?!... Hmm... Zdarzyło ci się kiedyś wyprać to, w czym chodzisz?

Czasami mu się zdarzało.

A jeszcze innymi czasami matka dostawała napadu uczuć rodzicielskich i prąła wszystko, co jej pod rękę wpadło. Zwykle jednak przebierał się w rzeczy z kosza z brudną bielizną, po starannej selekcji zawartości. Przeważnie wybierał te nie całkiem brudne, ale nikt nie mówił, że szyby wentylacyjne muszą lśnić czystością. Nawet jeśli są to obce szyby wentylacyjne.

-A znasz się na leczeniu ScreeWee? - spytał ponuro.

- Na czym tu się znać? Krew to krew i należy się starać utrzymać ją wewnątrz kogoś, a nie na zewnątrz. To, że jest niebieska, nie czerwona, jest bez znaczenia.

Kapitan zachwiała się i z westchnieniem oparła się o fotel. Jej łuski nabrały niezdrowego odcienia, opatrzonego błękitnymi punkcikami.

- Mogę w czymś pomóc? - spytał Johnny.

- Nie wiem... - przyznała Kirsty. - A znasz się na czymś przydatnym?

I skoncentrowała się na rannej.

Johnny natomiast dokonał błyskawicznego remanentu swych umiejętności oraz sytuacji i doszedł do nie najciekawszych wniosków. Wychodziło bowiem, że zginą, i to

ostatecznie i bez sensu. Skoro nie mogli zawrócić, musieli walczyć, a on nie potrafił nawet przeczytać, co do czego służy na którym stanowisku.

W efekcie gracze ich dopadną i rozstrzelają razem z resztą floty i wszystkie wysiłki minionych dni szlag jasny trafi.

A tak się ładnie zapowiadało...

Marzenia to jedno, a sny drugie. W marzeniach można być Supermanem i zawsze wszystko toczy się tak, jak marzący sobie zażyczy. W snach natomiast wszystko, co tylko może się spieprzyć, robi to przy pierwszej okazji. A Johnny właśnie śnił, i to co gorsza nie tylko swój własny sen, ale także sen Kirsty.

Kirsty zaś była nieobliczalna...

Przez cały czas, jaki zajęło mu dojście do tych niezbyt budujących wniosków, wpatrywał się w najbliższy pulpit kontrolny. Co prawda niewidzącym wzrokiem, ale to akurat niewiele zmieniało.

Nagle zdał sobie sprawę z procesu, który trwał już jakiś czas, lecz dopiero teraz dotarł do jego świadomości. Niezrozumiałe symbole $\wedge \odot S \wedge A$ przekształciły się w znajomy napis:

SILNIKI GŁÓWNE.

Życie zaczynało nabierać sensu!

Podniósł wzrok na główny ekran i uśmiechnął się złośliwie.

Tak. Kilkudziesięciu napaleńców siedzi teraz przed komputerami w swoich pokojach, oficjalnie odrabia-

jąc lekcje. I ciesząc się, że wreszcie rozgryźli tę złośliwą grę i teraz są w finale. Paluchy na spustach i tylko czekają, aby się znaleźć w pozycji dogodnej do strzału i wygrać.

- Przyznam się, że nie spodziewałam się skończyć tu jako siostra miłosierdzia - usłyszał za plecami głos Kirsty. - Przytrzymaj no tu pazurem... Pięknie... Jakie zwykle masz tętno?

- Obawiam się, że żadnego - odrzekła przepraszająco Kapitan. - A co to jest „tętno”?

-Nieważne... -jęknęła Kirsty.

Siedzenia nie były wygodne, cóż - Johnny nie miał ogona i czterech łap. W końcu metodą prób i błędów znalazł najwygodniejszą pozycję. Siad skrzyżny na siedzisku

bez opierania się. Dłonie położył na konsoli i eksperymentalnie zmienił moc silników. Odległe buczenie przeszło w odległy ryk.

- Co ty wyprawiasz? - zaniepokoiła się Kirsty.

- Steruję - poinformował ją rzeczowo, nie odwracając głowy.

- Za późno na zwrot... - powiedziała słabo Kapitan.

- Nie zamierzam robić żadnego zwrotu.

- Przecież nie masz zielonego pojęcia, jak tym sterować! - Do Kirsty dopiero teraz dotarło, co Johnny zamierza.

A raczej tak się jej wydawało.

- Nie steruję tym, tylko całą flotą - poprawił ją Johnny.

-Przecież... Nie potrafisz!

Johnny odwrócił się i stwierdził bez cienia złości:

- Wiesz, wszyscy mi mówią, co potrafię, a czego nie. Co mi wolno, a czego nie. I tak w kółko przez cały czas. Mam to gdzieś. Potrafię czytać, więc czytam, co jest na tej tablicy. A teraz bądź tak uprzejma i przestań mnie traktować jak durnia. Siadaj. Będę cię za chwilę potrzebował.

Siadła posłusznie, zahipnotyzowana nagłą zmianą. -Ale jak... - zaczęła.

- Za pomocą tej wajchy przejmuje się kontrolę nad ruchami pozostałych jednostek, a steruje z tego pulpitu. Przydatne przy długich podróżach - wyjaśnił jej Johnny, przedstawiając rzeczoną wajchę. - Ponieważ wskaźniki są na § h ®, co po ichniemu jest równoznaczne z przekroczeniem mocy awaryjnej, to wątpię, żebyśmy byli w stanie lecieć jeszcze szybciej.

-Ale... kierujemy się prosto na graczy!

- Bo nie mamy czasu zawrócić!

Nad łóżkiem Wobblera wisiała rozkładówka. Nie żadna panienka, auto czy inna podobna bzdura, ale zrobiona przez mikroskop doskonała fotografia mikroprocesora Intel 80586-75. Wyglądała niczym plan jakiegoś fantastycznego miasta z niezbyt odległej przyszłości.

Dziadek co prawda głośno twierdził, że to maniac-two, a rodzice zachowywali powściągliwe milczenie, ale jemu to nie przeszkadzało. Wobbler miał bowiem wizję: pewnego dnia, gdy już obkuje co trzeba i nauczy się łapać za nie rozgrzany koniec lutownicy, zostanie Kimś w komputerowym świecie. Programistą, cieszącym się

szacunkiem, a może nawet noszącym kucyka, choć tego ostatniego nie był pewien: moda modą, ale nie miał zbytniego przekonania do tej fryzury.

Yo-less co prawda twierdził, że teraz każdy waż-niak chodzi w garniturze, ale Yo-less też nie znał się na wszystkim.

Taak. Pewnego pięknego dnia świat usłyszy o Wob-blerze Johnsonie...

Tymczasem wpatrywał się w kolumny cyfr na ekranie, próbując zrobić, całkowicie jak zwykle nielegalną,

kopię najnowszego hitu Mr. Bunky ześwirował. Gra dostała cztery gwiazdki w „Splaaatt!”, choć zaznaczono, że jest raczej dla piętnastolatków.

Wobblerowi to nie robiło różnicy - miał prawie piętnaście lat (brak trzech był detalem technicznym), a poza tym wcale nie musiał w nią grać.

Cyferki były jednak wyjątkowo uparte, toteż zdecydował, że starczy jak na jeden raz i przetarł tłustymi paluchami zatłuszczone szkła okularów. Nigdy nie miał czasu ich porządnie wyczyścić, a tak miał dodatkowe efekty wizualne w postaci tęczy.

Siadł wygodniej, zastanawiając się, co by tu zrobić z tak pięknie rozpoczętym wieczorem, gdy na samym dole sterty dyskieetek, papierów i opakowań po bato-nikach zauważył kopię Tylko Ty Możesz Uratować Ludzkość.

A to przypomniało mu o kłopotach Johnny'ego.

Z tym biedakiem rzeczywiście ostatnio jest coś nie tak. Niby przebiera nogami po ziemi, ale jego myśli szwendają się zupełnie gdzie indziej... Cóż, musi chłop faktycznie zwariował...

Załadował grę, przekonany, że problemy Johnn/ego mają jak najbardziej logiczne powody. Jakkolwiek by było, ponoć zaczęły się od komputera, a komputery są logiczne. Jeśli ktoś wierzy, że jest inaczej, to jest to ostatni dzwonek, że zaczynają się poważne kłopoty!

Na ekranie pojawiły się napisy, w głośnikach zagrało jak zwykle, a potem przestrzeń rozbłysła gwiazdami i...

Szczęka Wobblera stuknęła w klawiaturę.

Okręty... setki jasnożółtych jednostek ScreeWee wypełniały cały ekran. Były coraz większe i większe, aż na ekranie była tylko żółć poznaczona płytkami poszycia. A zaraz potem tylko żółć.

Wobbler zamknął z trzaskiem szczękę i odruchowo zanurkował pod biurko.

Kątem oka zobaczył jaskrawy rozbłysk. A potem na ekranie była już tylko czerń... No, prawie tylko...

Przez sekundę widać bowiem było jeszcze czerwony napis:

CZEŚĆ, WOBBLER...

A potem naprawdę była już tylko czerń.

Kolejne alarmy wyły, piszczwały i ćwierkały. Kirsty ostrożnie otworzyła oczy - jak wyje, to znaczy, że jeszcze żyją...

- Chyba żadnego nie trafiliśmy - pocieszył ją John-ny. - Nie wszystkie jednostki miały tyle szczęścia. Za to mamy znacznie mniej przeciwników: niektórzy z wrażenia pozderzali się z innymi.

-Ale pozostali, gdy dojdą do siebie, zaczną nas gonić.

- Zaczną. Tyle że teraz mamy i czas, i miejsce na zwrot. Jak tam Kapitan? - zainteresował się.

Zamiast odpowiedzi nad oparciem fotela wyrósł znajomy pysk.

- Nasze silniki nie zdołają zbyt długo utrzymać tej szybkości - powiedziała Kapitan z wyraźnym żalem. -Szkoda... Lada chwila mogą odmówić dalszej pracy.

- Ryzyko wliczone w koszta - rzekł z uśmiechem Johnny.

-A jak dokładnie? - zainteresowała się Kapitan.

- Bez przesady! - oburzył się zapytany. - Tak się tylko mówi... chodzi o to, że warto było zaryzykować. Ponieśliśmy mniejsze straty, niż gdybyśmy pozwolili im odpalić.

- Zawracamy w ich kierunku! - stęknęła Kirsty. -Znowu!

- Przecież Granica jest za nimi, za nią właśnie chcemy się znaleźć, prawda? - zirytował się Johnny. -

i

A silników nie wyłączę: nawet jak któryś się zepsuje, gdy będziemy na prostej, to możemy dolecieć do Granicy siłą rozpędu. Jak zwolnię, dopadną nas wszystkich.

- Co wystukiwałeś na klawiaturze, jak przelatywaliś przez myśliwce? - zainteresowała się niespodziewanie Kirsty.

- Taki drobiazg: wydawało mi się, że rozpoznaję jednego z pilotów i posłałem mu pozdrowienia... -wyjaśnił uśmiechnięty Johnny.

-1 z czego tak się cieszysz?! Wciąż siedzimy po uszy w problemach!

- Ale to moje problemy. Może mi ktoś powiedzieć, dlaczego te światełka tak mrugają? Czerwone nie są, więc to nie alarm...

- To inne jednostki - odezwała się Kapitan. -Próbują nawiązać z nami łączność i dowiedzieć się, co się dzieje...

- Powiedz im, żeby się trzymali. I że wracamy, a raczej wracają do domu.

Obie spojrzały na niego w osłupieniu.

- Co za dramatyzm! - pierwsza ocknęła się, naturalnie, Kirsty. - Robi wrażenie. I strasznie...

- Zamknij się. -Co?

- Zamknij się - polecił powtórnie Johnny, nie podnosząc głosu i nie odwracając oczu od ekranu.

- Nikt mi nigdy nie kazał się zamknąć!

- Zawsze kiedyś jest pierwszy raz - odpalił. - To się nazywa debiut, wiesz? To, że pasuje ci mentalność młotka, nie znaczy, że musisz wszystkich wokół traktować jak gwoździe. No, to zaczynamy powtórkę z rozrywki...

Wobbler przyjrzał się bacznie a podejrzliwie wyjętemu z napędu dyskowi. Wyglądał normalnie...

Potem sprawdził, czy do jego komputera nie prowadzą przypadkiem jakieś dodatkowe kable.

Nie prowadziły.

To ci ścichapek! Johnny, ma się rozumieć... Zawsze twierdził, że się nie zna na komputerach, że tylko wie, jak co włączyć i pograć w to, co wszyscy wiedzą, a tu taki numer. Nie ma cudów - pogmerał w grze i oddał mu zmienioną wersję, a potem udawał durnia. Ciekawe, jak on to zrobił.

Wobbler załadował ponownie grę, przeczekał napisy, instrukcje i spojrzał na ekran.

Gwiazdy.

Typowe, jak w każdej grze. Lepsze zrobił wPodróży na Alfę Centauri, ale nie o to chodziło.

Żadnych okrętów.

Ostrożnie ruszył joystickiem, obserwując ekran, gdy myśliwiec zataczał krąg wokół własnej osi... I odruchowo puścił joystick.

Za nim był żółty okręt.

Tuż za nim!

I to nie jeden!

Prawdę mówiąc, były ich setki i leciały prosto na niego.

Znowu!

Gdy się pozbierał z podłogi i wbił na miejsce nerwową nogę od fotela, ekran był całkowicie czarny. Nie było żadnych gwiazd, błyskał tylko kursor.

Wobbler wytrzeszczył na niego oczy.

I za wszelką cenę próbował myśleć logicznie. Brak logicznego wytłumaczenia tego, co widział, byłby bowiem równie tragiczny jak złapanie lutownicy z niewłaściwej strony. Musiał być logiczny powód.

I pewnego dnia go znajdzie.

-Lecą za nami!

Podłoga wibrowała. Z jakiegoś przegrzanego irrządzenia unosiła się smużka dymu. To, co nie było przymocowane, dygotało w różnych tonacjach. Ale silniki ryczały pełną mocą.

- To truchło za chwilę się rozleci - stwierdziła zrezygnowana Kirsty.

- Ale chyba zostawiliśmy ich w tyle - pocieszył się Johnny.

- Chyba?

- Chyba.

- Macie może jakieś coś strzelające do tyłu? - Kirsty najwyraźniej postanowiła zająć się czymś pożytecznym. - Jakieś działa rufowe albo coś w tym guście?

- Mamy - odparła zapytana i uprzedzając następne pytanie, dodała: - I można je obsługiwać stąd. Drugie stanowisko od lewej. Ale nie możemy strzelać: poddaliśmy się, chyba nie zapomniaws?

- Ja się nikomu nie poddawałam! Aha, to z czerwonym przyciskiem... wygląda prawie jak normalny joy-stick.

- A jak ma wyglądać? - zdziwił się Johnny. - Przecież ciągle jesteśmy w przestrzeni gry. Urządzenia tutaj muszą przypominać te, które znamy, bo sami je wymyślamy.

Przerzucił obraz na ekranie tak, że pokazywał nie to, co przed nimi, ale to, co za nimi, czyli rój zielonych punktów.

- Lecą idealnie za nami! - ucieszyła się Kirsty. -Ofiary! To będzie łatwizna!

- Prawda? - mruknął Johnny.

Coś w jego głosie spowodowało, że uniosła głowę i spojrzała na niego zaskoczona.

- O co ci chodzi?

- To tylko kropki w kółku. Łatwo w nie trafić i zarobić punkty. No, dalej, na co czekasz?

- Przecież sam powiedziałaś, że jesteśmy w prze-

I
strzeni gry. A więc to gra. O co ci chodzi? To tylko elektroniczne impulsy na ekranie.

- Ślicznie. Zupełnie jak w życiu. Tak jak w tej telewizyjnej wojnie: wystarczy nacisnąć guzik i bang!

Kirsty spojrzała na niego z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia.

- Musisz zawsze wszystko zepsuć? - spytała dziwnie cicho.

-Ja? - zdumiał się szczerze. - Słuchaj, jak nie będziesz strzelać, to przełączę obraz na to, co przed nami. Ten tu wskaźnik twierdzi, że lecimy K S na p^3 co jest < razy szybciej, niż powinniśmy. Jak już musimy na coś wpaść, wolałbym chociaż zobaczyć, jak to coś wygląda. Chyba że masz nieodpartą ochotę niespodziewanie zmienić się razem z krążownikiem w coś, co ma siedem mil średnicy i jeden centymetr grubości. I co?

- Niech już ci będzie. Przełącz.

Johnny przełączył.

I obojgu zabrakło słów.

Wpatrywali się w to, co zajmowało cały środek przestrzeni na wprost dziobu, niezdolni wykrztusić słowa.

-Cooo... - wystękała po naprawdę długim czasie Kirsty - ...to jest?

Johnny parsknął śmiechem.

Próbował nad sobą zapanować, zwłaszcza że wszystko wokół trzeszczało, jęczało i zgrzytało, ale nie był w stanie. Łzy płynęły mu ciurkiem, a ciałem wstrząsały paroksyzmy niepowstrzymanej wesołości. Mówiąc krótko, był jak głupi do sera.

- To jest Granica - oznajmiła nieco zaskoczona reakcją obojga Kapitan.

-Pewnie... - wykrztusił Johnny - ...że Granica... a co... ma być...?

-Przecież to... - Kirsty zaczęła wracać mowa, ale nie całkiem.

- Ludzie nie mogą przekroczyć Granicy... - Johnny otarł rękawem łzy. - Jasne, że nie mogą... Widać dlaczego... Za nią ScreeWee będą bezpieczni.

- To nie może być naturalne!

- A kto mówi, że jakakolwiek granica jest naturalna? Choć biorąc pod uwagę, że to przestrzeń gry, akurat ta może być naturalna. Nie rozumiesz? Przecież wszyscy widzieliśmy ją już wcześniej. I to wielokrotnie.

- Wciąż jest dość daleko - przywołała ich do rzeczywistości Kapitan. - I obawiam się...

Z tyłu coś głucho łupnęło.

- Rakietą! - wrzasnęła Kirsty. - Trafili nas!

- Nie! - sprzeciwił się Johnny. - Posłuchaj!

- Czego mam słuchać?... Przecież nic nie słyszę?!

- Właśnie o to chodzi. Silniki szlag trafił i teraz robią całą masę ciszy.

- Prawdopodobnie się zatępiły - oceniła niepewnie Kapitan - albo stopiły.

-Albo wybuchły - uzupełnił spokojnie Johnny. -Napęd mamy z głowy, ale został jeszcze ten cały, jak mu tam... pęd czy moment... no, nieważne. Nasza dotychczasowa szybkość dalej pcha nas do przodu, tyle że trochę wolniej. Będziemy tak lecieć, chyba że w coś trafimy.

- Albo coś trafi nas - mruknęła cicho Kirsty.

I w zamyśleniu spojrzała na ekran.

- Jak to może być duże? - spytała po chwili.

- Bardzo - odparł Johnny. -Ale za tym są gwiazdy?!

-To nie są nasze gwiazdy. Mówiłem ci, że ludzie nie mogą przekroczyć Granicy...

Spojrzeni po sobie z nagłym zrozumieniem.

- W takim razie co się stanie - zaczęła Kirsty z samozaparciem masochisty gmerającego w zepsutym zębie - w przypadku takim jak nasz?

Jak na komendę spojrzeli na Kapitan, która wzruszyła ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? - spytała bezradnie. - Do czegoś takiego nigdy nie doszło. Ludzie na statku obcych próbujący przekroczyć Granicę... To niemożliwe.

Teraz całą trójka spojrzała na Granicę. Inaczej.

- Albo mi się w oczach ćmi, albo jest nieco większa - oceniła Kirsty.

Odpowiedziała jej cisza.

- Co takiego może nas spotkać? - odezwał się nagle Johnny. - Zastanówmy się spokojnie, póki mamy okazję. - Ledwie to powiedział, a już żałował, że się nie ugryzł w język. - Zresztą nie jestem aż tak ciekaw - dodał pośpiesznie. - Chyba powiedziałem to w złą godzinę! Zegarek mi się zepsuł albo coś...

- Bez silników nie możemy manewrować - powiedziała cicho Kapitan. - Prawdę mówiąc, nie możemy zrobić nic: nawet wyhamować. Przykro mi, zrobiliście tak wiele, by nas uratować...

- Robi się większe! - stwierdziła z satysfakcją Kirsty. - Widać, jak się poobserwuje gwiazdy za tym.

- Przykro mi - powtórzyła Kapitan.

- Przynajmniej w a m się uda - pocieszył się Johnny. - Przykro mi...

- Jak jeszcze raz powtórzysz, że ci przykro, to cię palnę! - ostrzegła Kirsty, wstając. - Mnie tam wcale nie jest przykro: zabawa może nie była idealna, ale całkiem niezła. - Podniosła leżący obok fotela miotacz i dodała: - Komu w drogę, temu czas!

- A ty gdzie się wybierasz? - zdziwił się Johnny.

- Do kapsuły ratunkowej - odparła spokojnie, wychodząc na korytarz.

- Jakiej kapsuły ratunkowej? - Johnny ruszył za nią.

- Właśnie - odezwała się Kapitan, idąc w ich ślady. - Na pokładzie nie ma czegoś takiego.

- Będzie, jeśli zechcemy. - Kirsty nie dała się zbić z tropu. - Powiedziałeś, że realia gry tworzy nasza wiedza, to znaczy nie powiedziałeś tego dosłownie, ale o to chodziło. Ja wiem, że na każdym statku kosmicznym musi być co najmniej jedna kapsuła ratunkowa.

- Ale...

- Przestań utrudniać! To tak samo mój sen jak twój, więc lepiej zacznij wierzyć w jej istnienie. - W oczach Kirsty ponownie pojawił się dziwny błysk, a dłonie inaczej ujęły miotacz. - Wiem, że jest, bo już tam byłam.

Johnny przypomniał sobie jej pokój i nie odezwał się. Siedziała w nim sama, bez przyjaciół, z całą masą zaostrzonych ołówków i zadaniami domowymi, podczas gdy w myślach goniła się z obcymi po korytarzach. Detale techniczne statków i okrętów

musiała mieć nie tylko zapamiętane, ale i dokładnie przemyślane.

- Nic nie rozumiem - stwierdziła skołowana Kapitan. W korytarzu było pełno pary - nawet jeśli Scree-

Wee przekroczą Granicę, ich kłopoty się nie skończą. Na przykład ta jednostka będzie wymagała gruntownych napraw.

-Hmm... - Johnny przełknął ślinę. - To tak jak z tymi plastikowymi figurkami w jedzeniu... taki nowy pomysł.

Kapitan zatrzymała się w progu i spojrzała na ekrany.

- Granica jest blisko... Jeśli uważacie, że znajdziecie to, czego nie ma, powinniście się pośpieszyć.

- Hm... - zaczął Johnny.

- Dziękuję wam - głos Kapitan brzmiał niezwykle poważnie.

- Nie zrobiłem nic wielkiego...

- Nie jesteś w stanie tego ocenić. Nigdy nie myślałeś o sobie. Próbowaleś rozwiązać problemy, z którymi nigdy dotąd się nie zetknąłeś. Podejmowałeś trudne decyzje. Muszę nieskromnie przyznać, że dokonałam właściwego wyboru.

- Miło nam, ale naprawdę musimy już iść - przypomniała Kirsty.

- Może jeszcze się spotkamy. Potem, jeśli wszystko pójdzie dobrze. - Kapitan uścisnęła dłoń Johnny'ego dwiema własnymi. - Do widzenia.

- Miło było cię poznać. - Kirsty złapała go za ramię. - ciekawie Było. Idziemy!

Część lamp się nie paliła, a korytarze pełne były pary i cieni. Kirsty prowadziła, przeskakując od jednej osłony do drugiej.

-Musimy zejść na niższy pokład - rzuciła przez ramię. - Nie martw się, kapsuła będzie na miejscu.

- Faktycznie ci się tu podoba - ocenił Johnny.

- Jest rampa. Pospiesz się, nie mamy zbyt wiele czasu.

Rampa prowadziła łagodną spiralą w dół, ginąc miejscami w kłębach pary.

Kończyła się w olbrzymiej sali, zaopatrzonej w solidną służbę w przeciwległej ścianie. Pod ścianami znajdowały się rozmaite pulpity kontrolne, ciemne i puste w tej chwili. A na środku, na trzech podporach, stał sobie niewielki, jajowaty stateczek. Mimo małych rozmiarów wyglądał na solidny i godny zaufania.

- A nie mówiłam? - oświadczyła tryumfalnie Kirsty. Johnny bez słowa podszedł

do stateczku i dotknął

burty.

- Nie za długo tu jest - stwierdził. - Farba jeszcze nie wyschła!

- Ale latać może, a to jest najważniejsze.

Na najbliższej tablicy kontrolnej rozjarzył się ekran monitora. Ukazała się na nim podobizna Kapitan.

- Ciekawe - odezwała się - sprawdziłam plany i odkryłam nową salę i nowe stanowiska. Jak sądzę, kapsułę ratunkową już znaleźliście?

- Na to wygląda - przyznał Johnny.

- Mamy dziesięć minut do Granicy. Powinniście zdążyć.

Za plecami Johnny'ego coś sapnęło i stuknęło, toteż odwrócił się nerwowo. Na szczęście to jedynie Kirsty otworzyła wejście do kapsuły.

- Przełącznik jest w jednej z podpór - wyjaśniła. - Aleś ty nerwowo...

Do środka prowadziła srebrzystobłękitna schodnia. Z wnętrza kapsuły wydobywała się łagodna, błękitna poświata.

- Wiesz, o czym myślę? - spytała niespodziewanie Kirsty.

- O tym, że dość długo nie widzieliśmy Oficera Ogniwego. Zgodnie ze znanym scenariuszem powinien gdzieś tu na nas czekać. - Johnny uśmiechnął się smutno. - To zdecydowanie twój sen, więc należało się tego spodziewać.

- Tylko że tym razem jestem na to przygotowana. Chodź!

Ruszyła przodem, krótkimi łukami omiatając bronią boki i front. Lufa miotacza poruszała się w rytm ruchów jej oczu, a ruchy były pewne i spokojne, jakby nic innego w życiu nie robiła. Johnny nie był zachwycony rozwojem wydarzeń, ale musiał przyznać, że tym razem Kirsty zasługuje na uznanie.

Wewnątrz znajdowały się dwa fotele i niewielka tablica przyrządów. Jeśli nie liczyć kilku niewielkich schowków i dużego ekranu zastępującego oszklenie kabiny, nie było tam nic więcej. Mimo to Kirsty wskazała Johnny'emu schowki. Gdy je otwierał, stała na środku kabiny z bronią gotową do strzału.

Johnny wykonywał polecenie, starając się nie stać

na linii ognia i czym prędzej odskakiwać od otwieranych drzwi. Tak jak się spodziewał, w schowkach nie było nikogo.

Ponieważ Kirsty zdołała nie rozstrzelać konserw zajmujących ostatni schowek,

Johnny powstrzymał się od komentarza. Jego mina mówiła jednak sama za siebie.

Kirsty naturalnie zrozumiała ją właściwie.

- Ale mógł tam być! - warknęła zirytowana. - We wszystkich równocześnie mógł - przyznał. -

W jednym kawałku fizycznie nigdzie nie mógł się zmieścić. Chyba że może się zmniejszać wedle uznania.

- To wcale nie jest śmieszne!

- Przecież staram się nie śmiać, nie? Skoro skończyłaś szukać obcego po szufladach, to może spróbujesz pod fotelami? Zdziwiająco, co można znaleźć pod zwykłym krzesłem, a pod fotelem pilota to dopiero...

- Może byś się łaskawie przymknął? - zaproponowała lodowato, próbując dyskretnie zajrzeć za tablicę kontrolną.

Dyskretnie się nie udało.

- Może obcy oglądają inne filmy? - zasugerował poważnie Johnny.

- Dobra, wygrałeś: nie ma go! - przyznała niechętnie. Zdegustowana wcisnęła dwa klawisze.

Wejście zamknęło się z sykiem, a na niewielkim ekranie pośrodku tablicy pojawiła się Kapitan.

- Osiem minut do Granicy - oświadczyła.

- Dobra. - Kirsty przykucnęła, zlustrowała przestrzeń pod fotelami i wstała, ignorując szeroki uśmiech, który wypełził na twarz Johnnynego.

- Wszędzie widzisz obcych, prawda?

- Co chciałeś przez to powiedzieć? - Nic... taka sobie oderwana myśl...

Gdyby wzrok mógł zabijać, Johnny zamieniłby się w kupkę popiołu. Ponieważ nie mógł, Johnny spokojnie siadł w fotelu i zapiął pasy.

Zrezygnowana Kirsty zrobiła to samo i postukując palcami w konsolę, rozglądała się po przyrządach.

Johnny nagle poczuł, jak włosy na karku stają mu dęba.

Był w sprawdzonym, zamkniętym i bezpiecznym pojeździe. A wcale nie czuł się bezpieczny. Czuł, że jest wręcz przeciwnie.

- Słuchaj! - Niespodziewanie złapał Kirsty za ramię. - Już wiem, gdzie...

Przerwał, widząc rozbłyskujący ekranik łączności. A na nim uśmiechnięty pysk

Oficera Ogniwego. -Uciekajcie, może was nie trafię, ludzkie szumowiny! - oświadczył z pogardą.

Z tego, co widać było w tle, znajdował się na mostku.

- Gdzie Kapitan? - zażądał informacji Johnny.

- Najpierw zajmę się wami. Ona nie ucieknie!

- Niedoczekanie! - warknął Johnny, przerywając łączność.

Kirsty złapała go za ramię, nim zdążył wstać.

- ScreeWee są bezpieczni, a do Granicy zostały minuty - oświadczyła poważnie.

- Nie wiemy, co może się stać, gdybyśmy zostali. Mówi się trudno, tym razem musi sama o siebie zadbać. Powiedziałyby ci to samo, gdybyś ją zapytał!

- Ale tego akurat chwilowo nie mogę zrobić, prawda? I o to właśnie chodzi!

Nacisnął klawisz otwierający wejście i rampa opadła z cichym szumem.

- Będzie na ciebie czekał - ostrzegła.

- Ja myślę! - Johnny sięgnął po miotacz. - Które tu robi za spust?

- Idiotyzm!

- Boisz się? - spytał spokojnie, choć był blady jak mgła na cmentarzu.

- Ja? - Kirsty prawie się roześmiała i odebrała mu broń. - Lepiej ja to wezmę.

Jeszcze niechący postrzelisz nie tego, co trzeba.

12. A tak naprawdę...

Bez dalszych dyskusji wybiegli do sali i dalej na rampę.

- Masz zegarek? - spytał Johnny.

- Mam. Zostało nam prawie siedem minut.

- Powinienem być to przewidzieć! - Johnny najwyraźniej był wściekły na siebie.

- Nikt nigdy nie ma tyle czasu na ucieczkę! Bond zawsze ma tylko sekundy na rozbicie bomby! Znowu gramy w głupią grę!

-Uspokój się!

- Przyrzekam uroczyście, że jak znajdę tu jakiegoś kota, to go kopnę!

Korytarz był ciemniejszy niż poprzednio, najwyraźniej z oświetleniem było coraz gorzej. Z sufitu kapłała woda: musiał pęknąć któryś z rurociągów. Natomiast było znacznie mniej pary, choć ta, która wydobywała się z rur, robiła to z nieprzyjemnym dla uszu sykiem.

- W którą stronę? - spytał, gdy dotarli do rozwidlenia.

- Tędy.

- Jesteś pewna?

- Naturalnie - parsknęła i ruszyła przodem.

Pół minuty później wrócili biegiem do tego samego miejsca.

- „Naturalnie”. - Johnny popatrzył na nią z wyrzutem.

- Co, pomylić się nie można?! Wszystkie wyglądają tak samo. Skoro nie tamtędy, to tędy!

Ten korytarz rzeczywiście prowadził do szerszego i jaśniejszego, na którego końcu znajdowało się znajome wejście na mostek.

Otwarte.

Kirsty ujęła miotacz zdecydowanie bardziej rzeczowo.

- Okay - stwierdziła. - Tym razem żadnego gadania i żadnych fuszerek?

-Zgoda.

- No to jazda!

-Jak?

-Wejdiesz, on cię zaatakuję, a ja go rozwalę.

- Żywa przynęta, co?

- Masz cztery i pół minuty na wymyślenie czegoś lepszego. Przepraszam: cztery minuty dwadzieścia pięć sekund...

- Mam nadzieję, że umiesz strzelać!

- Tyle czasu wgapiałeś się w dyplom, że powinienieś zapamiętać! - fuknęła i niespodziewanie się uśmiechnęła. - Możesz mi wierzyć: naprawdę umiem strzelać.

Nie mając wyjścia, ruszył ku otwartym drzwiom, próbując spoglądać w obie strony jednocześnie. Omal nie nabawił się zeza rozbieżnego.

-Cztery minuty piętnaście sekund... - dobiegło gdzieś z tyłu.

- Dlaczego nie zostałam mistrzynią kraju? - spytał ku własnemu zaskoczeniu.

- Zatrulałam się śniadaniem.

- Aha - mruknął i przekroczył próg. Nic się nie stało.

Przełknął nerwowo ślinę i rozejrzał się na boki. W górę też, na wszelki wypadek.

- Nie ma go! - oświadczył zgodnie z prawdą.

- Dobra. Odsuń się: wchodzę!

Granica widoczna na ekranie była znacznie większa - mimo sporej odległości zdawała się wypełniać całą przestrzeń. „Ogromna” byłoby zdecydowanie nieadekwatnym określeniem.

- Dziwne - stwierdził Johnny, rozglądając się spokojniej. - Tu nikogo nie ma.

- Poczekaj... dobra, możesz iść dalej. Jeśli jest za konsolami, będę go miała, ledwie wyskoczy!

Ostrożnie i starając się trzymać jak najdalej od stanowisk z pulpitemi, Johnny przesunął się do przodu.

- Tu nic... Zaraz! -Co?

- Myślę, że to Kapitan. -Żyje?

-Nie wiem... Po prostu leży... Muszę się jej bliżej przyjrzeć. -Po co?

- Bo muszę!

- Tylko ostrożnie! I tak, żebym cię cały czas widziała!

Johnny poruszał się ostrożnie, na wszelki wypadek próbując robić to z dala od ciemnych kątów i innych zacienionych miejsc. Faktycznie, ScreeWee leżący na podłodze to była Kapitan, i do tego żywa, sądząc po płytkim oddechu unoszącym piersi.

- Kapitanie? - szepnął, przyklękawszy. Jedna powieka powoli się uniosła.
-Johnny...

- Co się stało?

-Czekał... podkradł się... gdy rozmawiałam... rąbnął mnie...

- To gdzie jest teraz?

-Nieważne... musicie... odlecieć... Brak... czasu...

Granica... zaraz...

-Jesteś ranna! Zawołam...

Przerwał, gdyż ścisnęła go za ramię.

-Posłuchaj! On chce... wysadzić nas wszystkich... Zbiorniki paliwa...

Johnny powoli wstał.

- Co z nią?! - zawołała Kirsty.

-Jeszcze żyje! - odparł, spoglądając odruchowo w stronę dziewczyny.

Kirsty stała przy wejściu, na szeroko rozstawionych nogach i z bronią gotową do strzału, oświetlona przez wpadające z korytarza światło.

A za nią, powoli i bezszelestnie, prostował się cień, rozpościerając cztery łapy...

Cień dał dwa szybkie kroki i zmienił się w Oficera Ogniwego.

Z tym że nie do końca.

Był to ScreeWee, ale znacznie większy, niż powinien, i znacznie gorszy - zamiast aligatora ze śladami traszki był to Obcy rodem z Ósmego pasażera „No-stromo”, jedynie ze śladami aligatora.

- Za tobą! - wrzasnął Johnny i sprężył się do skoku. Kirsty odwróciła się i zamarła.

Nigdy nie można ufać snom - ta myśl niczym zacięta płyta tłukła się po głowie Johnny'ego, gdy przeskakiwał przez pulpit sterowniczy.

ScreeWee uśmiechnął się szeroko, a był to wyjątkowo oślizły i obrzydliwy uśmiech. Połyskiwało w nim też znacznie więcej ostrych i lśniąco białych zębów, niż powinno. Kirsty przyglądała mu się jak sparaliżowana.

- Strzelaj! - wrzasnął, mijając fotel. Najgorzej, jak się komuś zmaterializuje koszmar.

A jej się właśnie zmaterializował.

- Strzelaj!!! - ryknął Johnny.

Poskutkowało: posąg, w który zamieniła się Kirsty, ożył i uniósł miotacz.

- Dobra, świrze... - warknęła przez zaciśnięte zęby. I umilkła, ciśnięta jednym ciosem masywnej łapy w powietrze.

Wylądowała dobre kilka metrów dalej na pokładzie niczym połamany manekin.

A miotacz poleciał w drugą stronę, rąbnął z trzaskiem o płyty pokładu i szorując po nich ze zgrzytem, zatrzymał się o metr od Johnny'ego.

-Aha, Wybraniec! - syknął ScreeWee, spoglądając na niego szczelinami, w które zmieniły mu się oczy.

I uśmiechając się jeszcze paskudniej.

Z punktu widzenia Johnny'ego wyglądało to tak, jakby spoglądał zębami.

-Wybraniec! Ani ty, głupcze, ani ona nigdzie nie uciekniecie... jesteście hańbą swojej rasy. I obrazą dla mojej!

Kirsty poruszyła się, próbując wstać, ale niespecjalnie jej to wyszło.

A Johnny schylił się i podniósł miotacz.

ScreeWee opuścił dwa ramiona i dał krok do przodu.

- Szybko! Rzuć mi broń! - okrzyk Kirsty był słaby jak ona w tej chwili, choć przy drugiej próbie zdołała przybrać pozycję pionową.

Mniej więcej.

ScreeWee dał drugi krok do przodu.

Johnny cofnął się; plecami dotknął fotela.

- Rzuć mi broń, idioto! - wrzasnęła głośniejszym głosem Kirsty.

-I co? - syknął pogardliwie napastnik. - Zabijesz mnie?... Nie potrafisz! Jesteś mięczak i słabeusz! Tak jak nasza eks-Kapitan! Obelga dla gatunku. Tylko słabi chcą pokoju! A ty chcesz pokoju za wszelką cenę...

Johnny uniósł broń.

- Nie oszukuj się! - Obcy wolno dał kolejny krok do przodu. - Obserwowałem cię, ty nie umiesz walczyć! W głębi duszy jesteś tchórzem! Dobry tylko do gadania. Nikogo nie potrafisz uratować, nawet siebie!

- Przypadkiem nie przyszło ci do łba, żeby się poddać? - spytał go spokojnie Johnny.

- Zwariowałeś?

- Tak też sobie myślałem...

Kątem oka dostrzegł ruch - Kirsty gotowa była za chwilę wszcząć walkę wręcz, co przy obecnej formie artylerzysty nie rokowało minimalnych szans powodzenia. Wychodziło na to, że Johnny rzeczywiście nie ma wyjścia.

Nacisnął więc spust.

Cicho huknęło, z lufy poszedł ogień, a na piersiach ScreeWee pojawił się ziejący błękitem i lekko dymiący otwór. Postrzelony przyjrzał się wpierw sobie, potem Johnny'emu. Był kompletnie zaskoczony.

- Strzeliłeś... z zimną krwią...

- Jestem ciepłokrwisty. Zawsze. Obcy padł, nie wydając dźwięku. I znieruchomiał.

I jakoś tak zmalał, aż znormalniał do standardu ScreeWee.

- Zastrzeliłeś go... - dobiegło z tyłu.

Johnny odwrócił się. Kapitan, trzymając się konsoli, zdołała wstać.

- Zastrzeliłem.

- Musiałeś, ale przyznaję, iż nie sądziłam, że zdołasz...

Johnny z pewnym trudem przekonał swe palce, zaciśnięte na miotaczu, aby zwolniły chwyt.

-Prawdę powiedziawszy, sam nie byłem tego pewien - rzekł, wypuszczając broń z pobielających dłoni.

Powoli podszedł do Kirsty, wpatrującej się w leżące na podłodze ciało.

- Brawo... - powiedziała cicho. - Ty...

- Tak, zastrzeliłem go. Wolałbym tego uniknąć, ale się nie dało.

Na kilku stanowiskach rozbłysły alarmowe kontrol-ki, a kilka klaksonów zaczęło piszczeć, ryczeć i wyc na różne melodie. Granica wypełniała cały ekran.

- Ile nam zostało? - spytał. - Półtorej minuty...

Johnny ze sporym zaskoczeniem stwierdził, że nie poddał się panice. Mógł logicznie myśleć; zupełnie jakby obserwował rozwój wydarzeń z boku.

- Możesz biec? - spytał. - Szybko? Zresztą co się głupio pytam: pewnie za biegi też masz jakiś medal. No, czas na nas!

Pociągnął ją za sobą na korytarz, nie wypuszczając jej dłoni. Kirsty ledwie się koncentrowała - ściany przestały być oślisze, pojawiły się na nich nawet nity. Gdyby ją

teraz puścił, nie wiadomo, czy poszłaby za nim do kapsuły, czy skręciła w pierwszy z brzegu korytarz.

W końcu dotarli do kapsuły. Johnny, naturalnie, zaczął od niewłaściwej nogi - przycisk otwierający włącz był w ostatniej - zwyczajowa złośliwość przedmiotów martwych.

- Ile? - spytał, czekając, aż wejście otworzy się całkowicie.

-Pięćdziesiąt sekund...

Wpadli do kabiny, siedli i Johnny rozejrzał się po tablicy kontrolnej. Na szczęście nie było na niej wiele instrumentów. Było też równie mało przycisków i lampek. Zaniknął włącz i włączył komunikator. Na ekranie pojawiła się Kapitan.

- Otworzyć służbę? - spytała. - Sterowanie jest tu, nie na dole.

Johnny odetchnął z ulgą i przestał się gorączkowo rozglądać.

- Otworzyć! - oboje z Kirsty powiedzieli to równocześnie.

Solidne drzwi w ścianie rozjechały się przy wtórze syku powietrza. Gdy znieruchomiały, to samo zrobiły drugie, w pancerzu zewnętrznym. Powietrze z hangaru zniknęło z szumem, a na zewnątrz rozbłyły gwiazdy znane z ekranów monitorów.

- Johnny? - odezwała się Kapitan. -Tak?

- Dziękuję. Nie musiałeś nam pomagać.

- Jeśli nie ja, to kto?

- No tak... Żegnaj... Nie spotkamy się już...

- Do zobaczenia - odparł machinalnie i spytał Kirsty: - Ile?

- Dziesięć sekund! -Gazu!

I na własną komendę nacisnął duży, czerwony przycisk.

Z tyłu coś huknęło i nagle otoczyły ich gwiazdy.

Johnny zapiął pasy i opadł na oparcie fotela. W głowie miał pustkę, jeśli nie liczyć jednej sceny, powtarzającej się niczym zacięta płyta: naciska spust, rozbłysk i obcy pada z dziurą w piersiach. I jeszcze raz. I jeszcze...

Idealna precyzja -jak w telewizyjnej wojnie.

- Możemy tym sterować? - wyrwał go z rozpamiętywania głos Kirsty. A raczej nie tyle sam głos co towarzyszące mu potrząsanie.

-Co?... A tak... - Rozejrzał się półprzytomnie. -A... jest joystick...

- To nas obróć. Chcę zobaczyć, jak będą przekraczać Granicę!

- Niezły pomysł - przyznał, łapiąc za joystick. Kapsuła obróciła się, kierując dziobem ku Granicy.

Flota ScreeWee akurat zaczęła ją przekraczać. Każda jednostka, docierając do Granicy, powodowała wpierw jej rozbłysk, a potem ściemnienie, co dawało widowiskowy efekt optyczny.

- Myślisz, że faktycznie mają własną planetę? - Kirsty przerwała milczenie.

- Myślę, że oni tak myślą.

- A myślisz, że wrócą?

- Jeżeli nawet, to nieprędko.

- Wiesz... jak go zobaczyłam... no, on był taki prawdziwy, że... i był żywy, to...

- Wiem - powiedział poważnie Johnny.

- A potem był martwy... i jakoś niezbyt mnie to ucieszyło...

-Wiem.

- Kiedy gra staje się tak realna, to wcale nie jest łatwo... ginie się i dopiero wtedy jest prawdziwy koniec.

- Wiem. Mój przyjaciel Yo-less uważa, że takie sny są sposobem odreagowania prawdziwego, realnego życia. Ja uważam, że jest na odwrót.

- Yo-less to ten czarny?

-Tak.

- Johnny?

- Słucham.

- Jak to jest, że tak dobrze się zgadzasz z ludźmi? Dlaczego do ciebie mówią, mają zaufanie i chcą z tobą być i rozmawiać?

Przez chwilę panowało milczenie, przerywane tylko migotaniem gwiazd.

- Nie wiem - odparł po chwili Johnny. - Pewnie dlatego, że słucham. No i pomaga, gdy sądzą, że jestem głupi.

-Johnny?

-Obecny.

- Co miałeś na myśli, gdy mówiłeś, że wszędzie widzę obcych?

-Nie pamiętam...

- Nie wykręcaj się!

- Po prawdzie nie jestem do końca pewien, czy oni są obcy. Są inni, owszem, ale czy obcy? Ale nie to jest najważniejsze, najważniejsze jest, jak się postępuje. Trzeba pamiętać, że to nie jest gra, i zachowywać się normalnie. Gra tak do końca nigdy nie jest grą.

Tymczasem ostatnie jednostki ScreeWee zniknęły poza Granicą.

- Co robimy, żeby wrócić do domu? - spytał John-ny. - Zawsze musiałem zginąć, żeby wrócić.

- Jeśli wygrasz, także powinieneś być w stanie wrócić.

-Tu jest jakiś nie opisany, zielony klawisz... - stwierdził po chwili Johnny z wyraźnym wahaniem w głosie.

- No to co? Ryzykujemy? -Ryzykujemy!

Było już jasno, gdy Johnny się obudził.

I zdębiał.

Leżał w obcym łóżku, w obcym pokoju i w obcej piżamie.

W pierwszej chwili poczuł się jak zielony krasnoludek w różowym domku - był nie z tej bajki. W drugiej zaczął myśleć i rozejrzał się uważnie. Pokój, jak to pokój, wyglądał na typową, zapasową sypialnię. Lampa była nieco staroświecka, a na regałach książki, których od dawna nikt nie czytał, ale poza tym reszta była w normie.

Odetchnął z pewną ulgą i zaczął sobie przypominać ostatnie wydarzenia...

Zegar kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, odmówił współpracy, a ponieważ nie wywołało to żadnej reakcji, zbuntował się i regularnie wskazywał 7:41. Ponieważ jednak zza drzwi nie dochodziły żadne odgłosy, należało sądzić, że jest rano, a nie wieczór.

Cóż... trzeba będzie pogadać z Kirsty, która śniła, że jest Sigourney, zapominając o drobiazgu, że tamta jedynie grała. Poza tym Johnny miał silne podejrzenia, że w niedługim czasie zobaczy swoich rodziców. I to oboje. Najprawdopodobniej też będą mu mieli nie-

samowicie wręcz wiele do powiedzenia, co stanowiłoby odmianę. Może nie najprzyjemniejszą, ale zawsze.

Jeśli zaś chodzi o Ciężkie Czasy i szkołę, to nie ma co się łudzić. Odmiany nie będzie.

I prawdę mówiąc, nic tak naprawdę nie zmieniło się na lepsze.

Ale flota ScreeWee jest bezpieczna. I ten fakt zmieniał wszystko. Pozostałe problemy nie zniknęły, ale przestały być ścianą - stały się podobne do schodów.

Może nie wygra i nie rozwiąże ich tak, jak by chciał, ale przynajmniej będzie próbował. Bo jeśli sam tego nie zrobi, to kto?

Zadowolony z efektów pracy koncepcyjnej Johnny odwrócił się i zasnął.

W przestrzeni wciąż istniała Granica. Była tam od zawsze i pewnie zawsze tam będzie. Stanowiły ją olbrzymie, białe litery układające się w napis:

GAME OVER

Tankowce, krążowniki, pancerniki i niszczyciele floty ScreeWee minęły ją, przestając rzucać cienie na odwieczny napis. Wszystkie uciekły na zawsze.

NEW GAME

(Y/N?)